

Krystyna Boglar

Tango na bananowej  
skórcie

„Polityka to scena interesów, nie moralności”.  
Disraeli

Silniki szumiały miarowo. Samolot łagodnie wchodził na wysokość dziesięciu tysięcy metrów. Przez okrągłe bulaje widać było cumulusy, grube i pierzaste, przepływające nad poszatkowaną powierzchnią ziemi. Polska z lotu ptaka przypominała skórkę arbuza w ciemno - i jasnozielone plamki, poprzecinane pasemkami szarych dróg. Zaskrzeczał głośnik:

- Ladies and gentlemen, informujemy państwa, że przekroczyliśmy właśnie granicę Czech...

Sok pomarańczowy w plastikowym kubeczku ma gorzkawy smak. Karolina odstawia go ostrożnie. Raz już wylała sobie coś takiego na kolana brudząc spódnicę od kostiumu. W łach, jakimi dotąd przeważnie latała za granicę, miała nieprzeparłe uczucie ciasnoty, graniczące z klaustrofobią. Tym razem był to pojemny i wygodny francuski Airbus, który za mniej więcej dwie godziny wylądaje w Roissy pod Paryżem. Nie zna jeszcze tego lotniska. Ostatnio... kiedy to było? Chyba w osiemdziesiątym ósmym. Tak, na pewno! Lądowało się jeszcze na Orły. Czy przypuszczała cztery lata temu, że następna wizyta w Paryżu będzie jej debiutem jako projektantki mody? A przecież tak się stało. Dzięki zupełnie przypadkowemu spotkaniu z Christa Oxenberg. Wtedy się poznały, i polubiły. Karolina, choć z trudem nawiązywała znajomości i z jeszcze większymi oporami znajomości te kultywowała, w tym jednym przypadku poddała się już pierwszego dnia. Galeria na rue Saint Honore była wypełniona gośćmi: eleganckie kobiety przechadzały się trzymając w dłoniach kieliszki z winem. Chyba to było burgundzkie chablis? Rozmawiały o wszystkim, nie interesując się zupełnie obrazami. Jak to na wernisażach bywa. Tylko jedna, silna brunetka z delikatnym ciemnym puszkim pod nieco zbyt wydatnym nosem, tkwiła bez ruchu pod płótnem młodego Holendra. Wyglądała, jakby tam wrosła w ziemię i zapuściła korzenie. Kiedy Karolina,

zachwycona kolorystyką obrazu, przystanąła nieśmiało obok, usłyszała niski głos z leciutką, ledwie dosłyszalną chrypką:

- Dla mnie Walgraff to ktoś więcej niż malarz. To rabin albo psychiatra. On wie wszystko, co człowiek ma w duszy, tak jakby w niej siedział w środku.

- Coś takiego napisał kiedyś Isaac Bashevis Singer o pisarzach - nieśmiało odparła Karolina.

Dwoje ciemnych, smolistych oczu przyjrzało się jej bardzo uważnie. Zbyt uważnie.

- Nigdy cię przedtem nie widziałam - powiedziała. - Kim jesteś? Karolina wzruszyła ramionami. Nie lubiła, gdy ktoś obcy zwracał się do niej w formie „ty”, nie pytając o zgodę.

- Karolina Stengert. Z Polski. A pani?

Duża twarz bez kości policzkowych, przypominająca waniliowy budyń, odwróciła się profilem.

- Jak to dobrze, że jest jeszcze na świecie ktoś, kto mnie nie zna! Chodź! Napijemy się.

Karolina do dziś nie wie, dlaczego posłusznie podreptała za tą wysoką, świetnie ubraną kobietą w nieokreślonym wieku, która szła krokiem modelki, kiwając głową, jak Chińczyk, do pozdrawiających ją zewsząd ludzi. Istotnie, musiała być znana przez „cały Paryż”.

- Jesteś malarką? - spytała, gdy przystanąły wreszcie przy jednym z okien. Piła szybkimi łykami. Już trzeci kieliszek.

- Skończyłam Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Ostatnio zajęłam się projektowaniem...

- Przedmiotów sztuki?

Karolina przełknęła. Wino było dobre. O pięknym kolorze i nieco zbyt nikłym zapachu.

- Odzieży - odparła lekko znudzonym głosem. - Przepraszam, ale chciałabym jeszcze zobaczyć...

- Zdążysz. Odzież dla fabryk?

Karolina zakrztusiła się, kieliszek zachybotał niebezpiecznie. Dla jakich fabryk? Czy ta czarownica w śliwkowej sukni, chyba od samego Diora lub Givenchy'ego nie wie, jak wygląda polska odzieżówka? Ba, niby skąd ma wiedzieć?

- Halo, Christa! - rzucił wysoki mężczyzna postukując laską. Miał twarz Franciszka Pierwszego i brodawkę na nosie. Mówił po angielsku z silnym amerykańskim akcentem.

- Halo, Steve! Miło znów cię widzieć. To jest moja polska znajoma. Karolina. Rysuje odzież dla fabryk.

Zwariowali z tymi fabrykami! - pomyślała Karolina ze złością. Ale swoją drogą to piekielne babsko przechodzi z francuskiego na angielski jak automatyczna skrzynia biegów!

- Nie rysuję dla fabryk. Próbuję projektować dla teatru. I to od niedawna.

Może nie wiecie państwo, ale Polska to nie Manchester, tylko dość biedny kraj. Choć ma niezłych artystów. Przepraszam... trochę rozumiem, ale nie mówię ani słowa po angielsku. Więc może mogłabym już...

Silna dłoń wyjątkowo delikatnie, lecz stanowczo ujęła ją za łokieć.

- Excusez - moi, skarbie. Ten Amerykanin może już iść do diabła, oczywiście, ale sądzę, że dobrze będzie, jak go poznasz. Steve Longmann - właściciel połowy domów mody od Luisiany aż po Albertville. A ja jestem Christa Oxenberg. Właścicielka salonu mody „Christa”. Zatrudniam u siebie najzdolniejszych projektantów w Paryżu. W tym Chińczyka Tao - Tsu.

Karolina poczuła, jak powietrze uchodzi z niej niczym z przeklętego balonika. Normalnie nie miałyby żadnych szans poznania tych ludzi: ścisłej czołówki paryskiej haute couture. Przypadek czy...

- Masz jakieś swoje projekty, kochanie? Może mogłabym je zobaczyć? Karolinie zaczął się pocić nos.

- Pani? Pani chciałaby to obejrzeć? - wyglądała żałośnie.

Christa otworzyła małą płaską torebkę na złotym łańcuchu. Każdy dałby głowę, że to złoto najwyższej próby. Na kartoniku z adresem firmy napisała coś cieniutkim, oprawnym w platynę, ołówkiem.

- Przyjdź w piątek. I przynieś swoją teczkę. Nie masz żadnej szansy, ale wykorzystaj ją!

To był piątek siedemnastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Piątek, w którym Karolina Stengert urodziła się po raz drugi.

\*\*\*

Wyjrzała przez okrągłe okienko. Chmury rozproszyły się. Samolot leciał nad skupiskami domków z czerwonymi dachami. Wyglądały jak malutkie kolorowe groszki do posypywania tortu. Podniosła wzrok na kobietę przeciskającą się wąskim przejściem pomiędzy fotelami. Była średniego wzrostu, solidnej tuszy, wbita w angielski niemodny kostium. Poruszała się z trudem, lekko kulejąc, jak osoba, która stawiając stopę odczuwa nieprzeparty ból. Czas i przebyte choroby zmieniły ją. Ale i tak Karolina wiedziała od pierwszej sekundy: Julia! Kobieta, która odebrała jej mężczyznę życia: Krzysztofa. Do dziś, na dobrą sprawę, nie wie, dlaczego ustąpiła placu tak łatwo. I dlaczego on, bez walki, wpadł w sidła panny, która w wieku trzydziestu lat zaciągnęła go do urzędu stanu cywilnego, choć po pierwszym rozwodzie mówił, że „już nigdy więcej żadnych trwałych związków”!

- Tak wygląda dziś Julia? - szepnęła wstrząśnięta. - Boże, przecież to się stało zaledwie dwadzieścia lat temu! Teraz ma najwyżej pięćdziesiąt dwa. Jest ode mnie starsza o dziesięć, a od Krzysztofa o niecałe dwa. Julia! Nienawidziła jej kiedyś z całego serca, życzyła wszystkiego najgorszego. I chyba te

życzenia przemieniły się w rzeczywistość. Julia Sulikowska, żona Krzysztofa, wyglądała jak własna schorowana babka. I to wreszcie wprawiło Karolinę w prawdziwie radosny nastrój.

- Czy mogę poprosić o kieliszek koniaku? - spytała przechodzącą stewardesę.

- Źle się pani czuje? - zmartwiła się służbowo wysoka blondynka o miłej, porcelanowej twarzy.

- Wręcz przeciwnie! - zapewniła ją Karolina. - To z okazji zwycięstwa!

- Już podaję!

Kiedy Julia powoli szła z toalety, Karolina obracała w palcach pękaty kieliszek. Mogła przyglądać się jej do woli. Julia bowiem nigdy nie poznała swojej rywalki. Krzysztof niezwykle starannie zatarł wszelkie ślady. I bardzo dbał o to, by panie nie zetknęły się ze sobą. Zresztą wszelkie te zachody okazały się zbyteczne. Dwie kobiety żyły w dwóch różnych światach. Julia była urzędniczką w Ministerstwie Handlu, zaś Karolina obracała się w środowisku „Krakowskiego Przedmieścia”: artystów malarzy, pisarzy, ludzi teatru, z którymi i dla których pracowała. Gdyby ją zapytać, dlaczego znów sypiała z Krzysztofem, nie umiałaby dać precyzyjnej odpowiedzi.

Więcej życia jest w galaretce z nówek! - pomyślała z nosem w kieliszku. Julia z trudem sadowiła się w fotelu trzy rzędy przed nią. Miała dużą torbę w kolorze rdzy, z której usiłowała wydobyć kosmetyczkę. - Jeśli jej uroda nie została nadszarpnięta przez czas, to co, u licha, on w niej widział? Wtedy, przed dwudziestoma laty? Chyba miała dobrą figurę. Dlaczego, u Boga Ojca, tak się roztyła? Kiedy ją ostatni raz widziałam? Wiem! Na tarasie kawiarni Hotelu Europejskiego. Siedzieli wtedy razem z Krzysztofem i nie odzywali się do siebie. On przeglądał gazetę, ona, znudzona, wyjadała coś z pucharka. Niedzielne popołudnie zmęczonego sobą

małżeństwa. Tylko pies był wesoły. Machał kudłatym ogonem i rozdziawiał mordkę pełną drobnych, krzywych zębów. Tak ich zapamiętałam. Ciekawe, po co leci do Paryża? Jest najwyraźniej sama. Zaraz... zaraz... Julia ma przecież w Paryżu jakąś starą ciotkę mieszkającą tam od czasów wojny. Musi mieć ponad osiemdziesiątkę, o ile dobrze pamiętam. Krzysztof kiedyś opowiadał ze śmiechem, że zamieszkała we Francji z przyjacielem młodszym o piętnaście lat! Gdzieś w latach czterdziestych. Jakieś szalenie zawile, skomplikowane wojenne losy. Po wojnie nie wrócili do kraju. Zapewne Julia jedzie do tej ciotki. Może chce ją przekonać do powrotu? Ona zawsze usadzała w swoim i Krzysztofa mieszkaniu stare kobiety: chorą i otyłą matkę, jakąś krewniaczkę ze wsi, nazywaną „babcią”, różne pociotki. Krzysztof spokojnie znosił ten inwentarz. Zresztą stale podróżował. Poza domem czuł się swobodniej. No, i zarabiał „prawdziwe pieniądze”. Do licha, mniejsza z tym! Stare dzieje. Dziś Krzysztof jest zaledwie mglistym wspomnieniem. Ich losy rozeszły się na zawsze. Widziała go kilkakrotnie i stwierdziła z prawdziwym smutkiem, że się zestarzał, osiwiiał, zdiadział. Tyle lat... tylko czasami, gdy zbudzi się przed świtem, stają przed oczami sceny, o których powinna już zapomnieć. Wszystkie chwile szczęścia i godziny smutku. Na przemian. Dobrze, że nigdy mu nie powiedziała, co się naprawdę stało, dlaczego zniknęła. Może jej życie potoczyłoby się inaczej? Gdyby powiedziała... przyznała się? Ale to były inne czasy, lata sześćdziesiąte... ten sabat czarownic w krakowskim mieszkaniu na Długiej. I Lilka Żakowska z tym swoim tryumfalnym oskarżeniem pełnym jadu, ksenofobii i zaciętrzewienia. Ta przystojna szatynka, wysoka i smukła, miała oczy Savonaroli: opętane zazdrością i szaleństwem. Przez cały kraj przeszedł ostry podział na „obcych” i „swoich”. Żydów i „prawdziwych katolickich Polaków”. Pamięta hasło z tamtych lat: „Kto nie z Mieciami,

tego zmięciem!" Wiadomo, jak się to skończyło: marcem sześćdziesiątego ósmego. I nieprzyjęciem mnie na pierwszy rok akademii. Dobrze, że w siedemdziesiątym drugim się dostałam. I dobrze, że nie wyjechałam. Jak Maria, Stefan, Olek, Helena i Rysiek. Boże, skąd te wspomnienia? Wszystko dlatego, że trzy rzędy przede mną siedzi Julia?

W głośnieku coś zagrzechotało:

- Informujemy państwa, że przekroczyliśmy granicę Francji. Wylądujemy w Paryżu za trzydzieści pięć minut. Ladies and gentlemen...

Karolina sięgnęła do torebki. W lusterku zobaczyła dobrze utrzymaną twarz czterdziestolatki: silnie zarysowane ciemne brwi, szare świetliste oczy i małe wydatne usta pociągnięte ciemnoróżową szminką. - Dobrze jest - pomyślała z uśmiechem. - Nawet za dziesięć lat nie będę takim rozlazłym babskiem jak Julia!

\*\*\*

Na ósmym piętrze wieżowca firmy „Klingenhoff” przy Albertstrasse cztery, w oszklonym boksie prawie bez mebli, urządzonym supernowocześnie, na siedmiu komputerowych ekranach błyskały cyferkami wszelkie potrzebne informacje. Helga drobnymi palcami o czerwono lakierowanych paznokciach delikatnie stukała w klawisze. Na dziesiątą czterdzieści ma przygotować teczkę dokumentów dla mecenasa Williego Knopfa. Takie polecenie dostała od sędziwego szefa bońskiej kancelarii „Grossner und Sohn”. Stary, prawie dziewięćdziesięcioletni Helmuth Grossner siedział niczym borsuk w jaskini na Wilhelmsgasse, w domu, gdzie się urodził. On, jego poległy pod Wiaźmą brat, synowie, wnuki i prawnuki. Grossner znany był z tego, że skutecznie obsadzał swymi obrońcami procesy neohitlerowców. Mecenas Knopf spieszył się, gdyż zaplanowany na dwa dni proces przeciwko siedemdziesięcioletniemu Fritzowi Rebhandlowi



toczył się w Salzburgu i należało jak najszybciej dostarczyć brakujących materiałów. Sprawa należała do trudnych. Rebhandl, wydawca faszyzującego pisemka „Volkstreue”, zaprzeczał istnieniu nazistowskich obozów zagłady. Pytał: „Czy istnieją ekspertyzy grobów? Czy dokonano badań archeologicznych? Próbnych wierceń? Jakie są dowody na istnienie komór gazowych? Kto naprawdę wie jak działał cyklon B?” Tak więc Willi Knopf musiał znaleźć coś, co nie pozwoli sądowi zamknąć za kratkami starego człowieka, będącego na dodatek najbliższym przyjacielem jego własnego ojca, nie żyjącego już, ongiś Sturmbahnfuhrera SS, Franza Knopfa. O tym zresztą wie tylko stary Grossner. No i Alma. Niestety. Kiedy wystąpił o rozwód, rozwścieczona Alma obiecała zemstę. Willi jednak nie cofnął oskarżenia o cudzołóstwo. A piękna Alma nie broniła się specjalnie, gdy się okazało, że zyskuje willę z ogrodem i całą biżuterię. Mogła prowadzić życie, jakie chciała. Jakie lubiła: z szampanem, kawiozem i figlami na ogromnym łożu pod baldachimem z tureckiego aksamitu. Alma była straszną parweniuszką, o czym Willi przekonał się dopiero po roku małżeństwa. Teraz ma nową żonę - Sophie. Po polsku Zofię. Poznał ją w Krakowie cztery lata temu i sprowadził do Bonn razem z jej córką Marią, zięciem i czteroletnią wnuczką Magdą. Młodzi zamieszkali oddzielnie. Obydwoje lekarze znaleźli pracę w prywatnej klinice. Zofia doskonale zajmowała się dużym mieszkaniem i kuchnią. Nieźle mówiła po niemiecku, choć z okropnym akcentem. W swoim kraju była sędziwą. Rozumiała zakres obowiązków niemieckiego męża, nic wszakże nie wiedząc o faszystowskim rodowodzie swoich, świeć Panie, nieżyjących teściów z Bawarii.

Willi wyświeżony, w nowym krawacie i nienagannie wyblyszczonych butach wjechał windą na ósme piętro

wieżowca „Klingenhoff”. Odebrał od piegowatej Helgi grubą szarą kopertę z czarnym nadrukiem.

- Co jeszcze, Helgo?

Spojrzała na szefa z uznaniem. Od dnia ślubu z „tą Polką”, jak ją nazywała w myślach, Willi bardzo się zmienił. Zrzucił zbyteczne kilogramy, mniej pił i ubierał się zgodnie z „euromodą”. Przypominał raczej Austriaka niż Bawarczyka. Sam Knopf czuł się o wiele lepiej. Był odprężony, spokojniejszy. Heldze nie podobała się nowa żona szefa. Pierwsza i druga jej młodość dawno już przeminęły zostawiając ślady na podbródku i szyi. Widać, że przekroczyła pięćdziesiątkę. Ale co tam! Dziś dobrze ubrana kobieta z niezłym makijażem liczy się na męskiej giełdzie przynajmniej o dwadzieścia lat dłużej niż w czasach Balzaka. Jeśli jeszcze umie dać mu w łóżku to, czego Bawarczyk potrzebuje, jak mówią złośliwie tu, w Bonn: dwa razy w tygodniu i raz w niedzielę przed pójściem do kościoła.

- Kupiłam panu bilet do Wiednia na wtorek. Lot dziewięćset trzy, o szesnastej dwadzieścia. Zatrzyma się pan w hotelu czy u pana Gottfrieda?

Knopf zastanowił się przez chwilę.

- Zamów mi pokój w „Carltonie”. Tak będzie lepiej. Nie ma potrzeby rzucać się w oczy. Sądzę, że mieszkanie Gottfrieda jest pod obserwacją.

I było. Gdyż rząd Austrii od wielu już miesięcy z niepokojem obserwował rosnącą aktywność ugrupowań skrajnie prawicowych.

Kiedy w kwietniu dziewięćdziesiątego pierwszego roku umierał na AIDS były porucznik Bundeswehry, przywódca neofaszystów niemieckich, Michael Kuehnen, na łożu śmierci ustanowił swoim następcą i ogólnoniemieckim Führerem Austriaka Gottfrieda Kussela, noszącego już wtedy tytuł gauleitera do spraw obszarów wschodnich i Francji. To

właśnie Gottfried rozbudował na niespotykaną skalę organizacje neofaszystowskie nie tylko w kraju walca i zjednoczonych już Niemczech, lecz włączył się ostro do działalności odpowiednich ruchów we Francji, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii.

Tak więc mecenas Willi Knopf prześpi się trzy doby w wygodnym „Carltonie”, skąd zatelefonuje do Gottfrieda. Spotkają się zapewne w jednej z piwiarni, by sączać jasny Bittburger omówić strategię najbliższych miesięcy.

- Coś jeszcze, Helgo?

- Tak. Telefonowała Frau Ole... Olec... no, córka pańskiej żony. W sprawie prezentu.

- O, to świetnie. Nie martw się. Ja też łamię sobie język na polskich nazwiskach. Powinni je koniecznie zmienić. Jak można pracować w najlepszej klinice w Bonn, gdy pacjent nie potrafi wymówić nazwiska swojego lekarza. Porozmawiam o tym z Sophie. Myślę, że ich przekona. Gdyby dzwoniła jeszcze raz, proszę powiedzieć, że wszystko z jubilerem załatwiłem. To bardzo piękna, stara robota florencka. Będzie się Sophie podobała. Przyjęcie urodzinowe odbędzie się w sobotę, zaraz po moim powrocie z Wiednia.

- Zamówił pan kwiaty, mecenasie, czy mam to zrobić?

- Helgo, jesteś niezastąpiona! Pięćdziesiąt jeden róż Hidalgo na długich łądygach. Niech kwiaciarnia prześle przez posłańca w sobotę rano. Ale koniecznie przed dziewiątą. Zapisalaś?

- Tak jest, panie Knopf. Dopilnuję. Wychodzi pan na długo?

- Na dwie godziny. Jestem umówiony z Albertem w drukarni. Chcę osobiście dopilnować okładek broszury. Poprzednim razem popełnili niewybaczalny błąd w nazwisku. Wrócę tu około pierwszej. Na obiedzie będę w domu. Auf Wiedersehen!

\*\*\*

Samolot wylądował na podparyskim lotnisku dokładnie o czternastej dziesięć. Chwilę trwało, zanim dokołował do rękawa i zaczęto wypuszczać pasażerów.

- Aurevoir, mesdames et monsieurs! - śpiewnie zegnała pasażerów stewardesa uważając, by nie stracić przylepionego do warg uśmiechu. - Jesteście państwo zawsze mile widzianymi gośćmi na pokładach Air France...

- Bonjour, Paris! - wyszeptała Karolina zagłębiając się w tunel. Zawsze tak się witała z ulubionym miastem, w którym czuła się jak u siebie w domu. Szybkim krokiem minęła wlokącą się Julię.

Tłum przelewał się przez halę bagażową. Wsiadano do autobusów jadących w kierunku terminalu na Les Invalides. Część pasażerów kierowała się do szybkiej kolei RER. Karolina, pchając wózek z bagażem, postanowiła wziąć taksówkę.

- Hotel „Victor Hugo”, rue Copernic, Paris seizieme! - rzuciła kierowcy. Algierczyk ruszył z piskiem opon.

Właściwie dlaczego się upieram przy tym hotelu? - zastanowiła się w myślach. - Bo najbardziej lubię tę dzielnicę, a może również dlatego, że tam mieszkałam w sześćdziesiątym ósmym, kiedy nazywał się jeszcze „Copernic” i był tani jak barszcz? Nie znaleźli wtedy dla mnie miejsca w Polskiej Stacji PAN na rue Lauriston, gdzie gnieździł się prawie wszyscy stypendyści. Wszyscy, tylko nie ja, świeżo usunięta ze studiów. Jak to się właściwie stało, że nie odebrali mi paszportu? Przez przeoczenie? Nonsens, miałam już bilet na samolot. Zdażyłam, zanim się zorientowali. A może chcieli mnie wypuścić? Liczyli, że nie wrócę? Że zostanę, jak tylu innych... co tam! Było, minęło. I już nie wróci... mam nadzieję.

Paryż o każdej porze roku robi wrażenie. Wiosna tu przychodzi wcześniej niż w Warszawie. Kasztany w parku Monceau kwitną na różowo. Bzy w Ogrodzie Luksemburskim tworzą liliową mgłę. „Avril en Portugal”, jak mówią słowa piosenki, ale Paryż powinno się widzieć w maju. Teraz był początek lipca.

Taksówka skręca z placu Victor Hugo objechawszy rondo. Pnie się powoli pod górę. Jest hotel. Nic się tu nie zmieniło, Boże, chwała ci za to!

- Madame Stengert, bonjour, comment ca va?

- Merci, madame Touroc, ca va bien.

Duży, czysty pokój z widokiem na wewnętrzny dziedziniec tonący w krzewach buldenezu. I te śmieszne klatki z papużkami! Wiecznie zielone rododendrony przekwitły. Także tulipany, hiacynty i żonkile.

- A mimo to Paryż pachnie psim gównem! - dziwi się na głos Karolina i wybucha śmiechem. Jest szczęśliwa.

\*\*\*

Siedziały w małej restauracyjce „Pod Czarnym Łabędziem” w Dzielnicy Łacińskiej, pochłaniając giroles a la provencale, czyli kurki z czosnkiem i natką pietruszki.

- Wyglądacie jak dwie wiedźmy robiące na drutach pod gilotyną! - roześmiała się Karolina na przywitanie.

- Halo, skarbie! - odezwała się Nicole nie przerywając żucia. - Nie byłam pewna, czy umówiliśmy się właśnie tutaj. Kiedy przyleciałaś?

- Przed chwilą.

Christa uniosła się, by uścisnąć nowo przybyłą.

- Szalom.

- Bóg rozumie wszystkie języki, ale anioły tylko hebrajski! - roześmiała się Karolina. - Co dadzą mi jeść?

- Boeuf a la ficelle.

- Ki diabeł?

- Twoja Polka zawstydzta mnie kulinarną ignorancją! - westchnęła Nicole z grobową miną. - To jest sztuka mięsa na sznurku!

Karolina szeroko otworzyła oczy.

- Co?

- Gotuje się ją w wywarze z kości, uwiązaną tak, by nie dotykała dna garnka. A podaje z chrzanem albo musztardą.

- Z chrzanem. Wasza francuska musztarda, choć fabrykowana na białym winie, jest dla mnie zbyt piekielna. Christa, powiedz coś! Inaczej umrę tu zaraz na zawał!

Czarne oczy w smolistej oprawie patrzyły ciepło.

- Kupiłam psa. Czystej rasy suka alzacka. Wabi się Tara.

Karolina chwyciła napelniony do połowy kieliszek stojący przed Nicole. Jednym haustem połknęła purpurowy camuet rocznik osiemdziesiąty drugi.

- Przestań się ze mną droczyć! Mów o kolekcji! Czy chcesz, żeby mnie szlag trafił? Naprawdę chcesz?

Christa Oxenberg nie byłaby sobą, gdyby poddała się tak szybko.

- Claude Montana pokazał swoją kolekcję haute couture zaprojektowaną dla firmy Lanvin. Będzie jego ostatnią.

- Dlaczego? - Nicole, najwyraźniej, też brała udział w zabawie.

- Bo Montana nie chce się wcale zajmować pret - a - porter. Ma gdzieś konfekcję. A Lanvin, tak jak ja, jak my wszyscy, głównie żyje z konfekcji. Inna sprawa, że luksusowej.

- Co pokazał? Nie było mnie w Paryżu, nie widziałam. - Nicole ociera wargi. Ma ochotę parsknąć śmiechem na widok cierpienia Karoliny.

- Mogłaś nie jechać do Berlina! To było bezsensu! - skrzywiła się Christa.

- Oszalałaś czy co? Pierwszy dzień robisz w tym biznesie? Igedo International i Berliner Mode - Messe - Gesellschaft lansują dziś kierunki dla całej Europy! Tam byli producenci i projektanci z Europy Wschodniej. Nasze przyszłe rynki zbytu!

- Mam to gdzieś! - wymruczała Christa łyknąwszy bordeaux. - Jeszcze trochę, a przyłączę się do narodowców spod znaku Le Pena, którzy głoszą: „Francja dla Francuzów!” Nie będzie żadnego centrum w Berlinie. Po moim trupie!

Właściciel owinięty białą ścierką przyniósł mięso i jarzyny. Dolał wina.

- Jak paniom smakowało? Co podać na deser?

- Cudowne żarcie! - uśmiechnęła się Nicole. - Dlatego tu przychodzimy, a nie do tych wielkich nadętych restauracji. Podaj nam może brzoskwinie w kremie... podlane tym twoim cudownym sosem, nie wiem z czego...

- Cassis. I nieco cedru.

- Martin, bez ciebie i twojej kuchni życie byłoby ponure!

Karolina z wściekłości ogryzała skórę przy paznokciu. Czy one tak specjalnie? Trzymają mnie w napięciu? A może moje rysunki nie wypaliły? Posłałam je tak dawno... pocztą. Czemu nie chciały, żebym je przywiozła? Może ten mój obłądny pomysł nie chwycił? Może nie będzie mnie ani mojego nazwiska na planszy w czasie Wielkiej Gali?

- Do cholery jasnej, jestem tu! Czy mnie widzicie? - wrzasnęła burząc splątane włosy.

Obie Francuzki roześmiały się głośno.

- Powiedz jej! - poprosiła Nicole,

- Powiem. Oczywiście, że powiem! To będzie, Charlotte, prawdziwa bomba!

Karolina ukradkiem wypluła skórę. Jeszcze przez sekundę lub dwie wpatrywała się martwym wzrokiem w mały

koczek ciasno usadowiony na głowie baronowej, lecz po chwili oczy jej rozblęły.

- Udało się?

- Vivat! Udało się! - przepiły do niej obie. - Powinnaś odnieść sukces. Tego nie pokaże żadna z francuskich ani włoskich firm. Niemniej specjalne podziękowania należą się Marie. Takiej krojczynie zazdroszczą mi już od dawna Dior i Chanel. Zrobiła z twoich projektów prawdziwe cuda.

- A materiały? Nic nie pisałaś...

- Zrobione w Lyonie. Tweed, winyl i bawełna z lycrą. I twoje Vichy, naturalnie. Karolina odetchnęła. Spłynął na nią spokój. Tak strasznie się denerwowała tam,

w Warszawie. Tyle lat czekania... nie spała przez ostatnie noce nawet po zażyciu oxazepamu. I jakie to szczęście, że nie trzeba już wyczekiwać tygodniami na wizę w ambasadzie francuskiej. Jak dobrze, że Europa się otworzyła!

- Kawę? - spytał mały Serge, popchnięty do stolika przez uważnego pryncypała.

- Oczywiście! I może kawałek dobrego sera, co myślisz, Charlotte?

- Ja dziękuję. Jeszcze się nie przestawiłam na francuską kuchnię. To musi potrwać jakiś czas. A w ogóle co słyhać?

- O Montanie ci już mówiłam - Christa z zachwyconą twarzą marniała coś przypominającego konsystencją gumę do żucia. I śmierdzącego jak cztery pary starych skarpetek. - Lanvin przyjął teraz Dominique'a Marlottiego. Tego samego, który przez dziewięć lat był szefem „Dior - Monsieur”. Ale ostatnia kolekcja była jednak trzeba to uczciwie przyznać, oszłamiająca. Mówią wam, różowe atłasy, białe organdy i granatowe jedwabie!

- A krój? - dopytywała się Nicole.

- Proste suknie - tuby, płaszczyki w stylu marynarskim, spodnie z podwyższoną talią, z białej krepy, całkiem niezłe...



- A do nich, jak znam Montanę, marynarskie podkoszulki w poprzeczne białe - granatowe pasy!

Christa spojrzała na współpracownicę z uśmiechem.

- Jakbyś zgadła, chérie! Ale pyszne były spodnie z cieniutkiego zamszu do bluzek z organdy. Naprawdę zasłużył na zeszłoroczny „De d'or"! Wiesz, co to takiego, Charlotte?

- Wyobraź sobie, że wiem. Prestiżowa nagroda „Złotego napastrka" dla najlepszego stylisty.

- Czy rysujesz już coś na zimę? - Christa upiła łyk kawy sięgając po torebkę. - Ja płacę.

- Mnie pytałaś? - ocknęła się Karolina. - Zrobię to... w odpowiednim czasie.

- Uważaj, to stulecie zbliża się już do końca!

\*\*\*

- Gdzieś tutaj - mruknął Jean Paul skręcając w lewo z Avenue Gambetta. - Nie znoszę tej dzielnicy! Replika nowojorskiego Manhattanu.

- Nie przesadzaj. Defense ma swoich gorących zwolenników.

- Jasne! Tych z Teksasu. Jedno, co tu jest lepsze, to miejsca do parkowania.

- Ustaw się jak najbliżej budynku CNIT. Stąd będzie wychodził.

- Jesteś pewien, że go poznasz, Troy?

Młody mężczyzna w dzinsowym garniturze skinął głową. Jego jasne włosy i pszeniczne wąsy nadawały twarzy wyraz słodkiej łagodności, charakterystycznej dla celuloidowego towarzysza lalki Barbie. Na to nabierali się wszyscy. Zarówno szefowie Troya, koledzy i liczne zastępy wrogów.

- Jasne. Teraz czekamy. Włącz radio.

Zawył dziki rap. Jean Paul przekręcił gałkę ze złością.

- Wiesz co ci powiem? Te cholerne dźwięki to zwykłe ubóstwienie nicości! Nieudolność organizowana przez kretynów z mass mediów, aby gloryfikować rzeżącą tandetę i pozwolić zdziecinnieć plebsowi! Ta muzyka to głupota epoki, którą czi młodzież... a wiesz dlaczego? By tym sposobem zamaskować własną pustkę!

Troy wybuchnął głośnym śmiechem. Jego jasnoblękitne oczy zaszczyły łzami.

- Jezu, mamlesz jak skretyniały staroć! Kiedy się właściwie urodziłeś?

- W dziewięćset pięćdziesiątym. Nie tak znów dawno. Ale ta muzyka doprowadza mnie do szału, naprawdę. Słuchaj, lezie tu jakiś typ. To on?

Troy wyplątał się z pasa i otworzył drzwi. Nie odpowiedział. Od pół minuty widział już nadchodzącego. Od pół minuty jego mózg pracował niczym szwajcarski zegarek. Henri Legrand. Pseudonim Szczur. Bo zachowuje się jak szczur. Teraz skręca w kierunku stacji RER. Po co?

- Idę za nim - rzuca cicho w kierunku auta.

Szczur nie zszedł do metra Defense. Kręci się koło fontanny, jak piechur na pustyni, gdy spostrzeże wodę. W końcu wlażł do kafejki, jakich dziesiątki w centrum handlowym. Oparty o kontuar zamówił kalwados. Troy stanął obok. Poprosił o piwo.

- Masz to dla mnie?

Szczur upił łyk i otarł usta dłonią. Nie patrząc na Troya wyjął zza pazuchy plik broszur owiniętych w „Le Figaro - Magazine”. Podał je bez słowa. I bez słowa Troy ukrył paczkę w obszernej kieszeni dżinsowej kurtki.

- Będzie tego więcej - mruknął Szczur. - Przyjeżdża kurier.

- Skąd?

- Z Monachium.

- Nie z Bonn? - zdziwił się Troy.

- Nie. Z Monachium. Znosi się na transport całych kontenerów. Broszury jadą jako materiały konferencyjne dla Krajowego Ośrodka Przemysłu i Techniki. Cło się tym nie interesuje. W ogóle nikt się tym nie interesuje. Poza wami. Jeszcze jedno białe, proszę.

Troy otarł pianę z wąsów.

- Miej na nich oko, Legrand. Nie podoba nam się ta kupa papieru. Do innych krajów też idzie w ten sposób?

- Niekoniecznie. Ci z Bonn i Wiednia szukają punktów przerzutowych głównie do krajów postkomunistycznych. Chcą to rozprowadzać po szkołach i parafiach.

- Parafiach? Kościół się na to godzi?

- Jak który. Muszę już iść. Zadzwonię, jak coś będzie nowego.

Troy został jeszcze przez dwie minuty. Kafejka była niezbyt przytulna. Wolał swoją na rue St. Severin przy St. Jacques.

\*\*\*

- I co? - spytał Jean Paul, gdy drzwi peugeota znów się otwarły.

- Mam. Trzeba sprawdzić, czy to te same szmatławce, które skinheadzi z Niemieckiej Alternatywy rozrzucali w Berlinie podczas kwietniowej rocznicy urodzin Hitlera.

Incydenty czy reguła? Margines czy rosnący potencjał? Zjawisko całkowicie przejściowe czy trwałe element nasilającej się od pół roku kampanii neonazistów? - myślał Jean Paul wyjeżdżając na obwodnicę. - A przecież i tutejsza skrajna prawica szybko rośnie i dochodzi do władzy. - Rozmawiałem z ludźmi Wagnera...

- Tego szefa Wydziału Ochrony Państwa Wspólnego Urzędu Kryminalnego nowych landów? Myślałem, że go zmienili... przepraszam, przerwałem ci...

- Oni oceniają, że tak zwane „twarde jądro”, czyli trzon wschodniemieckiej grupy neonazistowskiej, to około czterdziestu tysięcy młodych ludzi. Działają głównie w Lipsku, Berlinie, Dreźnie, Magdeburgu aż po Frankfurt nad Odrą. Właściwie liczą się dwa ugrupowania: Niemiecka Alternatywa z ośrodkiem w Cottbus i całkiem nowa jej filia w Berlinie.

- Sądzisz, że powinniśmy się specjalnie zająć tymi gówniarzami? Francja ma chyba dość własnych problemów...

- Powiem ci coś mądrego - Jean Paul lekko hamuje. Przed nim w Pont de Neuilly wtacza się żółta ciężarówka. - Wszystkie ruchy, które zmieniały świat, liczyły na początku dwadzieścia osób. A nawet mniej.

- Coś w tym jest! - mruknął Troy. - Z materiałów, jakie dostał mój wydział, jasno wynika, że te wszystkie grupy korzystają jednak z programowego poparcia zachodniemieckich partii, jak Front Narodowy a nawet Młodzież Wikingów. Nasz niemiecki współpracownik - nazywamy go Kretem - sporządził dane dotyczące ich programu. Z czasów hitleryzmu zaczerpnęli głównie kult wodza i SA, duchową więź z NSDAP, nieco elementów rasistowskich, niemieckiego „Urbmenschu” i dziką, wprost zwierzęcą nienawiść do Żydów.

- Nie zapomnij o ich programowym dążeniu do przywrócenia granic Rzeszy z trzydziestego siódmego roku! Gdzie cię wysadzić?

- Najlepiej przy rue Mazarine. Jean Paul uśmiechnął się ukazując zdrowe, białe zęby.

- Ciągle Nicole? Dalej maluje?

- Przeniosła się do działu mody w tygodniku „Elle”. Pracuje też dla Piranii.

- Baronowej Oxenberg?

- Jaka tam baronowa! Jej ojciec był chłopem z okolic Owernii. Wybiła się zafascynowana karierą Coco Chanel. Dzięki swej nieludzkiej pracy. Po śmierci ojca sprzedała ziemię, mądrze zagrała na giełdzie i wyszła za mąż za latorośl Oxenbergów. Baronowie potrzebowali gotówki, a Christa lepszego nazwiska na czołówki gazet.

- Co się stało z Oxenbergiem? Pirania od lat mieszka sama.

- Co się miało stać? Dorwał się do pieniędzy, rozpił się i umarł na raka żołądka już ze dwadzieścia lat temu. Christa miała fart. Wystartowała w branży z dużym świstem. Jest piekielnie zdolna i otacza się wyjątkowymi projektantami. Nicole mówi, że ten pokaz galowy, który szykują u "Ritza", będzie jednym wielkim tryumfem salonu „Christa”. A propos, jesteś zaproszony w sobotę.

- W tę sobotę? - Jean Paul przyhamowuje szukając miejsca do zaparkowania. - Cholera, nie ma gdzie przystanąć! Wyskakuj, bo mnie przyłapie drogówka albo jakaś uparta „pervenche”.

Troy ostrożnie otwiera drzwi.

- W tę sobotę. U Nicole. O ósmej.

- Dobrze, będę. Cześć!

Jean Paul wjeżdża w Saint - Andre - des - Arts, chwilę się zastanawia, w końcu rusza przez most na Sekwanie, skręca w Faubourg St. Honore do Avenue des Ternes, by w ciągu dziesięciu minut zaparkować w zatoczce przed swym domem na rue des Accacias.

\*\*\*

W piwiarni „Pod Starym Słoniem” ruch jeszcze niewielki. Dwóch kelnerów gra w kości przy stoliku nakrytym obrusem w czerwoną kratkę. Elza dużą ścierką przeciera kufle ustawione karnie na cynkowym blacie. Ma czerwone policzki i rude włosy spięte zielonym grzebykiem. Fritz schodzi po

wewnętrznych trzeszczących schodach, ostrożnie stawiając duże stopy. Bolał go stawy i prawy bark. Nie spał dziś w nocy prawie wcale. Przewracał się na ogromnym małżeńskim łóżu, naciągał kołdrę aż po brodę, ale ból, piekielny, wwiercający się w nerwy, nie ustępował.

- Trzeba będzie w końcu przyłożyć pieprzowy plaster - mruczy zaglądając na salę.

Ci sami co wczoraj. I przedwczoraj. Będą też jutro. Można umrzeć z nudów. Gdzie podziała się Liliana? Nie zagląda tu już od pięciu dni. A tak dobrze się wszystko zapowiadało! Kiedy tu przyjechała, w osiemdziesiątym pierwszym roku, miał nadzieję, że ich związek skończy się małżeństwem. Ale jakoś wszystko rozeszło się po kościach. Chciał jej przecież pomóc. Wtedy wypadało pomagać wszystkim Polakom, którzy uciekli z kraju. W Monachium nagle się od nich zaroilo. Nosili plakietki „Solidarności” w klapie i opowiadali o swoim kraju wstrząsające rzeczy. Potem ten stan wojenny... Lilka płakała po nocach. W końcu jednak wzięła się w garść. Jest jeszcze młoda. Ledwie ukończyła czterdziestkę. Zgrabna, wysoka, tyle że włosy jej posiwiały. Sam ją namawiał, by poszła do Rity, fryzjerki. Ma zakład tuż obok. Liliana w pół godziny wyszłaby bez jednego siwego pasma. Dałby jej na to pieniądze. Ale nie chciała. Niech siwieje. Z małżeńskiego łóżka też odeszła. Po pięciu latach. Nawet się specjalnie nie gniewał, bo co on? Właściciel piwiarni, pubu, jak się to teraz modnie nazywa z angielska. Człowiek bez wyższego wykształcenia, nie znający modnych lektur. A ona? Tam u siebie znała malarzy, rzeźbiarzy, ludzi sztuki. Tak w każdym razie opowiadała. Raz wpadł tu taki jeden. Uściskali się serdecznie, choć do niedawna był partyjny. Czas zmienia wszelkie opcje, Fritz raz na tydzień czytywał „Die Welt” i wiele wiedział o krajach za „Wielkim Berlińskim Murem”. Teraz, kiedy już ten mur runął, Lilka lekko oprzytomniała. Już

Monachium nie było dla niej wybawieniem. Już nie chciała dzielić z Fritzem mieszkania nad piwiarnią. Związała się z grupą międzynarodową, która tu w Monachium próbowała robić teatr eksperymentalny. Ale chyba nic im z tego nie wyjdzie. Tu ludzie nie lubią żadnych dziwactw. On życzy Lilce wszystkiego najlepszego, choć żałuje, że nie obejmie po nieboszczce Grecie ani kasy w piwiarni, ani tych złotych bransoletek, które leżą schowane pod chusteczkami w lewej szufladzie komody. Szkoda, i tyle.

Wchodzi za bufet i zaraz zzuwa piekące buty. Pod barem stoją drugie: stare, ze ściętymi obcasami. Ale wygodne i nie uciskają dużego palca w lewej stopie.

- Szefie - kelner Klaus pochyla się nad barem. Z jego ust dobywa się zapach nie strawionych żeberek. - Tam pod oknem...

- Co? - Fritz cofa głowę.

- Proszą pana do stolika.

Fritz znów wciska stopy w eleganckie pantofle. Ociera czoło rzucając ukradkowe spojrzenie na stolik. Dwóch mężczyzn rozmawia ze sobą ścisłymi głosami. Fritz wydmuchuje powietrze z płuc. Lata pracy w tym zawodzie wiele go nauczyły. Umie rozpoznawać ludzi po fizjonomii, potrafi odgadnąć profesję, wiek i czasem nawet złe myśli krążące po niewidocznych zwojach mózgowych. Umie ocenić nie tylko urodę pań, ale też ich majątek, mądrość życiową lub kompletną głupotę, skrytą pod wymyślną fryzurą i pozorną elegancją. Kim są ci dwaj nieznajomi? Po pierwsze, nie pochodzą z Monachium. Po drugie, jeden z nich jest cudzoziemcem... chyba Francuzem. Nie piją piwa, tylko wytrawne beaujolais rocznik osiemdziesiąty czwarty. Ten drugi jest Niemcem. Ma na sobie szary garnitur „pieprz z solą”, jakie noszą ci wszyscy z Bonn, którzy teraz będą się musieli przeprowadzić do Berlina razem z ich ministerstwami.

Obaj są na pewno „polityczni”. Mój niezawodny nos mi to mówi. A on rzadko się myli.

- Czym mogę służyć szanownym panom? - ukłon Fritza jest taki, jak być powinien: dostatecznie niski, by goście poczuli się uhonorowani, i niezbyt przesadny, by nie pomyśleli, że właścicielowi znanej w Monachium piwiarni „Pod Starym Słoniem” kark się zgina zbyt łatwo.

- Pan Fritz Lindmacher?

- Do usług.

- Mój przyjaciel i ja, wybaczy pan, że się nie przedstawiamy, znaleźliśmy się tu z polecenia pańskiej siostrzenicy, Helgi Schneider, pracownicy kancelarii „Grossner und Sohn”...

Z czoła Fritza znika siateczka zmarszczek. Helga, dziewczyna, która się wybiła. Córka ukochanej siostry nie widzianej od dziesięciu lat. Dokładnie od czasu, gdy przy Fasenstrasse drei und vierzig pojawiła się Liliana Żakowska z Polski. Katharina nigdy mu nie darowała tego, że „ta Polka” sypia pod puchową kołdrą Grety. Tej, z którą przeżył trzydzieści lat. I którą pochował na miejscowym cmentarzu w kwaterze 2607 pod żelaznym krzyżem z pożątkłą fotografią.

- Jak się ma mała Helga? - Fritz nie przysiadł na krześle obok. Nie pozwalała mu na to godność właściciela lokalu.

- Ma się dobrze. Wyrosła na piękną pannę - mężczyzna w szarym garniturze leciutko sepleni. - Ale nie o niej chcieliśmy rozmawiać. Może pan usiądzie?

- Prosimy - ostre „r” zdradza Francuza. Nie tylko krawat od Ivesa Saint Laurenta.

Fritz przecząco kręci głową.

- Szanowni panowie wybaczą, ale ja tu pracuję. Nie mogę zajmować się czym innym, skoro starzy klienci czekają przy barze. Jeśli panowie mają do mnie jakąś inną sprawę niż kufel



jasnego, zapraszam do siebie, na górę, po dwudziestą drugą.  
A teraz... proszę wybaczyć.

Dwaj mężczyźni wolno popijają z kieliszków.

- Może być trudniej, niż sądziłem - mruczy Niemiec.

- Chyba nie. Gość się szanuje. To mi się nawet podoba.  
Chodź, Ulrich, pójdziemy do hotelu. Wrócimy wieczorem -  
rzuca na stolik banknot i podnosi się z miejsca. - Chętnie się  
zdrzemnę.

Obaj nie oglądając się wychodzą, z trudem popychając  
ciężkie, dębowe drzwi. Na ulicy zapalają się światła. Z  
szumem opon mkną po jezdni dziesiątki, setki aut. To  
monachijczycy spieszą po pracy do swoich domów. Lub do  
piwiarni, których neony kolorowo rozbłyskują na tle  
ciemniejącego nieba. Chmury nadpływają z zachodu. Zaczyna  
krozić ciepły lipcowy deszcz.

Fritz z uwagą napełnia kolejne kufle. Coś mu mówi, że  
sprawa, z jaką przyszli owi dwaj nieznajomi, nie jest całkiem  
czysta. Czuje to przez skórę. Postanawia, że będzie bardzo  
ostrożny. Aż do przesady. Helga Helgą, a interes interesem.  
Od tylu lat ma do czynienia z Urzędem Podatkowym i policją,  
że niezbyt mu się uśmiecha dokładać do tego jeszcze, nie daj  
Boże, Urząd Ochrony Konstytucji.

\*\*\*

Zofię obudził dzwonek do drzwi: ostry, natarczywy.  
Zerwała się z łóżka zerknąwszy na zegarek: wpół do  
dziewiątej! Boże, jak późno. Czy zdąży ze wszystkim? Ci  
Niemcy są jak dzieci - przyjęcia zaczynają o piątej po  
południu! - Zupełny Kinderball - myślała naciągając szlafrok.  
Zbiegając ze schodów przyglądała w pośpiechu włosy.

- Już idę, idę!

Dzwonek znów zabrzmiał. Ki diabeł o tak wczesnej  
porze? Za przeszkloną szybą majaczy ciemna sylwetka.

- Wer ist da?

- Z kwiaciarni - głos jest młody, wesoły.

Zofia otworzyła drzwi przytrzymując dłonią poły szlafroka. Wielki bukiet w srebrnej folii z przypiętą kartką. Poślaniec miał rozwichrzoną czuprynę i szeroki uśmiech.

- Frau Knopf?

- Tak. Dziękuję. Zaraz... proszę chwilę poczekać... Zofia musi wrócić na górę torebkę z pieniędzmi. Zabawny chłopak cierpliwie czeka za drzwiami.

- Dziękuję - cieszy się na widok pięciomarkowego napiwku. - Życzę wszystkiego najlepszego!

Zofia kiwa głową. Wraca do salonu, by rozpakować kwiaty. Pięćdziesiąt jeden róż o purpurowych mięsistych płatkach. Zapach subtelny i silny zarazem uderza w nozdrza. Kwiaty są okazowe. Tylko stanąć przed sztalugami i malować. Gdybyż umiała! Bilet wizytowy znany od pięciu lat. To mąż - Willi! Takie same sztywne, białe kartoniki z eleganckim nadrukiem załączał, gdy jej posyłał kwiaty przez Interflorę do Krakowa.

Mojej ukochanej żonie Sophie, na urodziny, Willi - odczytuje półgłosem. Po raz któryś w swoim życiu jest pewna, że postąpiła dobrze. To małżeństwo było wygranym losem na loterii. Szkoda tylko, że tak późno. Straciła tyle lat, w Krakowie, wykonując głupią pracę dla głupich ludzi. Tak. Nie posłuchała zazdrosnych koleżanek ani sióstr. Nie została w kraju wstrząsanym politycznymi konwulsjami, choć tego się domagali tak zwani patrioci. Jak się tylko nadarzyła okazja, opuściła Polskę bez żalu. I zabrała swoją rodzinę: Marię, jej nieco flegmatycznego męża - chirurga i małą Magdę. Chociaż dzieci nie będą przeżywać niepotrzebnych stresów. Ona sama czuje się w Bonn znakomicie. Nie musi całymi godzinami wysiadywać w sądzie, wysłuchując obrzydliwie nudnych ludzkich spraw, które jej nigdy nie interesowały. Może jeszcze na studiach, może w czasie pierwszego małżeństwa z

Krzysztofem... Tak, może. Krzysztof był oburzony jej wyjazdem do Niemiec. Wie o tym od Marii, która choć rzadko, to jednak czasami komunikuje się z ojcem. Maria nie znosi jego obecnej żony - Julii. Mówi o niej z przekąsem: „Złapała tatę na swoje choroby. Urojone zresztą. Teraz, żeby być wobec niego w porządku - choruje naprawdę. Ostatnio urosła jej w stopie ostroga. Kuleje. Ojciec ma na głowie ją, psa i kota. Zzółkł, zszarzał i zdecydowanie zgłupiał. Mało co czyta poza książkami o AK. Zamyka się w swoim pokoju i przegląda dokumenty po dziadku. Także stare fotografie. Jest tym wprost opętany. Powiedział, że jak pójdzie na emeryturę... zacznie pisać. Wyobrażasz sobie, mamó? Co on może napisać?”

Zofia potrząsa głową. Purpurowe róże w kryształowym, tradycyjnym wazonie wyglądają przepięknie na tle szarej tapety. Pierwsze, co zrobiła w swym nowym końskim mieszkaniu, to wymiana tapet. Niemcy pod tym względem nie grzeszą najlepszym gustem. Toteż bez pytania męża o zgodę kazała wymienić pęki kwiatów na gładką szarość o fakturze grubego płótna. Willi nieco kręcił nosem, że smutno, ale nie zamierzał robić uwag. A potem przyzwyczyił się i wskazując odwiedzającym ich przyjaciółom nowe ściany zwykł mawiać: „Sophie ma doskonały gust. Te poprzednie bukiety były nieco... hotelowe, nieprawdaż?”

Dziś zmienione są też meble. Zofia najdłużej zwalczała tradycyjny niemiecki Schlafzimmer z podwójnym szerokim łóżkiem. Tłumaczyła speszonemu Williemu, że jak się przekroczyło czterdziestkę, ba, nawet trzydziestkę, należy mieć oddzielne sypialnie.

- Chrapiesz, a mnie to przeszkadza!

Biedny Willi! Żeby on wiedział, jak przeraźliwie chrapał jej poprzedni mąż, Krzysztof! To dopiero była tortura! Z sypialnią poradziła sobie po dwóch latach małżeństwa,

podczas dłuższej nieobecności męża. Coś go zatrzymało w Wiedniu, jakaś ważna rozprawa, dokładnie nie wie co, bo trzeba przyznać, nic jej już obecnie nie obchodziło prawo. Korzystając z okazji kazała firmie charytatywnej, jakich tu, w Bonn wiele, zabrać czeczotowe meble. W zamian kupiła dwa tapczany z miękkimi poduszkami i fotele pasujące do całości. Na razie zachowała wspólny pokój, nie chciała wyprowadzać się ostentacyjnie. Postanowiła, że zrobi to w „sposób cywilizowany”. Na przykład podczas jakiejś grypy, która zawsze przecież może się wydarzyć. Sypianie z mężczyzną nigdy nie należało do jej największych przyjemności. Może dlatego, że już jako trzynastolatka oddała się masturbacji. Od wielu lat sprawiało jej to niewysłowioną rozkosz. Potrafiła nagle rzucić się na posłane już łóżko nie mogąc doczekać się chwili, gdy własna dłoń doprowadzi ją do orgazmu, jakiego nigdy nie doznała z żadnym mężczyzną. W czasie krótkiego małżeństwa z Krzysztofem nauczyła się udawać namiętność, choć nie czuła nic. Teraz też to robi. Nigdy, ani jeden, ani drugi niczego nie zauważyli. Ale szczęśliwa jest tylko wtedy, gdy zostaje sama z sobą. I teraz, też... patrząc na płonące róże czuje, jak jej krew uderza do głowy, a między udami spływa wilgoć.

\*\*\*

Zofia, czerwona i rozczochrana zerwała się z tapczanu słysząc skrzypienie kuchennych drzwi na dole. To Frau Meier przyszła pomóc w przygotowaniu popołudniowego przyjęcia. Szybko ogarnęła się znikając w łazience. Strumień letniej wody powodował, że powracał spokój, koły się rozdygotane nerwy, krew krążyła leniwiej. Czerwone plamy znikwały z twarzy, szyi i podbrzusza. Wszystko stawało się łatwe, proste i normalne. Kochała te chwile i swoje pięćdziesięciojednoletnie ciało, które wciąż silne i sprężyste, dostarczało jej rozkoszy. Samowystarczalność to wspaniałe uczucie! - myślała mydląc

piersi - daje mi swobodę i władzę. Nigdy nie będę zależna od męskiej chęci czy potencji. Nie muszę gryźć paznokci i chodzić po ścianach jak inne, znane mi kobiety. Te z kawiarni i sądowej ławy. Zdane na miłość lub obojętność. Rozkochane do szaleństwa w silnych ramionach, płaskich brzuchach i mocnych udach mężczyzny. Dla mnie ważne jest, żeby był, miał pieniądze i stworzył mi godny byt. Wytrzymam tę łózkową ekwilibrystykę tak długo, jak długo Willi będzie miał ochotę. Najważniejsze to móc oddychać szeroko tu, w mieście, gdzie dobrobyt wylewa się na ulicę. Nie gnuśnieć w marazmie i paroksyzmach starego kraju. Tu jest bezpiecznie. I mam je obie: Marię i Magdę. Czegóż mi jeszcze trzeba?

\*\*\*

Z salonu dźwięki muzyki dobiegały aż do kuchni. Frau Meier zwijała się jak w ukropie: maleńkie kanapki na krakersach z tuńczykiem i łososiem, sałatka ze świeżego kalafiora, groszku i jajek, krem z krabów w wysokich pucharkach, wyglądający jak lody malinowe, pomidorki nadziewane pieczarkami i serem gruyer, płaty szynki zwinięte ze szparagami i majonezem. Wszystko bajecznie kolorowe, upstrzone zieloną pietruszką, cząstkami grapefruta i mandarynek. Na deser będą dwa torty, specjalność pani domu, na recepturach przywiezionych z Polski: bezowy, pachnący lekko spirytusem, z gęstą masą kawową i makowy, bez mąki, przekładany dżemem morelowym. Ciemny jak noc i lepki jak mgła. Wino reńskie i mozelskie, w kolorowych Roemerach, i musujące rose z winnic położonych na zachód od Rodanu.

Na Geburtstag pani domu nie zaproszono zbyt licznych gości. Przeważnie dawni i obecni koledzy męża z rodzinami. Kobiety tworzą barwną grupę skupioną wokół stołu. Każda chce popatrzeć, jak to też „ta Polka” ubiera stół, jak układa sztucce i porcelanę. I trzeba przyznać, że owe „ochy” i „achy” są jak najbardziej na miejscu. Biały, ćmielowski serwis,

fioletowe świece w srebrnych świecznikach, małe bukietki fiołków i lila serwetki o falbaniastych brzegach. Kolorystyczny ład i najwyższej klasy elegancja. Bońskie panie domu wyglądają na nieco speszone. To, co tu widzą, nigdy nie znalazło się na ich domowych stołach. Potrzebny jest, jak zawsze, świeży pomysł, a na to już ich nie stać. Gryzą więc porcelanowymi ząbkami owe cuda i zazdroszczą Knopfowej całym sercem, do czego, być może, przyznają się dopiero w zaciszu własnych czeczotowych sypialni u boku pochrapujących mężów.

- Czy była pani ostatnio z mężem w Wiedniu? - dopytuje się stara pani Mosbacher wygrzebując z pucharka resztki kremu.

- Nie. Nie miałam tam żadnego interesu. Zresztą Willi niezbyt lubi, jak mu się przeszkadza.

- A córka? Już się całkowicie zaaklimatyzowała w Bonn? Jak jej się tu mieszka? A jej mężowi?

- Zechcą panie ich samych o to zapytać. Właśnie wchodzą. Zofia spieszy na powitanie Marii. Przyszła razem z Dariuszem.

- A gdzie Magda? Nie wzięłaś jej na babci urodziny?

- Wybacz, mamó - Maria całuje ją w policzek. - Ale mała uczy się roli. Będzie występowała w przedszkolnym przedstawieniu jako żabka!

- To naprawdę wielkie dla niej przeżycie! - śmieje się Darek wręczając teściowej bukiet z fioletowych irysów i ostróżek. - Wszystkiego najlepszego! Stulecie zdrowia i szczęścia!

Zofia wprowadza nowo przybyłych do salonu. Nie wszyscy ich znają.

- Moja córka i zięć. Spóźnili się, bo obydwójce pracują w klinice doktora Witterhoffa. Są lekarzami.

Frau Leibnitz, żona prokuratora okręgowego, zaciska wąskie wargi.

- To cudownie, że pracują w swoim zawodzie. Inni Polacy, mąż mi mówił, pomimo dyplomów szorują garnki w knajpach.

- Zapewne są i tacy - uśmiecha się nieszczercze Dariusz - ale ci, co znają język i zrobili dyplomy, pracują normalnie.

Frau Leibnitz nie daje za wygraną.

- Dużo tu do nas przyjechało imigrantów z Polski. Mówi się, że przeważnie Żydzi. Opanowali apteki, szpitale... także w Bonn.

- Pierwsze słyszę - głos Marii brzmi ostro - znam tu wielu lekarzy żydowskiego pochodzenia, ale ci są rodowitymi Niemcami. Czyżby pani była antysemitką?

Karl Streiss uśmiecha się pod przystrzyżonym wąsem. Jest tajemnicą poliszynela, że dziadek prokuratora Leibnitza miał na przedmieściu sklep żelazny. A jego brat zginął w obozie. Za nic. Za pochodzenie.

Prokurator Leibnitz wściekle zerka na żonę. Znów się wygłupiła, stara gęś! Rozwiódłby się z nią już trzydzieści lat temu, gdyby nie klauzula małżeńska. Wniosła w ten związek fabrykę aparatów pomiarowych o niezłym rocznym dochodzie. Dziś, po latach, ich wspólny majątek jest nie do rozdzielenia.

- Ależ, Brygido, co za głupstwa opowiadasz!

Zniknęła już szynka, pustoszeją miseczki z czarnym i czerwonym kawiolem, grupki gości zbiły się w kółka bardziej lub mniej sobą zainteresowane. Króluje pasztet z gęsich wątróbek i grzanki z mózdzkiem na gorąco.

- Coś wspaniałego, Sophie! Wprowadziła pani zupełnie nam nie znane dania! - zachwyca się adwokat Berenstein poprawiając okulary w grubej, szylkretowej oprawie. Z talerzyka znika w jego wydatnych ustach ostatnia okruszyna.

- Można panu jeszcze coś podać? - Zofia wie, że o tym stole będzie się mówiło jeszcze przez długie tygodnie. - Może krem z krewetek? Jest wspaniały.

Adwokat oblizuje wargi. Ma minę chłopca, który wbrew matce zjadł lody.

- Chyba nie odmówię.

- Wyjeżdżacie gdzieś w sierpniu? - Hannelore Stolzer uczepiła się łokcia Zofii.

- Och, zapewne. Marzy mi się wieś.

- Trzeba przejrzyć propozycje biur podróży - wtrąca się wścibska Frau Leibnitz. - Jakieś wyspy, ciepłe morze... wieś? Po co jest wieś? Zawsze myślałam, że trzyma się tam krowy, by nie tarasowały centrum Bonn. Cienkie śmieszki w niczym nie przeszkadzają żonie prokuratora. On sam unosi wzrok ku niebu, jakby przepraszając anioły za ignorancję połowicy.

Podano kawę, torty i koniak. Goście porozsiadali się nareszcie na wygodnych fotelach i kanapach. Rozmowy dotyczyły podatków, cen produktów i afery łapówkowej w bońskim sądzie.

- Jak się czujesz? - Maria z przyjemnością przygląda się matce. - Wydaje mi się, że jesteś szczęśliwa.

Zofia mruży oczy.

- Co to jest szczęście, moje dziecko... ale tak, masz rację, jestem spokojna. Przez te wszystkie lata w Krakowie nie wiedziałam, co to prawdziwy dom. Sama wiesz. Marne mieszkanie, sąd, pyskówki, zebrania partyjne... to była vegetacja. Zapomniałam, że jestem kobietą. Że mogę się ubrać, pójść do teatru czy kina...

- Chyba w ogóle nie czułaś się kobietą - Maria wodzi palcem po złotych guzikach zakietu. - W małżeństwie z ojcem, prawda?

Zofia odchyła głowę.



- To skomplikowany człowiek. Bardzo samolubny, zapatrzony w swój wewnętrzny świat. Kiedy poznałam Krzysztofa, na studiach, był bardziej otwarty. Ale miał już za sobą trudne lata. Polityczny proces ojca, jego więzienie. Żyła jeszcze jego matka. Mała, drobna, niezbyt mądra kobietka, która śmiejąc się zasłaniała usta dłonią.

- Taka była babcia? Nie pamiętam jej prawie zupełnie. Za to mnóstwo jakichś starych ciotek...

- Tak. Do niektórych z nich Krzysztof był bardzo przywiązany. W ogóle lubi starych ludzi.

- A jak z kobietami?

- Z jakimi kobietami? - Zofia z trudem wraca do wspomnień.

- Ojca. Miał jakieś, przecież. Zofia pochmurnieje.

- Dlaczego o to pytasz? Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą na ten temat. W naszej rodzinie nie mówiło się...

- Wiem. W przyzwoitych małżeństwach istnieje temat tabu. Jakie to staroświeckie! Czy ojciec cię zdradzał?

Zofia wzrusza ramionami.

- Pewnie tak. Maryniu, na litość Boską! Dlaczego nie opowiesz raczej o Magdusi? To mnie bardziej interesuje...

- Tak, naturalnie. Ale dziś chciałam coś wyjaśnić. Widzisz, rozmawialiśmy z Darkiem o naszym mieszkaniu, które sprzedaliśmy wyjeżdżając tutaj. To, które ojciec nam kupił...

- Wam się chociaż udało. Ja musiałam swoje zostawić. To też wina Krzysztofa...

- Ale sprzedając nie wiedzieliśmy, że kupiła je siostra... narzeczonej taty! Znasz nazwisko Liliana Żakowska?

Zofia przymyka oczy. Czy zna to nazwisko? Pewnie, że zna! Krzysztof biegał z nią na kilometrowe spacerunki, krążył wokół jak wierny pies. Ale mu się nie oddała. W końcu odbił ją najlepszy przyjaciel. Jednak po wielu latach stara miłość

wróciła. Lilka przyjeżdżała do Krzysztofa do Warszawy. Tak, miała siostrę. Małą przysposobioną Cyganekę. I matkę - handlarzkę z Kleparza. Co się z nią dzieje? Wysoka, szczupła dziewczyna, sporo wyższa od Krzysztofa.

- Znam - mówi odstawiając talerzyk z nie tkniętym kawałkiem tortu. - Pamiętam ją. Była narzeczoną ojca, zanim mnie poznał. Nieciekawa rodzina...

- Tato wolał solidną, rzemieślniczą jak nasza, co? Stolarze, rymarze, cukiernicy...

- W mojej rodzinie nie było żadnego cukiernika! - zachnęła się Zofia.

- Ale dziadek Julii był warszawskim cukiernikiem! Wracając do tej Żakowskiej, podobno mieszka tutaj.

- Jak to: tutaj? - zdziwiła się Zofia.

- W Niemczech. Podobno wywiózł ją z Polski jakiś cudzoziemiec tuż przed stanem wojennym.

- Była w „Solidarności”?

- Różnie się o tym mówi w Krakowie. Dziś mieszka w Monachium. I podaje piwo w knajpie!

Zofia spojrzała na córkę z niedowierzaniem. To, co mówiła Maria, nie wydało jej się wcale takie śmieszne. Wróciły wspomnienia sprzed bardzo wielu lat: studia prawnicze na krakowskim uniwersytecie, ciężkie warunki życia, Krzyś wtedy jeszcze młody... potem małżeństwo, narodziny Marii, pierwsze kłótnie. Znikał z domu, bywał u przyjaciół, także w domu Liliany. Tam poznał swoją późniejszą miłość... Karolinę, o którą Lilka była piekielnie zazdrosna! I pomyśleć, że to wszystko działo się, kiedy ja jeszcze byłam jego żoną. A teraz Żakowska przeniosła się do Niemiec. Zdumiewające losy...

Goście pomалу się zegnają. Niemiecki obyczaj jest surowy: dłużej niż cztery godziny nie wypada obsiadać kanap. Z wybiciem godziny dziewiętej należy unieść przejezione

zołądki, rozprostować zasiedziałe kości i zegnając wesołym: Happy birthday to you! - wynieść się do własnych pieleszy. Tam połknąć porcję sody lub Vichy i zgasiwszy światło odwrócić się do ściany w podwójnym małżeńskim łożu. O żadnych figlach nie może być mowy. Po przepiciu i przejedzeniu seks jest niewskazany.

W każdym razie wśród Mittelklasse w Bonn.

\*\*\*

Ósma dzielnica Paryża, tak jak i szesnasta, należy do bardziej eleganckich, zamieszkałych przez ludzi zamożnych, mogących zapłacić dużo większy niż gdzie indziej czynsz za ładniejsze i wygodniejsze mieszkanie. Do takich należał dom przy Balzac, w trójkącie pomiędzy szeroką Avenue Hoche, rue du Faubourg St. Honore i Avenue Friedland. Dosłownie o parę kroków od Łuku Tryumfalnego i Etoile.

Nicole, wynajmując obszerne studio na czwartym piętrze, miała stąd wszędzie blisko. A dodatkową atrakcją był duży taras pełen zieleni wychodzący na cichą stronę, skąd nie dolatywał szum samochodów i klaksony autobusów. Duża pracownia mała sypialnia, wygodna łazienka i nieco zbyt ciasna kuchnia tworzyły w sumie całość, w której dało się żyć i pracować. I czasem, jak dziś, przyjmować gości.

Na szczęście madame Touvier, konsjerżka i doskonała kucharka, służyła zawsze pomocą. Oczywiście za kilkanaście sporych banknotów, którymi Nicole obłaskawiała również jej męża, gdy należało coś naprawić.

Nicole była niezłą, o czym mało kto wiedział, malarką. Jej prace wisiały w paru ekskluzywnych galeriach pod arkadami na placu des Vosges, a nowojorski agent z osiemdziesiątej czwartej Zachodniej całkiem nieźle płacił za abstrakcyjne pastele, pełne tajemniczej szarości i czerni. Kobieta, dobiegająca czterdziestki, o figurze modelki i cienkich blond włosach obciętych „na pazia”, miała za sobą dwa niezbyt

udane małżeństwa i doskonale zorganizowane życie zawodowe. Od paru miesięcy po apartamencie utrzymanym w ciepłych tonacjach pomarańczy snuł się atrakcyjny, nieco rudawy blondyn o gęstych włosach, pszenicznych wąsach i anglosaskim imieniu Troy. Choć mężczyzna był rodowitym Francuzem z Owernii, jego akcent trochę śpiewny, zatracił czasami nutką amerykańizmu. Troy śmiał się, że to wpływ Uniwersytetu Yale i tamtejszego, okropnego slangu. Nicole rozczułała się, gdy francuskie Champs Elysees brzmiało w jego ustach jak „Czemps Elajzys”. O jednym tylko nie chciał lub nie mógł z nią rozmawiać: o swojej pracy. Sądziła, że ma to coś wspólnego z Palais de Justice a właściwie Conciergerie. I jeszcze z jakimś tajemniczym wydziałem. Jego amerykański język, którym posługiwał się czasami w rozmowach telefonicznych, wydawał jej się wyjątkowo zabawny. Kiedyś łączył się z jej aparatu z Langley - miejscowością pod Waszyngtonem, i kongresmanem Mc Curdym. Na pytanie, kto, u diabła, czeka na informację po drugiej stronie oceanu w świąteczny poranek, roześmiał się odsłaniając zęby niczym rafa koralowa:

- Oczywiście szef Wydziału Operacyjnego Wywiadu!

To zamknęło jej usta raz na zawsze. Scotland Yard był ewentualnie jeszcze do zaakceptowania. Jakiś domowy Sherlock Holmes też. Ale CIA? Nigdy!

Nicole zajrzała do kuchni. Prawdziwa... la grande bouffe! Zupa marsylska, coś w rodzaju bouillabaisse, z bułką i dobrym rocznikiem chablis, ale przyrządzona na wzór paryski, z kawałkami krewetek, raków i homarów. A potem z całkiem innej beczki: pao - san - jang, czyli bukiet mięsny z wątróbki, cynaderek i schabu z ryżem, na pekińską modłę.

Troy będzie zachwycony! - pomyślała wciągając zapach w nozdrza. - Uwielbia chińską kuchnię. A dziś ma tu przyprowadzić swego przyjaciela, o którym nie wolno mi

niczego wiedzieć poza tym, że jest przystojny, wysoki, niewiadomego stanu cywilnego. Oraz że pracuje GDZIEŚ TAM. - Nicole westchnęła - jeśli ktoś już pracuje „gdzieś tam”, to przeważnie jest to policja, żandarmeria, wywiad, wojsko lub obca agentura. Trzeba go zatem nakarmić, napoić i czym prędzej wyrzucić za drzwi. Oczywiście, o ile nie chce się mieć dodatkowych kłopotów.

Nicole narzuca sukienkę. Skroła ją pani Maria z pracowni „Christa”, talia osy i spódniczka z plisowanych falban, żywcem wzięte z najlepszych filmów Brigitte Bardot. Tylko zupełnie inna kolorystyka: gamy barw meksykańskiego lata. Podobną zaproponowała w nowych rysunkach przeznaczonych dla Piranii. A swoją drogą, jak bardzo to przezwisko przylgnęło do Wielkiej Christy! Trzeba przyznać, że zna się na modzie jak mało kto. I że ją cenią ci najwięksi. Ale też potrafi wydusić z projektanta ostatnie soki. Ta moja biała krynolinka na halce ze złotej koronki, pokazana przez czarnoskórą modelkę z Gabonu, podbiła cały Paryż!

Nicole delikatnie muska pędzelkiem czubek nosa i brodę. Odrobina złotawego pudru. Dziś nie położy cieni na powieki. Nie utuszuje też rzęs. Tylko różowobeżowa szminka od madame Gould i jej perfumy Mech o zapachu wędnących liści. Perwersyjne, trzeba im to przyznać. Niepodobne do żadnych innych. Na Troya działają porażająco!

Dźwięk dzwonka rozbrzmiewa melodyjnie.

- Hej! - cieszy się, gdy pszeniczne wąsy łaskoczą jej ucho.

- To jest Jean Paul. Przyjaciel, o którym ci opowiadałem.

Nicole musi unieść wysoko głowę, by spojrzeć w głębokie czarne oczy mężczyzny, który tarasuje wejście. Ma w sobie coś orientalnego. Fachowe oko malarki dostrzega to bezbłędnie. Tylko nie wie co. Algierczyk? Mieszaniec? Nie, nie to. Ani żaden pied noir.

Szary jedwabny garnitur, jaśniejsza o ton koszula i niewiarygodnie piękny krawat.

- Witam pana - Nicole czuje na sobie uważne, taksujące spojrzenie. Tak patrzą na kobiety tylko Francuzi. - Proszę. Jeszcze nie ma nikogo.

Jean Paul rozgląda się po wnętrzu. Robi to dość ostentacyjnie. Podoba mu się spokój tapet, miękkie meble i dużo zieleni. Podoba mu się również pani domu, choć na jego męski gust nieco zbyt szczupła.

Nicole znika w kuchni, by przykręcić gaz pod zupą. Troy z niecierpliwością patrzy na przyjaciela.

- No? I co?

Jean Paul szczyrzy zęby.

- Gratuluję, stary. Piękna pani i piękne wnętrze. Zobaczę taras. Rewelacyjne rozwiązanie - mruczy oglądając uważnie system irygacyjny, skomponowany ze zbiorniczków i szklanych, przysłoniętych liśćmi rurek. A przy okazji uważnie lustruje dachy sąsiednich domów. To nawyk zawodowy. Nie do zlikwidowania. Dzwonek dzwięczy raz po raz. Pracownia napęlia się gośćmi: parę modelek od Givenchy'ego i Ungaro, projektant i znany paryski playboy Di Stefano, szefowa działu mody z „Elle”, jej przyjaciel, modny adwokat - cywilista i aż trzech chirurgów z paryskich klinik specjalizujących się w operacjach plastycznych. To oni ukształtowali rysy Fai Yu - tso, brązowskórej Brazylijki Morano i najlepszej modelki Gianfranca Ferre - Włoszki Claudii. Ta ostatnia - znana z najśłynniejszych piersi od Neapolu po Monaco. Też dzieło jednego z nich. Claudia prezentuje kostiumy kąpielowe i plażowe akcesoria. Jest wesoła, dowcipna i odcytana, co w świecie modelek stanowi rzadkość. Od razu postanowiła zająć się „na serio” nikomu tu nie znanym Jean Paulem. Aby to osiągnąć możliwie bez zbytniego wysiłku, nawiązała do ostatniego telewizyjnego programu publicystycznego, znanej

pisarki i socjologa Armelle Oger, pod przewrotnym tytułem: „Czy prawdziwi mężczyźni są jeszcze na świecie?”

- Oto naoczny przykład! - oświadcza wskazując Jean Paula zajętego wydłubywaniem z miseczki kawałków homara.

- Mówi to pani z taką protekcyjną sympatią - zażartował zaczepiony - iż należy sądzić, że ubolewa pani, Claudio, nad naszym męskim zagubieniem we współczesnym świecie.

- Mężczyznom przydałaby się nowa rola. Są tak znerwicowani, że coraz gorzej radzą sobie w łóżku! Gdzie się podział Francuz - legendarny kochanek, za którego chciał zawsze uchodzić - wtrąca mademoiselle de Vitrail z tygodnika „Elle”, czterdziestokilkulatka o ostrym profilu i pięknych, długich nogach.

- Tylko we własnych oczach! - śmieje się Viviane w sukni od Ungaro, koloru morskiej wody. Wszystkie modelki tam pracujące mają zastrzeżone w kontrakcie noszenie wyłącznie rzeczy firmowych. - Oni dziś nie wiedzą, do czego służą!

Jean Paul zabawnie marszczy brwi. Nie zna tego światka, nigdy z nim nie miał do czynienia. Piękne kobiety działają na niego jak na każdego samca w średnim wieku.

- A zatem... zastanówmy się nad tym, do czego służą! Nie do zarabiania Pieniędzy, kobiety równie dobrze dają sobie z tym radą. Nie do odtykania kranu, tego nauczyły się same. Nawet nie do zrobienia dziecka, w dobie sztucznego zapłodnienia...

Dzwonek przerywa na moment powszechną wesołość. Wchodzą nieco spóźnione i lekko tym zażenowane Christa z Karoliną. Pierwsza witana powszechną aprobatą, druga, nikomu nie znana, poza panią domu, z zaciekawieniem. Stugębna plotka już obiegła środowisko o nowym odkryciu Piranii.

- Przedstawiam wszystkim moją nową gwiazdę: Karolinę Stengert. Mam nadzieję, że jej kolekcja sprawi, iż będziecie gryźć palce z zazdrości... Och, Chardonier, dobrze, że cię widzę. Chyba wybiorę się do kliniki, żeby sobie poprawić podbródek...

- Na Boga, Christo, chyba nie zaraz! - Chirurg przeciera okulary w złoconej oprawie.

- Zrobisz to, bez dyskusji! - odpiera Pirania.

- A ja, idiota, myślałem, że niewolnictwo zostało zniesione!

- Już Arystoteles uważał, że niewolnik jest myślącym narzędziem - wtrąca Troy.

Nicole sadza Karolinę w fotelu przywleczonym z sypialni.

- Spóźniłyście się nie tylko na bouillabaisse gorącą jak piekło, ale i na wyjątkową dyskusję o przydatności mężczyzn.

- O Boże! - wzdycha Christa lokując się na kanapie obok brązowskórej Brazylijki - wystarczy otworzyć numer „Lui” z ankietą: „Jak być mężczyzną w 1992 roku?” Okazało się, że jedna piąta Francuzów poznała w życiu tylko jedną kobietę, a prawie połowa... słuchajcie uważnie... nie miała w życiu więcej niż cztery partnerki seksualne! Jeszcze więcej z nich żywi niezachwiane przekonanie, że najlepszy byłby... celibat!

Wniesienie chińskiej potrawy zapobiegło nieuniknionej rewolcie w gronie panów.

- A ja wam mówię - adwokat - cywilista nerwowo poprawia perłowy krawat - że Francuzi w ogromnej większości całkiem są z siebie, jako mężczyźni, zadowoleni. Mało który zastanawia się, czy mogłaby się w nim zakochać jakaś kobieta. Dziś rodacy woleliby przejść do historii raczej jako odkrywcy szczepionki wirusa HIV, niż w roli Casanovy. Sądząc z reklam w telewizji wraca znów model „prawdziwego chłopca”.



- Więc powiedz mi, co jutro robisz, a ja ci powiem, co będziesz robił zamiast tego! - kończy temat szefowa „Elle” zbierając burzę oklasków.

- Dlaczego pan nic nie je, Jean Paul? - Nicole stawia przed nim talerzyk z „chińszczyzną”.

- Staram się wrócić do swojej pierwotnej wagi: trzy i pół kilograma.

Karolina łapczywie wyjada wszystko z porcelanowej miseczki w delikatny błękitny wzór. Nie bardzo jej się chciało tu przyjść, ale nie sposób przecież odmówić czegoś Piranii. Teraz jest zadowolona, że oderwała się jednak od czystych płacht brystolu, farb i pastelii. Wieczorami w swoim pokoju hotelowym słucha radia „Wolna Europa”, gdyż jest tu, w Paryżu, najlepiej słyszalną stacją nadawaną w języku polskim. Jest ciekawa spraw dziejących się w kraju, przeraża ją bezpardonowa walka znanych i cenionych osób z grona solidarnościowych przywódców. Chciałaby ładu i spokoju, bo przecież Paryż jest tylko przystankiem. Pracować chce u siebie i dla swoich. A jednak: la realite depasse la fiction!

- Dużo bym dał, żeby poznać pani myśli.

- Jak dużo? - pyta wyrwana z zamyślenia.

- Powiedzmy... dziesięć franków - Jean Paul przysuwa się z krzesłem.

Karolina uśmiecha się. Ma ładne dołeczki w policzkach.

- Czy to ma znaczyć, że z pańskimi finansami krucho?

- Podatki tak idą w górę, że niedługo będą zagłuszać telewizję satelitarną! Karolina wybucha śmiechem. Uwielbia dowcipnych mężczyzn. W kraju ich ostatnio jak na lekarstwo.

Claudia rozpoczyna ponowny atak. Nie lubi przegrywać.

- Jest pan żonaty czy rozwiedziony? - znając swoje walory, nie traktuje Karoliny jak rywalki.

- Książę Andrzej jest rozwiedziony, a gwardia konna go nie wyrzuca z pałacu.

Karolina świetnie się bawi. Wie, że urodą musi przegrać z pięknnością od Gianfranca Ferre. Ale czy również inteligencją?

- Może się wybierzemy wieczorem do kina? - Claudia naciera ostro. Mężczyzna przygląda się łagodnie jej pięknym łukom brwi, wydatnym, obiecującym ustom i lśniącem, doskonale utrzymanym zębom.

- Tak dawno nie byłem w kinie, że „Przeminęło z wiatrem” byłoby dla mnie nowością. A pani, Karolino, lubi kino?

- Każdy chce się gdzieś zdrzemnąć... - mruczy wylizując sos. Ma przy tym minę kota, który zjadł całą śmietanę.

Oczy mężczyzny wpatrują się uparcie w ciepły zarys jej policzków. Nie jest piękna - myśli - ale ma to „coś”, za czym mężczyzna, nie tylko Francuz, poszedłby do piekła.

Claudia wyraźnie straciła animusz. Nieco zła, wynosi do kuchni stertę brudnych naczyń.

- Od tej chwili na dźwięk pańskiego imienia będzie puszczać dym uszami! - mówi Karolina przyjaźnie. - Dlaczego dał jej pan kosza?

Jean Paul udaje zawstydzonego.

- Bo tak naprawdę, to wielbłąd się porusza, droga Charlotte. A nie krajobraz. Rozumiemy się?

Tak, naturalnie. Oczywiście, że rozumie. Należy do tych mężczyzn, którzy sami, z własnej i nieprzymuszonej inicjatywy biorą sobie kobietę do łóżka. Lub do stołu. Nie lubi być łowiony na przynętę z silikonowych piersi, choćby były najpiękniejsze od Genui po Monte Carlo.

- Wie pan, ja tu mało kogo znam. Przyjechałam z Warszawy - zmienia delikatnie temat. - Jak Nicole jestem projektantką mody.

- Zastanawiałem się, co to za akcent! - śmieje się Jean Paul. - A to akcent postkomunistyczny! Co się tam u was dzieje, nad Wisłą?

- Tak naprawdę? Myślę, że to głucha, parafiańska i mściwa prowincja. Tam ludzie cierpią na polityczne odleżyny ze styropianu. Niewdzięczni...

Mężczyzna słucha. Poważnieje. Sposób, w jaki przedstawia to Karolina, nie wymaga repliki. W końcu zdobywa się na wyrozumiałość:

- Widzi pani, od czasów Temistoklesa wiadomo, że niewdzięczność jest jedną z podstawowych cech demokracji.

Karolina mruży oczy. Zrozumiał, co miałam na myśli. Ciekawy mężczyzna. Szkoda, że nic o nim nie wiem bliższego.

- Przyjdzie pan na pokaz do „Ritza”?

Jean Paul mruga zaskoczony. Nic nie wie o pokazie. U „Ritza” najmniej. A może Troy coś wspominał? Nie pamięta. Jedno jest pewne, żaden z nich nie może się umawiać na odległy termin. To, czym się zajmują, może przewrócić nawet jutrzejsze plany, gdyby takie mieli.

- Przepraszam - mruczy muskając ustami ucho Karoliny - ale ja nie jestem z branży. Przyszedłem tu zaproszony przez mojego przyjaciela, który jest przyjacielem pani domu. To wszystko.

Karolina wydaje się zaskoczona.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam. Ale i tak pański przyjaciel będzie musiał być na tym show. Jedna czwarta kolekcji jest rysowana przez Nicole!

- A zatem pewnie przyprowadzi i mnie.

- Karolino, przestań flirtować i słuchaj, co się tu mówi. - Christa zakłada nogę na nogę. Jej fioletowe pantofle na niebotycznych obcasach dobrze współgrają z kostiumem w kolorze leśnych dzwonek. - Violetta opowiada o kolekcji Valentino. Czy wiesz, że Mediolan na tydzień przed nami urządza wielki przegląd jesienno - zimowej mody na dziewięćdziesiąty trzeci?

- Tak, ale jest to kolekcja adresowana do osób młodych - Violetta gasi papierosa. - Hitem będą kurtki i płaszczyki z wyprawionych cielęcych skór. Czarno - białe holenderski z nieprawdopodobnie wąskimi spodniami w szkocką kratę. Albo ze spódniczkami okrągłutkimi jak piłki, z tej samej wełny co spodnie. Szalenie zabawne.

Karolina kiwa głową.

- To już było. Pamiętam zdjęcie Moniki Vitti w takiej kulistej spódnicy. Nihil novi sub sole. Ale ja ich naprawdę zaskoczę!

Wychodzą w rozjarzoną światłami paryską noc. Trzaskają drzwiczki samochodów.

- Odwieźć panią, Karolino? - niski męski głos brzmi niezwykle ciepło. Karolina szuka oczyma Christy, lecz ta mości się już na siedzeniu srebrzystego chevroleta. Nikt tu nie zwykł się troszczyć o drugiego. Jeśli nie masz samochodu, jedź metrem.

- Chętnie skorzystam. Jeśli to panu po drodze.

- A jeśli nie? - Jean Paul przekręca kluczyk w stacyjce. Silnik mruży cicho. - Dokąd, Charlotte?

- Rue Copernic. Hotel „Victor Hugo”.

Granatowy peugeot objeżdża Łuk Tryumfalny. Karolina przygląda się kształtnym dłoniom mężczyzny pewnie trzymającym kierownicę. Obydwoje milczą.

- Oto pani hotel. Czy zostanie tu pani przez dłuższy czas?

Karolina nie wie co odpowiedzieć. Przyjechała w zasadzie na miesiąc. Nie ma też pojęcia, kiedy jej zapłacą za projekty i ile. Hotel „Victor Hugo” jest dziś o niebo droższy niż cztery lata temu.

- Nie wiem. To zależy od gali u „Ritza”. Także od Christy. Gdybym miała zostać w Paryżu dłużej, przeprowadzę się gdzieś do jakiegoś studia...

- U Piranii nie znalazłoby się dla pani miejsce? O ile wiem, ma apartament pięciopokojowy.

Karolina otwiera drzwiczki auta. Odwraca twarz ku kierowcy. Znow ukazuje swoje słynne dołeczki.

- Może to pana zdziwi, ale ja nie umiem mieszkać kątem. Nawet w pięciopokojowym apartamencie. Dobrze się czuję tylko w hotelu lub w całkowicie własnym mieszkaniu. Kwestia swobody.

Jean Paul uśmiecha się oczami. Rozumie ją doskonale. Kocha swoje pied a terre na ulicy Akacjowej. Ale często musi korzystać z różnych mieszkań. Nie tylko w Paryżu. I nie wyłącznie we Francji.

- Czy pozwoli pani, że kiedyś zadzwonię?

Karolina zatrzaskuje drzwi. Właściwie to miała nadzieję, że ją gdzieś jeszcze wyciągnie na kieliszek czegoś mocniejszego. Nie chce, trudno!

- Bardzo proszę. Bonne nuit!

Samochód rusza cicho i znika u wylotu ulicy.

\*\*\*

Z rue de L'Orillon najbliższej jest do stacji metra Belleville na skrzyżowaniu z rue du Faubourg du Tempie. Żeby się dostać do merostwa, należy przejechać trzy przystanki dwójką lub jedenastką biegnącą z Mairie des Lilas do Hotel de Ville. Idąc brzydką, zaniedbaną uliczką wzdłuż starych domów pamiętających jeszcze resztki dawnej świetności, Julia zastanawia się, co właściwie powinna załatwić. I, przede wszystkim, jak? Stefania Bonerska, znana wśród sąsiadów jako madame Boner, mieszka w tej dzielnicy od czterdziestego drugiego roku. A zatem już bez mała lat pięćdziesiąt. Czteropokojowe mieszkanie, zagracone do granic możliwości, wynajęte zostało przez Michała trzydzieści lat temu. Młodszy od Stefanii o piętnaście lat, przystojny Michał Karat prowadził od czasów wojny życie tyle samo burzliwe, co tajemnicze.

Uwielbiał swoją Funię, jak ją nazywał, gdy oboje jeszcze byli dostatecznie młodzi, lecz nigdy nie zawarł z nią małżeństwa. Żyli tak sobie na kocią łapę, bo na dobrą sprawę nikomu z nich ślub nie był do niczego potrzebny. Niektórzy opowiadali sobie na ucho podczas jednego czy dwóch absyntów w bistro, że młodszy od swej paryskiej towarzyski życia, ma gdzieś tam w dalekiej Polsce żonę i dzieci. Ale on sam nigdy tego nie potwierdził. Także i nie zaprzeczył. Faktem jest, że w Polsce po wojnie nie był i mimo zniesienia żelaznej kurtyny, a potem konieczności wizowania paszportów, do ojczyzny się nie wybierał. Nie była w kraju również Stefania Bonerska, dziś osiemdziesięcioletnia staruszka. Bo i cóż mogło ją tam zaciągnąć? Jedyne siostra umarła, siostrzenica wreszcie wyszła za mąż, miała swój dom, choć nie wiedzieć czemu bez dzieci, czasem, raz na dwa, trzy lata wpadała na krótko do Paryża... i to wszystko. Starzejąc się, głuchnąc i z trudem chodząc nie myślała o podróżach. Żyła wspomnieniami młodości, szalonych okupacyjnych czasów za rządów Vichy, a jedyną osobą, której wierzyła bezgranicznie, był Michał. Nie interesowało jej nic: ani komorne, ani pieniądze na dostatnie życie, do jakiego ją przyzwyczaił. Nawet nie podejrzewała, że pewnego dnia on, silny i zdrowy jak koń sześćdziesięciopięciolatek, nagle zniknie z jej życia. Kiedy go wyłowiono z Sekwany, miał zmiażdżoną głowę i złamany kręgosłup.

- Morderstwo - powiedział prokurator, gdy ją policja przywiozła, nie bez trudu, bo drewniane schody były już nie na jej starcze nogi. - Czy miał wrogów?

Mój Boże, czy miał? Stefania Bonerska nie wiedziała nawet, czy miał przyjaciół. W każdym razie nie bywali na rue de L'Orillon. Michał Karat swoje interesy prowadził głównie w paryskich bistrach, w okolicach głównych stacji metra. Nie miał nigdy, i nie chciał mieć, samochodu. Kiedy trzeba było

zawieźć Stefanię do dentysty czy okulisty, po prostu brał taksówkę. Płacił garścią zmiętych banknotów, które poniewierały się po wszystkich kieszeniach spodni, marynarek i ciepłych kurtek. Także po przeróżnych szufladach szaf i kredensów. Na adres domu przy L'Orillon przychodziły wprawdzie różne bankowe wydruki, ale nimi Stefania nie interesowała się zupełnie. Jak również źródłem, z którego pochodziły kolejne wpłaty, czasem dość znaczne. Kiedy była młodsza i silniejsza, zajmowała się domem: prała, prasowała, sprzątała cztery pokoje w amfiladzie i często, na niedzielę, piekła polski sernik bez ciasta, na dwunastu żółtkach i specjalnej mące z twardego ziarna, którą kupowała u madame Labouche, na rogu. W tym samym sklepiku od pięćdziesięciu lat. Potem zaczęła pokwękiwać, puchły jej nogi, zanikał słuch, na co nie było lekarstwa, więc kochający ją Michał uprosił, by madame Viviane z drugiego piętra przychodziła do pomocy. Widział, jak się starzała, bolał nad tym, myślał o wyprowadzce gdzieś poza Paryż, może do małego domku z ogródkiem w okolicy Enghien - les - Bains albo dalej. I gdy zginął tak tajemniczo, tak tragicznie, nikt nie umiał powiedzieć, gdzie jest jego testament i czy w ogóle taki został sporządzony. Bo też w najśmielszych snach nie przyszłoby mu do głowy, że z nich dwojga to właśnie ona zostanie przy życiu. A, przecież, powinno.

Bonerska mężnie zniosła identyfikację zwłok. Tak samo jak męczące przesłuchanie na posterunku policji. To raczej oni mieli kłopoty, by usłyszała dokładnie, o co ją pytają. Kiedy została sama na czwartym piętrze starej kamienicy o drewnianych wysokich stopniach, zrozumiała, że tak dalej nie może żyć. Pieniądze znajdowała jeszcze przez jakiś czas w szufladach i rzeczach Michała. Ale gdy się skończyły - zapragnęła podjąć je z banku. I wtedy się okazało, że nie może. Nie była żoną, matką ani nawet najbliższą krewną

Michała Karata. A pieniądze leżały na koncie pod tym, i tylko pod tym nazwiskiem. Nawet nie miała upoważnienia potwierdzonego jego podpisem. Bo i skądże? Nigdy ich dotąd nie potrzebowała. Szczęśliwie, czynsz za mieszkanie zapłacony był do końca roku. Stara kobieta została nagle bez opieki i środków do życia. Co dziwniejsze, bez paszportu i obywatelstwa. Uciekając z Polski, wraz z korpusem oficerskim w trzydziestym dziewiątym do Londynu, miała status członka armii. Potem dopiero przerzucono ją do Paryża i w czterdziestym zapomniano. Po prostu jej nazwisko nie znalazło się na liście ewakuowanych. Jak się to mogło stać, trudno dziś dociec. Trzydziestoletnia Stefania była przystojną kobietą o gęstych blond włosach i czarnych brwiach. Jako dyplomowana pielęgniarka zajęła się rannymi w szpitalu Boulogne - Billancourt, gdzie trafiali Francuzi i cudzoziemcy, nie tylko z Ruchu Oporu. Tam właśnie poznała młodziutkiego, zaledwie szesnastoletniego Michała przywiezionego do szpitala nocą, z raną postrzałową uda. Niemcy, choć zwyciężali wtedy na wielu frontach Rosji i Skandynawii, a Paryż był dla nich miejscem „odpoczynku wojownika”, strzegli bardzo pilnie, by „maquillardzi” nie uchodzili cało z licznych potyczek. W Boulogne - Billancourt stacjonowało gestapo i wwiezienie rannego, który nie miał niemieckich papierów, graniczyło z cudem. To właśnie ona, Stefania, ułatwiła ucieczkę rannego Michała i dwóch Francuzów, oddając im do dyspozycji swoje ówczesne mieszkanie, a raczej pokój u wdowy Couchon. Tam ją odnalazł w dwa lata później zdrowy już Michał Karat. Odnalazł i zabrał ze sobą, niczym branke, do mieszkania w jedenastej dzielnicy, gdzie wspólnie przeżyli wojnę, wycofanie się Niemców i wielką paradę - wjazd de Gaulla na czele francuskich wojsk do Paryża. Michał nigdy się nie zdradził, że nie był w maquis, lecz w Forces Francaises de L'Interieur - organizacji stricte



wywiadowczej, zbierającej dane dla wywiadu gaullistowskiego, lecz kierowanej wówczas przez angielskie centra wojskowe. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ktoś, nie wiadomo kto, nie zabił Michała w tak okrutny i nieestetyczny sposób.

I dlatego tu musiała przyjechać Julia, by w merostwie zorientować się, jaki jest właściwie status osiemdziesięcioletniej ciotki. Jedynej krewnej, jaka miała poza Polską.

Julia kulejąc zeszła schodkami do podziemi metra. Jej wzrok zatrzymał się na długim, brudnym korytarzu, w którym pokrzykiwali afrykańscy sprzedawcy taniej i tandetnej biżuterii ze skóry i mosiądzu. Czekać na wagon przycupnęła na brzegu plastikowego krzesła. Wokół szumiał i gęstniał tłum. Białe, elektryczne światła wyłoniły się z ciemnego tunelu i pociąg migocząc jasnymi kwadratami okien wtoczył się na peron. Szczęknęły drzwi. Julia weszła rozglądając się za wolnym miejscem. Usiadła tuż przy drzwiach podkuliwszy stopy. „Ostroga” wrastająca w głęb ciała dawała się we znaki. Na operację jakoś nie mogła się zdecydować. Choroby prześladowały ją od dawna. Wszystkie możliwe. Zaczęło się od omdleń. Zdarzały się wszędzie: w domu, na ulicy, w pracy. Traciła przytomność na kilka sekund, ale to wystarczało, żeby waliła się na ziemię na środku jezdni. Przyjaciółki śmiały się, że to z powodu „dziewictwa”. A miała już wtedy dobrą trzydziestkę i kogoś w rodzaju narzeczonego, kto nie nalegał specjalnie na współżycie. Czy rzeczywiście seks miał w tym wszystkim jakiś udział, nie wiedziała. Zaczęła się leczyć na serce. Łykała posłusznie proszki, jeździła do sanatoriów, do bułgarskich kurortów. Lekarze badali, kiwali głowami i każdy z nich stawiał diagnozę: wyjść za mąż i urodzić dziecko, wtedy wszystko minie jak zły sen. Ale narzeczonego do ślubu się nie kwapił, bywał w domu, przynosił kwiatki, całował

przyszłą teściową w rękę i zniknął. Aż znikł całkiem wybraawszy saksy w ówczesnym NRF - ie. Pisywał jeszcze przez jakiś czas, potem się ożenił z Niemką.

Krzysztofa poznała przypadkiem. Po wyjeździe z Krakowa, gdzie pozostawił żonę Zofię i małą córeczkę Marię, długo nie mógł znaleźć mieszkania. Wówczas nie było to w Warszawie takie łatwe. Z Zofią pozostawał w luźnym kontakcie, małą zabierał czasem na wakacje do Rabki. Po paru latach przestał. Przenosząc się z jednego wynajętego pokoju do drugiego poznał nowych ludzi, z niektórymi się zaprzyjaźnił. Odwiedzała go w Warszawie Liliana, pierwsza dziewczyna, z którą dopiero teraz zaczął sypiać. Aż wreszcie zdenerwowało to kolejną gospodynię, która wystawiła mu walizki na schody. Przelotnie już znał Julię, której zwierzył się, czerwony z zażenowania, że ostatnią noc spędził na ławce w Ogrodzie Saskim. Julia od razu nim się zaopiekowała. Znalazła pokój u zaprzyjaźnionego taksówkarza, własnego sąsiada. Teraz Krzyś bywał częstym gościem na niedzielnych obiadach. Był miły, niezwykle uczynny, czym podbił serce matki Julii i babci. Chcąc nie chcąc zajął nieoficjalnie status po narzeczonem - uciekinierze. Niestety, był wciąż żonaty z Zofią. Julię niezwykle męczył ten stan rzeczy. Znow wróciły bóle, nerwice, zawroty głowy. Tym razem do lekarzy woził ją Krzyś, razem z sąsiadem taksówkarzem. I ponownie kardiolodzy zaczęli przebąkiwać o wyjściu za mąż i urodzeniu dziecka. Julia chyba też miała dość staropanieństwa i związanych z tym sensacji.

Pierwsza poważna rozmowa, jaką zaczęła, miała miejsce w piękne jesienne popołudnie pod pomnikiem Feliksa Dzierżyńskiego, na placu jego imienia. Jak dziś pamięta bulwersującą reakcję Krzysztofa: ni stąd, ni zowąd, na środku jezdni zaczął tupać, wrzeszczeć, histeryzować. Zerwał z nosa okulary, rzucił je na bruk i podeptał. Julia o mały włos nie

padła obok zemdlona. Ciągnęła opierającego się mężczyznę ku radości gapiów. Jak doszli do domu na ulicy Świerczewskiego, nie pamięta.

Przepraszał ją dwa dni później. Podarował olbrzymi bukiet czerwonych róż.

Tłumaczył, że jest wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiła. Ale ma rodzinę Krakowie. Dziecko też. Dopiero w jakiś czas później wyznał prawdę: od paru lat był bezpłodny. Julia popłakała się w nocy do poduszki. Czują, że jest to być może ostatni mężczyzna, którego, jeśli dobrze rozegra sprawę, uda jej się zaciągnąć do Pałacu Ślubów. Rozwiedzie się z żoną, ale ona nigdy nie będzie z nim miała dziecka.

Tunel dudni głucho, błyskają żółte lampki. Z daleka nadpływa jasność. Wagony wpadają na peron. Wyrwana z zamyślenia Julia pochyla głowę, by odczytać nazwę stacji: Couronnes. Wagon opróżnia się do połowy i następnie znów szczelnie napelnia. Dominują czarne twarze i afrykańskie narodowe stroje. Kobiety mają kolorowe turbany szczelnie otulające czaszkę. Mężczyźni, przeważnie, tanie garnitury od Tatiego i błyszczące bransolety. Mają ostre rysy, zacięte twarze i nie lubią, gdy im się biali zbyt natrętnie przyglądają. Francuzom się to nie zdarza. Cudzoziemcom tak.

Wagon rusza cicho. Migają światła peronu. Metro pogrąża się w czarnym tunelu, jak w mroku.

Julia powraca do wspomnień. Dlaczego? Sama nie wie. Tam, w domu, nie ma na to ani czasu, ani ochoty. Wieloletnie nieobecności męża oduczyły ją tęsknoty. Nigdy nie wymaga od niego więcej, niż sam chce dać. Nie chodzi rzecz jasna o pieniądze, tylko o niego. Z siebie daje tyle co nic. A przecież wiedziała, że tak będzie. Zdobywała go bardzo długo i bardzo wytrwale. Z determinacją upewniała go, że jest jej niezbędny. Chorowała często, by mógł starać się o lekarzy, lekarstwa, zastrzyki. Nauczyła się wywoływać ból, był jej bronią i ostoją,

ochroną przed utratą Krzysztofa. Z czasem uzależniła go od siebie do tego stopnia, że będąc gdzieś z wizytą zrywał się nagle z fotela przeprasząc gospodarzy: „Julia jest sama, powinienem tam zajrzeć, może potrzebuje czegoś...” Matce była wdzięczna za włączenie się do gry. Starsza pani godzinami opowiadała o swoim udziale w Powstaniu Warszawskim, o ulicach, kanałach. Była w samym sercu organizacji, jak ojciec Krzysztofa. To ich łączyło w czasie wielogodzinnych herbatek i kolacyjek. Krzyś żył pamięcią ojca, wysokiego rangą oficera Armii Krajowej. A tak naprawdę, był bezsensownie zazdrosny o legendę tamtych lat, w których nie mógł uczestniczyć. Urodzony w czterdziestym drugim, dopiero w późnych latach pięćdziesiątych zrozumiał, na czym polegała podziemna walka i tragedia tych ludzi. Nie uczono o niej w szkole, na plakatach wisiał „zapluty karzeł reakcji”, ojciec odsiadywał długi wyrok. To, że w ogóle wyszedł, zawdzięczał dobremu adwokatowi i własnej determinacji. Nigdy się jednak nie pozbierał. Chudł i marniał, w końcu umarł, gdy jego jedyny syn pomnażał dobra Saddama Husajna. Krzysztof grób ojca zobaczył dopiero po powrocie do kraju. Jakie było pożycie Julii z Krzysztofem, gdy już wreszcie przeprowadził rozwód z Zofią? Dziwne. Mało w nim było prawdziwej namiętności. Może dlatego, że nie zależało jej na łóżku. Czasem zastanawiała się, dość rzadko zresztą, co robi, a raczej z kim sypia jej mąż podczas częstych nieobecności w domu. Mawiał, choć z trudem mu to przechodziło przez gardło, że seks nie jest dla niego najważniejszy, że może to sobie wytłumaczyć „rozumowo”. Co to miało w praktyce oznaczać, nie wiedziała. Wolą nie pytać, nawet w żartach. Bo na tych ostatnich się nie znał. Potrafił wpaść we wściekłość z byle powodu. Wrzeszczał wtedy tak strasznie, że słyhać go było na parterze.

Postanowiła, wiedzona zapewne kobiecą intuicją, że nigdy o tym nie będą rozmawiali.

Ciężką operację kobiecą przeszła w czasie jego kolejnej nieobecności.

Od powrotu Julii ze szpitala nigdy więcej ze sobą nie spali. Właśnie minęło jedenaście lat. Czy miał jakieś kochanki? Widywano go z tą lub ową w restauracji Gesslerów lub w hotelu „Holiday Inn”. Jego samochód, wiśniowego forda, widywano także przed domem na jednym z warszawskich osiedli. Julia nigdy nie wspominała mężowi o tych rewelacjach zbieranych przez przyjaciół. Zrobienie sceny zazdrości nie miało najmniejszego sensu. Mógł co najwyżej wyjść z domu trzasnąwszy drzwiami, a tego nie chciała. Żeby go utrzymać, należało grać dalej. Jeśli się chciało zejść z tego świata mężatką. Więc znów zapadała na jedną z tych swoich chorób, pozostawiając mu opiekę nad sobą. Tym bardziej że od śmierci matki i babci byli sami w dużym mieszkaniu. Niestety, ta cholerna „ostroga” zdarzyła się naprawdę. I była nieznośna. Ale telegram od ciotki Stefanii z Paryża nie mógł pozostać bez odpowiedzi.

- Co to za stacja? - Znów jasność peronu i grupki ludzi zbite w oczekiwaniu. Menilmontant. Następna: Pere Lachaise. Tam wysiada. Przejdzie dwie przecznice od rue du Chemin Vert, siądzie na ławce koło białego budynku merostwa i poczeka na pana Lechickiego. Jedyne Polak wśród byłych znajomych Michała Karata, który się zgodził służyć Julii za tłumacza.

\*\*\*

Hotel „Hilton” w Monachium ma dobrą markę. Zatrzymują się w nim chętnie zarówno brytyjscy youppies, jak i amerykańscy biznesmeni. Eleganckie wnętrza i wygodne apartamenty przyciągają też nuworyszów ze wschodnich landów. Stają tu głównie berlińczycy ale i kupcy z Drezna,

Frankfurtu nad Odrą i Cottbus. Od dwóch tygodni recepcja nie przyjmuje żadnych rezerwacji.

- Bardzo przepraszamy - tłumaczy szef, wysoki siwiejący mężczyzna o ujmującym uśmiechu i nienagannych manierach - ale przez najbliższe dziesięć dni mamy specjalnych gości. Wszystkie pokoje zajęte. Także największa restauracja i dwie kawiarnie. Zjazd koleżeński. Tak, cudzoziemcy też. Jakaś organizacja... tak, zapraszamy w drugiej połowie lipca. Oczywiście, już notuję...

Ewald Althaus ma dwadzieścia parę lat i wielkie plany polityczne: postanowił zjednoczyć pod swoim kierownictwem całą neonazistowską scenę. Ten ponaddwuetrowy olbrzym jest zdeklarowanym rasistą i fanatycznym wprost wielbicielem Adolfa Hitlera. Ostatnio zorganizował w Monachium odczyt brytyjskiego historyka navida Irvinga, który zbrodnie ludobójstwa, popełnione przez nazistów w obozach koncentracyjnych, uznał za legendę stworzoną przez Żydów, by zyskać poparcie miłosiernych tego świata dla państwa Izrael. Althaus nie jest prymitywnym nazistą, lecz wykształconym młodym człowiekiem znającym perfekcyjnie język francuski i angielski, a także dzieła Nietzschego, Marksa oraz Prousta. Lubi eleganckie garnitury, przeważnie z szarej flaneli, lecz pojawia się na mityngach również zaszyty w czarne skóry, ozdobione świecidełkami. Jeśli w ten sposób może przemówić do skinheadów, których pozyskanie uważa za konieczne dla stworzenia nowej generacji prawicowo radykalnych przywódców. Nie nosi pistoletu. Jego ochrona tak. Ewald chełpi się mawiając: „Nie potrzebuję żadnej broni. Sam nią jestem”.

W hotelu „Hilton” organizuje „Zjazd koleżeński”. Władze nie widzą w tym niczego gorszego. W niemieckiej demokracji mieści się wszystko: komuniści maszerujący pod czerwonymi sztandarami z sierpem i młotem, ruchy

wyzwoleńcze Czarnej Afryki, Kongres Zielonych i Zjazd Feministek. Także koledzy Althausa. A są to znane nazwiska i nie mniej znane twarze: Austriak Gottfried Kussel, wraz ze swym przyjacielem i adwokatem Willim Knopfem, Jorg Haider - drugi po Le Penie, wielka nadzieja europejskich prawicowych ekstremistów, były spadochroniarz i korporant, Pedro Valera - szef hiszpańskiej organizacji neonazistowskiej Cedade, śniący po nocach o Europie wyłącznie białej rasy. Valera uważa, że bez racji, że jeszcze nigdy, od końca drugiej wojny światowej nie było w Europie tak korzystnego klimatu dla neofaszyzmu jak obecnie. Także Belg Vlaams, żądający od władz niezależnej, germańskiej Flandrii, piękna wnuczka Mussoliniego Alessandra, głosząca wielkość polityki i ideologii swego dziadka: „Hitler i Mussolini swoją wojną uratowali Zachód od bolszewizmu!” Jest jeszcze Korsykanin Michael Leloup, walczący od lat jako legionista wszędzie tam, gdzie prawicowy system jest w niebezpieczeństwie (Salvador, Chile, Irak, Chorwacja), londyńczyk Richard Edmonds, właściciel księgarni w dzielnicy Welling, a właściwie punktu rozdzielczego prasy nazistowskiej. Ciekawe to wnętrze! Zawsze za opuszczonymi żaluzjami, wejście tylko po uprzednim pokazaniu zaproszenia. Edmonds oficjalnie głosi, że „kolorowi to przestępcy, lenie i handlarze narkotyków”. A Żydzi nadają się, jak to wymawia po niemiecku z silnym brytyjskim akcentem do: „Endlosung, Zwangsdeportation”. Książki o „kłamstwach Oświęcimia” można tu nabyć po francusku, niemiecku i angielsku. Piszą apologeci tego hasła nie tylko w Europie. Również w Ameryce, Kanadzie i Tokio. A służyć ma tylko jednemu celowi: wymazaniu z historii Trzeciej Rzeszy tak potwornej zbrodni, jaką było zagazowanie Żydów. Można w ten sposób zrehabilitować ją w oczach młodych ludzi sympatyzujących z „przyzwoitym faszyzmem”. W tych nie różniących się swą stylistyką materiałach ważna

jest tylko jedna informacja: „Komór gazowych nigdy nie było!”

Niezmordowany w uzasadnianiu tej właśnie racji jest inny jeszcze gość hotelu „Hilton” w Monachium: pięćdziesięciodwuletni pół Niemiec, pół Kanadyjczyk Ernst Zundel. Pobyt na „Koleżeńskim spotkaniu” postanowił wykorzystać na wielką kampanię uświadamiającą. Głównie Niemców z byłej NRD, ale też i Polaków. A właściwie „mniejszości niemieckie wykorzystywane i poniżane przez obłąkanych polskich szowinistów, którzy nie pozwalają dojść do władzy własnym świetnie zorganizowanym, lecz niestety jeszcze nielicznym narodowcom”! Tak więc razem ze swym przyjacielem Gerdem Honsikiem postanowił zorganizować w amfiteatrze na Górze Świętej Anny „Festyn zespołów folklorystycznych i orkiestr”. Już się skontaktował z właściwymi osobami.

W apartamencie trzysta dwa zameldował się także Albert Eriksson z Antwerpii znany przede wszystkim z działalności prowadzonej w „Cafe Odal”, gdzie obok wejścia wisi na ścianie całkiem udany portret Rudolfa Hessa przepasany żałobną szarfą oraz ozdobny talerz z runem SS i wiele mówiącym hasłem: „Pozostaniemy zawsze wierni, nawet jeśli wszyscy inni zdradzą!”

Hotel „Hilton” otwierając podwoje dla „Koleżeńskiego spotkania” nawet nie przypuszcza, że stanie się miejscem, decydującym o dalszych losach tysięcy ton zadrukowanego papieru, które muszą znaleźć tajny i całkowicie bezpieczny spływ poprzez zjednoczone już Niemcy, na wschód. Taki propagandowo - papierowy Drang nach Osten. Centrale w Barcelonie, Paryżu i Wiedniu naciskają. Musi się znaleźć ktoś, kto tym wszystkim pokieruje właściwie. Ktoś, czyje nazwisko nie jest znane. Ktoś, kogo nie przyłapią na granicy, nie założą



mu podsłuchu, bo on ten podsłuch może sam zainstalować lepiej.

Hotel „Hilton” ma dostatecznie dużo miejsca, zapasów piwa i wina, jedzenia dla wszystkich, nawet tych z dietą. Ma spokojne, zaciszne gabinetki, duże sale konferencyjne i apartamenty sprawdzone przez techników - fachowców. Nikt nie podsłucha, nie podpatrzy - jeśli zgromadzeni tam ludzie tego nie zechcą. Dziennikarzy się ceni, naturalnie. Nawet zaprasza i organizuje konferencje prasowe. Ale nie wszystko jest na sprzedaż. W ruch zaangażowano wielkie pieniądze i wiele pracy. Teraz należy tylko znaleźć właściwego człowieka. Znaleźć, zaakceptować, sprawdzić i dobrze opłacić. A on już załatwi, co trzeba.

W Sali Malinowej hotelu „Hilton”, przemeblowanej z okazji „Koleżeńskiego zjazdu” na klubową, królują głębokie fotele kryte sztuczną, doskonale imitującą prawdziwą, skórą, z rzadka rozstawione mahoniowe stoliki z blatami z prawdziwej kości słoniowej i lada - bar, przy której Długi Hans, szef zespołu barmanów, z nie bywałą zręcznością serwuje zarówno skomplikowane drinki w rodzaju Long Glenfiddich dla Amerykanów, jak i piwo Kronenbergera, soft - drinki lub Karlsbra - Spezial ze złotą nalepką - dla pozostałych.

Klub w tej chwili świeci pustkami, jeśli nie liczyć czterech dżentelmenów znanych nazwiskach, jednego adwokata z Bonn i dość przystojnego mężczyzny intensywnie niebieskich oczach i ciemnych, gładko zaczesanych włosach, muskającego od czasu do czasu niezbyt gęstą bródkę, bardzo dobrze przystrzyżoną i wypielegnowaną. Ten właśnie szczególnie nieco przeszkadza obecnym w zaakceptowaniu fizjonomii gościa.

- Powinien pan zgolić brodę, Herr... jak brzmi pańskie nazwisko?

- Powiedzmy... Chamaleon...? - błękitne oczy są uważne, lustrują twarze siedzących, by je zapamiętać w każdym szczególe.

- W porządku. Dla nas będzie pan Kameleonem - macha dłonią Kussel ucinając tym niepotrzebną, jego zdaniem, dyskusję. - Nie możemy nie ufać organizacji, która tu do nas pana skierowała. Sito było tak gęste...

- Mimo wszystko powinien zgolić brodę - upiera się Jorg Haider. - Rzuca się w oczy.

- Pozwolę sobie zauważyć - uśmiech błękitnookiego jest rozbijający - że zarówno w niemieckich landach, jak i w krajach Europy Wschodniej moda na brody i wąsy jest powszechna. Zaczęło się to od trudności z żyłkami, jeszcze za czasów realnego socjalizmu. I choć dziś mają tam najlepsze golarki Brauna czy Gillette, moda pozostała. Na przykład w Polsce wąsy a la przywódca są tak rozpowszechnione, że człowiek wygolony wydaje się podejrzany. Jeśli mam pracować w tym tych rejonach, brody nie zgolę. To chwyt psychologiczny. I... reklamowy!

- Yes, of course! - mruknął Edmonds przyglądając swoje rudawe bokobrody. - To mnie przekonuje. Czasem zapominamy o tak ważnym czynniku psychologicznym.

- Całkiem zapominamy, że chaos panujący od Gdyni po Bratysławę i Budapeszt, ba, po Sarajewo, tak przydatny dla naszych celów, nie będzie trwał wiecznie. Trzeba więc działać szybko - wtrącił mecenas Knopf chcąc przykroić bezsensowną rozmowę o zaroście do właściwego wymiaru - bardzo szybko!

Kameleon lekko skrzywił usta.

- Nie ma obawy - mówił wolno, wyraźnie wymawiając niemieckie słowa jak człowiek, który uczył się ich na dobrych kursach w rodzinnym kraju. - Przypomnę, że upadek Rzymu zaowocował w Europie ponad czterema wiekami kompletnego chaosu.

- Sądzi pan, że krach komuny przyniesie Europie Wschodniej podobne problemy? - ucieszył się Korsykanin Leloup. Miał ciemną, spaloną słońcem twarz i szybko, nieco za szybko, poruszające się gałki oczne.

- Tak sędzę - odparł zapytany. - Ta część Europy, aż po Ural, jest przyszłą bazą dla ruchów nacjonalistycznych. Przeznaczoną zresztą do dalszej ekspansji na wschód. Aż do granic zastrzeżonych przez muzułmańskich fundamentalistów.

- Zgadzam się - skinął głową Gottfried Kussel - dlatego też musimy stworzyć bezpieczną sieć przesyłkową. Istną pajęczynę. Żaden transport nie ma prawa utknąć na granicach czy też bezdrożach krajów przeznaczenia. Organizacja przerzutu musi działać bezbłędnie. Składy, hurtownie i magazyny należy lokować we wschodnich landach, tuż przy granicach z Polską, Czechami... dla Budapesztu na granicy austriacko - węgierskiej - ciągnął ssąc nie zapalone hawańskie cygaro. - Już zaczęliśmy poszukiwać takich miejsc.

- Muszę zwrócić uwagę panów na jedno - odezwał się brodac. - Wasze teksty nie są dobrze tłumaczone. Nie powinien tego robić byle dyletant...

- Nie zatrudniamy dyletantów! - ofuknął go Edmonds. - To nasza, i tylko nasza sprawa! Pan ma wyłącznie zorganizować przerzut.

Błękitne oczy mało przypominają chabry w dojrzałym zbożu. Raczej dwie lodowe bryły błyszczące w mroźny, słoneczny dzień.

- Zorganizować siatkę przerzutową może każdy, kto tylko dysponuje mapą samochodową Europy i cyrklem - odparł chłodno. - Ja, jeśli się podejmę zadania, muszę dysponować literaturą w najlepszym z możliwych przekładów. Inna mnie nie interesuje. Co innego czyta i skanduje młodzież w czarnych skórach, a co innego ludzie wykształceni. Pracuję z pobudek ideologicznych, nie zaś wyłącznie dla pieniędzy.

Ktoś, kto mnie tu skierował, chyba niezbyt dobrze panów zrozumiał...

Ciemna twarz Korsykanina zszarzała. Wydawało się, że zaraz wybuchnie. Ale kiedy spojrzał na uniesione w górę brwi Jorga Haidera, zamilkł. Po chwili wyszeptał:

- Posądza nas pan o to, że nie jesteśmy dostatecznie...

- Dosyć, Leloup! - syknął Haider. - To my potrzebujemy pomocy. Proszę, nie zapominajcie o tym. To, że Kameleon nie jest wyłącznie facetem do wynajęcia, lecz ideowcem, jak my, tylko polepsza nasze stosunki. Ma pan całkowitą rację co do tłumaczeń. Czasem nam się wydaje, że znakomita znajomość polskiego, węgierskiego czy słowackiego nie jest tak ważna.

- Jest bardzo ważna - wtrącił mecenas Knopf. - Mam żonę Polkę i obserwuję na co dzień, jak się złości, gdy do niemieckich urzędów gospodarstwa domowego, które eksportujemy do jej kraju, dołączone są opisy w złej polszczyźnie. Twierdzi, że nigdy by tego nie kupiła. Denerwuje to jej rodaków do tego stopnia, że zorganizowali kiedyś bojkot naszych produktów!

- Chyba przesada - mruknął Korsykanin wychylając kieliszek Haut - Brion. Skinieniem poprosił barmana o następny.

- Nie! - wykrzyknął Kussel. - To podstawa naszej wiarygodności. Nikt nie będzie poważnie traktował źle przetłumaczonej bibuły! Także książki Hitlera.

- Polacy sami ją wydali - wtrącił gość. - Było trochę zamieszania w parlamencie, protesty środowisk literackich. Ale w końcu zwyciężyli liberałowie. I zarzut o nowej cenzurze... żydokomuny! Sam kościół katolicki sprzedaje słynne „Protokoły mędrców Syjonu”. Także i dziś. Pisane, notabene, nienaganną polszczyzną!

- Czy to będzie wymagało wstrzymania już gotowych materiałów? - zaniepokoił się Edmonds.

- Niestety, tak. Bardzo mi przykro - potwierdził zapytany.  
- To mi pozwoli na przygotowanie sieci połączeń. I punktów przerzutu. Większość waszej literatury jest zabroniona w krajach na wschód i południe od Berlina. Jeśli nie mają zostać publicznie spalone na stosie, muszę bezbłędnie zorganizować transport. I mieć pieniądze na przekupienie, kogo będzie trzeba.

- A kogo będzie trzeba? - roześmiał się Gottfried.

Błękitne oczy spoglądały na niego bez uśmiechu.

- Są tacy. Mam pewne wypisy z akt Stasi, SB i KGB. Ale to panów nie powinno interesować. A zatem?

Czwórka mężczyzn spojrzała po sobie. Trzech skinęło głowami. Czwarty, Korsykanin, miał wzrok wbity w pusty kieliszek.

- Trzy do jednego - wymruczał Haider. - Trudno.

- Od dziś pracujemy razem - odezwał się uroczyście Gottfried Kussel. Oznaczamy pana pseudonimem Kameleon.

Gość skinął głową.

- Kontakt przez biuro pana Knopfa w kancelarii adwokackiej „Grossner und Sohn”. Każdy nasz transport będzie oznakowany nalepką Czerwonego Krzyża.

- Samochód z takim oznakowaniem dopiero wzbudzi sensację! - zdenerwował się Korsykanin. - Ja nie...

- Wybacz pan, ale o tym decyduję ja - przerwał lodowato Kameleon. - Nie chodzi o samochód, tylko o kartę przewozową. Ów świstek, który zabiera ze sobą każdy kierowca czy konwojent. To są podstawowe dane dla mnie i dla moich ludzi. Tak samo będą oznakowane kontenery na lotniskach. Jeszcze raz pozwolę sobie podkreślić, że to co robię, czynię wyłącznie z pobudek ideologicznych. To w końcu moi bliscy byli sądzeni w Norymberdze!

Gottfried otworzył usta i zapomniał je zamknąć. Edmonds ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- Wszystko jasne, Kameleon! Ma pan najlepsze rekomendacje!

- Na wszelki wypadek sprawdzone przez francuski kontrwywiad! - mruknął Korsykanin z zaciętą twarzą.

Kameleon przyjrzał mu się z uśmiechem. Nawet wiem, kto mnie sprawdzał - pomyślał ciepło. - Miły człowiek, ale skończona dupa! Siedzi w pokoju dwadzieścia dwa i pije herbatę Darjeeling z jedną łyżeczką cukru. Uchodzi za jednego z najlepszych znawców korsykańskiego podziemia w Paryżu i Lyonie. I współpracuje z nimi. Za duże, bardzo duże pieniądze. Właśnie dlatego nie wypaliła akcja na rue Cambon, gdzie francuska policja bezskutecznie poszukiwała sprawców podłożonej bomby. Tak, straszna dupa z odstającymi uszami!

Gottfried wypluł koniuszek cygara, które żuł jak marynarz prymkę. Zrobił to dostatecznie dyskretnie. Przestał palić na wyraźne zalecenie doktora Bluma, który nie zwykł patyczkować się ze swymi pacjentami. „Podejrzewam nowotwór w płucu. Nie wiem, czy złośliwy. Chciałbym to panu zoperować. Na razie proszę natychmiast odstawić te ohydne cygara. Nie powinien pan, Kussel, do jasnej cholery, pomnażać majątku Fidela Castro!” To był argument nie do zbiccia.

- A zatem, panowie, załatwione. Kiedy pana znów zobaczymy, Kameleon?

- Nigdy - odparł spokojnie zapytany. - Nigdy. Dla własnego i panów bezpieczeństwa.

Kiedy w dwie godziny później opuszczał hotel „Hilton” przystanął na moment w holu gdzie czterej dżentelmeni pogrążeni byli w cichej rozmowie. Nikt, żaden z nich, nie zatrzymał wzroku na siwym, nie ogolonym, źle ubranym mężczyźnie w spodniach o postrzępionych nogawkach. Kameleon uśmiechnął się. Auf Wiedersehen, meine Herren! Jeśli o mnie chodzi, to niezwłocznie przystępuję do pracy.

Oczywiście, o ile na moje konto w szwajcarskim banku wpłynie w ciągu tygodnia odpowiednia suma z właściwą liczbą zer.

\*\*\*

Fritz Lindmacher lustruje wnętrze piwiarni „Pod Starym Słoniem”. Przydałyby się nowe obrusy. Te, które leżą, w czerwonej kratkę, pamiętają jeszcze nieboszczkę Gretę. Sama je obrębiała dla oszczędności. Pewnie, cierpliwa z niej była żona. I pilnowała kasy, jak należy. Trochę sknera, bo cóż by się stało, gdyby wziął od czasu do czasu tych parę marek na własne potrzeby. Lili obiecała, że zajmie się odnowieniem lokalu. Planowała, że przytoczy z piwnicy najstarsze beczki, zrobi wnętrza z ciemnego drewna malowanego na dąb, ustawi inne stoliki, niskie ławy, zamiast krzeseł z wyplatanyimi oparciami, pękającymi tu i ówdzie ze starości. I co z tego, że obiecała? Takie tam babskie gadanie. Nie chciało jej się, i tyle. Fritz mógłby poprosić syna sąsiadki, dekoratora wystaw, ale wciąż zwleka licząc, że stanie się cud i Liliana wróci.

Pierwsi stali klienci szurają buciorami po świeżo zmytej podłodze. Te same gęby od lat. Ale piją dużo i płacą, a od tego zależy powodzenie w interesach.

- Guten Tag, Fritz.

- Guten Tag, Herr Straub.

Kurt leci już wymachując ścierką. Strzepuje z serwety nie istniejący kurz. Na tacce pieni się jasny Bittburger. To dobre piwo.

- Gruss Gott - cichy głos unosi Fritza zza lady. Stał pochylony szukając nowych świec.

- Mein Gott, Lili! Już myślałem, że zapomniałaś adresu! Dlaczego tak każesz na siebie czekać? Masz dość starego Fritza z jego „Starym Słoniem”? Czy to po chrześcijańsku?

- Nie jesteś wcale stary! - śmieje się Lilka. - Masz raptem dziesięć lat więcej ode mnie. Taka jest prawda. I nie zapomniałam o tobie. Tylko... pochłonęły mnie inne zajęcia.

- Ten teatr eksperymentalny? Siedzicie w starej budzie, w smrodzie po chemikaliach, tarzacie się po zakurzonej podłodze... o co w tym chodzi, Lili?

Kobieta uśmiecha się. Odgarnia długie brązowe włosy z pasmami siwizny. Jest ubrana w spodnie z czarnego sztruku oraz stary sweter w kolorze wiśni i popiołu. Wysoka, o niezłej figurze, nie wygląda na czterdzieści dwa lata.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz, Fritz. Ale to właśnie mnie pasjonuje. Przygotowujemy spektakl o tolerancji. O człowieczeństwie. Jeszcze w Polsce współpracowałam z krakowskim „Klubem pod Jaszczurami”. Wystawialiśmy Gombrowicza, Witkacego... tkwiłam w tym po uszy. Aż do stanu wojennego... potem przyjechałam tu. Byłam z tobą. Ale ja cały czas tęskniłam do sztuki.

- Jeśli jesteś pewna, że to, co robicie, jest sztuką...

- Jest nią, Fritz. Chcemy coś powiedzieć młodym, często zagubionym ludziom. Głównie młodym Niemcom. Czy wiesz, że nie dalej jak przedwczoraj grupa skinheadów wyrzuciła z tramwaju osiemnastoletniego Mozambijczyka. Umarł tego samego dnia w szpitalu. A co zrobili neonaziści w Wittenberdze? Wdarli się do domu dla cudzoziemców, zrzucili z okna czwartego piętra dwóch Namibijczyków. Do dziś ciężko ranni przebywają w szpitalu. W Eisenhuettenstadt pobito francuskich Cyganów, w Leisning azylantów. Warszawska prasa podaje, że dokonano czterdziestu napadów na polskich turystów. Jak to nazwiesz, Fritz?

- Najlepiej, żeby wszyscy siedzieli we własnych domach... Liliana potrzasa włosami.

- I ty też? Myślałam, że mam do czynienia z najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Czyżbym się aż



tak myliła, Fritz? Przecież to, co mówisz, pachnie na kilometr nacjonalizmem. „Niemcy tylko dla Niemców”? O, mój drogi, chyba sobie nie mamy już nic do powiedzenia.

Zatrzymuje ją wyciągniętą ręką. W oczach ma smutek bez granic. I strach.

- Nie odchodź, Lili... chciałbym... o czymś z tobą porozmawiać. Musisz mi poradzić...

Kobieta łagodnieje. Przeciąga dłonią po jego rozwichrzonych włosach. Traktowała go jak duże dziecko, które nie wie, czy może zjeść ciastko. A bardzo by chciało. Nigdy nie był dobry w łóżku. Niestety. Zwał się z niej na swoją stronę od ściany i zasypiał po sekundzie. Jak niegdyś Krzysztof - uśmiecha się do własnych myśli. Jest gatunek samców, który powinien po zapłodnieniu umierać. Ale chyba w przyrodzie nie wszystko jest do końca przemyślane. A Fritzowi nigdy nie powiem, że seks z nim to męka. Zupełnie jakby się przesuwano na własnych plecach trzydrzwiową szafę.

- Usiądźmy przy stole.

Fritz czerwienieje i na przemian blednie.

- Może... pójdziemy na górę, co? - Jego oczy są jak matowe guziki.

- Nie, zrozum. To już minęło. Chciałabym, żebyśmy zostali w przyjaźni. Mam ci tak wiele do zawdzięczenia...

Mężczyzna kurczy się jak balonik noworoczny, z którego uszło powietrze. Oczy nikną pod ciężkimi powiekami.

- Dobrze. Rozumiem, ale chcę porozmawiać.

Siadają w najdalszym kącie sali. Karlowi daje znak, że nie ma go dla nikogo.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Nie wiem. Było u mnie dwóch facetów. Jeden z Bonn, drugi chyba Francuz. Mówił z typowym dla nich akcentem i ostrym „r”.

- Czegoś chcieli? Pieniędzy? Pokręcił przecząco głową.
- Powołali się na Helgę. Moją siostrzenicę, która mieszka w Bonn i pracuje w firmie prawniczej. Naprzód ich spławiłem, bo przyszli w czasie największego ruchu. Ale wrócili wieczorem. Dziwni goście. Długo kręcili, aż w końcu wydusili...
- Co takiego? Dasz mi coś do picia? Lemoniadę... Fritz kiwa na Karla. Wydaje dyspozycje.
- Kawy też się napijesz? Potwierdza skinieniem głowy.
- Dwie kawy ze śmietanką i lemoniadę z plasterkiem cytryny. Tylko na jednej nodze!
- No więc - ciągnie Fritz moszcząc się wygodnie na rozchwianym krześle - nie mniej nie więcej, tylko chcą wynająć magazyn...
- Magazyn? Tu, w Monachium? Masz jakiś magazyn? Chyba nie chodzi o piwnicę pod tą knajpą?
- To nie jest knajpa, tylko piwiarnia - odzywa się chmurnie. - Tyle razy tłumaczyłem ci różnicę...
- Masz rację - Lilka chce załagodzić mimowolną przykrość. Dla niej knajpa i piwiarnia to jeden diabeł. Ale dla monachijczyka, nie. - I co z tym magazynem?
- Fritz miętosi w rękę brzeg serwety.
- Jest taki stary dom we Frankfurcie, tuż przy granicy z Polską. Kiedyś mieszkali tam rodzice... moi i Katharine. Znaczą, siostry.
- Tej, która ma córkę Helgę w Bonn? Czy tak? Mężczyzna kiwa głową.
- Kiedy starzy uciekli na zachód, jeszcze przed zbudowaniem muru, dom opustoszał. Państwo NRD - owskie zabrało go za karę. Przebudowano go, zburzono działowe ściany i zrobiono magazyn. Trzymali tam chyba papier drukarski czy też książki, nie wiem. Teraz dom wrócił do właścicieli. Czyli do mnie i Katharine. Trzeba za niego płacić

podatek. Chciałem sprzedać tę nikomu niepotrzebną budę, ale zjawili się ci dwaj.

- To dobrze! Oni będą opłacać podatki. Jak na razie nie widzę problemu.

Fritz przesunął dłonią po włosach.

- Tylko... widzisz, ci faceci wydali mi się jacyś podejrzeni. We wschodnich landach jest mnóstwo opuszczonych domów. Kto żyw wiał na zachód. Ten dom jest dwieście, no, trzysta metrów od granicy. I to ma dla nich znaczenie.

- Sądzisz, że coś będą przemycać? Do Polski?

Skinął głową.

- Tak na mój rozum. Ale zdziwił mnie w tym wszystkim Francuz. Dobrze mówi po niemiecku, elegancko ubrany, na ręku japoński zegarek z chronometrem i różnymi bajerami na czarnym pasku...

- Fritz, na litość Boską! Co ma do tego zegarek, choćby nawet był z wodotryskiem!?

- Bo... pod tym paskiem miał wytatuowany hakenkreuz! Lilka otwiera usta i zaraz je zamyka. Chwilę milczy.

- No wiesz... to jeszcze nic nie znaczy. Ludzie dziś wpadli w szal tatuażu. Mają smoki na ramionach i podobiznę Marylin Monroe na tyłku.

- Nic nie rozumiesz - mruczy Fritz. Czeka, aż Karl ustawi filiżanki, poda cukier i śmietankę. - Swastyka w oprawie wieńca z laurowych liści, na nadgarstku. To bardzo szczególny tatuaż. Ludzie, którzy go noszą, należą do ściśle tajnej grupy operacyjnej. Nazywają siebie Wilkami Mengelego.

- Tego zbrodniarza, o którym gazety pisały, że uciekł przed stryczkiem do Argentyny?

- Tak. W Niemczech ludzie wierzą, że on żyje. Dużo o tym czytałem. Ta sprawa mnie interesuje.

Lilka słucha z szeroko otwartymi oczami. Nie poznaje łagodnego, niedźwiedziowatego Fritza, zajętego wyłącznie piwnicą z winem i beczkami z piwem.

- Zaczekaj, wróć! Co to ma wspólnego z tymi, jak ich nazwałeś, Wilkami Mengelego?

Fritz ociera czoło pokryte kroplami potu. Łyka kawę zapomniawszy wrzucić cukier.

- To oni mają na nadgarstku wytatuowaną swastykę w laurowym wieńcu. Tyko oni...

Lilka mierzy go uważnym spojrzeniem.

- A teraz odpowiedz na najtrudniejsze pytanie: skąd ty o tym wiesz? Fritz pochyla nisko głowę. Jego głos dudni, jakby wychodził z dna beczki:

- Bo mój ojciec też miał taki tatuaż. Zabito go w Argentynie dwadzieścia lat temu. Wrócił w metalowej trumnie.

Kobieta parzy usta gorącą kawą.

\*\*\*

Dom towarowy „M und M” ma pięć pięter, stoi przy jednej z głównych ulic i jest najtańszy w całym Monachium. Zaopatruje się w nim przede wszystkim tak zwana „Mitagsklasse” i cudzoziemcy, głównie Afrykanie i turyści z krajów Europy Wschodniej. W dziale odzieżowym jest sporo nowości: bluzki z indyjskiej bawełny w delikatny kwiatowy wzór, cienkie jak mgła, spódnice wzorowane na wykrojach z „Burdy” dla tęższych Niemek, i nie tylko. Także akcesoria plażowe: parasole, kostiumy, kolorowe maty do rozkładania na piaszczystych wybrzeżach Bałtyku, Włoch i Hiszpanii.

Liliana nerwowo przebiega drugie piętro. Umówiła się tu z kimś, kogo nie zna. W dziale sportów wodnych. Jest w letniej sukience w granatowo - wiśniowe paski i ma na szyi sznur grubych, dokładnie wytoczonych z drewna koralów w kolorze biskupim. One są znakiem rozpoznawczym. Pochodzą

z Zakopanego, gdzie je kupiła przed dwunastoma laty. Przyjechały razem z nią i są naprawdę niepowtarzalne. Człowiek, mający ją odnaleźć pomiędzy raketkami do badmintonu a czerwonymi namiotami dla czteroosobowej rodziny, jest tym, który może pomóc Fritzowi. Bo problem jest palący. I nie wolno go zaniedbać. Lilka, niezależnie od długu wdzięczności wobec właściciela „Starego Słonia”, czuje nieodpartą potrzebę wyjaśnienia tej dziwnej wizyty faceta z tatuażem na nadgarstku. Ponieważ Fritz wyjawiał jej swoją największą tajemnicę: historię ojca - zagorzałego, fanatycznego nazisty, który już po drugiej wojnie światowej, po procesie norymberskim i polowaniu na zbrodniarzy hitlerowskich zszedł do podziemia, zakonspirował się głęboko w ówczesnej amerykańskiej strefie rozdartego podziałem Berlina i organizował przerzuty tych, którym w Niemczech groziła kara śmierci. Za Oświęcim, Lidice, Bergen - Belsen, Oranienburg i wszystkie inne nieszczęścia zrujnowanej Europy. Kiedy wojna skończyła się upadkiem Trzeciej Rzeszy, Fritz miał zaledwie pięć lat. Jego siostra - Katharina o rok więcej. Matka długo nie wiedziała o działalności męża, którą rozpoczął już po ucieczce z Frankfurtu nad Odrą do Berlina. Wojnę przeżyła ciężko, w kościele modliła się gorąco o nawrócenie wszystkich Niemców. Prosiła Boga o wybaczenie, nie zdając sobie sprawy z tego, że sama będzie musiała wybaczyć. Kiedy mąż wyjechał do Argentyny, myślała, że pojedzie tam za nim razem z dziećmi. Miała dość widoku ruin, spalenizny, biedy i głodu. Ale prawda dość szybko wyszła na jaw. I to za sprawą Katharine. Dorastająca córka nie ukrywała swojego zauroczenia ojcem. Wiedziała więcej i, co gorsza, zaczęła w tym wszystkim uczestniczyć. Dopiero jego tajemnicza śmierć na obcej ziemi, cichy pogrzeb i zmowa milczenia wśród najbliższych przyjaciół zatamowała jej entuzjazm. Z czasem wyszła za mąż, urodziła Helgę i

przeniosła się wraz z rodziną do Bonn. Fritz trwał długie lata w kompletnej nieświadomości. Tatuaż na przegubie dłoni własnego ojca zauważył dopiero przed jego eskapadą do Ameryki Południowej. Zdziwiło go to, ale nie przstraszyło. Dopiero przed śmiercią matki, gdy, umierając w okropnych boleściach wyznała mu całą prawdę - przstraszył się. Objął rodzinną schedę i marzył o jednym: zapomnieć. Razem z żoną, Gretą, pomалу się dorabiali. Sądził, że wojenny koszmar zniknął. Że cień ojca nigdy nie powróci. A jednak...

Lilkę wzruszyła jego opowieść o biedach, strachach i tajemnicach. Zaufał jej, osobie obcej. Z innego kraju. Jakże musiał ją kochać. Choć czuła, że bierze sobie na barki straszliwy ciężar, nie mogła tego nie zrobić. Dla Fritza, ale i dla siebie. Była coś winna krajowi, który ją przygarnął, zezwolił na pozostanie i pracę. Także tamtej ojczyźnie, chwilowo porzuconej, ale przecież jedynej, jaką miała. Wychowano ją w nimbie patriotyzmu i tolerancji: te wszystkie nieudane powstania, Somosierry, czarne krzyże i srebrne biżuterie rzucone na tace dla ratowania ojczyzny. Ale i entuzjazm odbudowy, harcerskie warty, etos Szarych Szeregów. Jej młodzieńcza wielka miłość, Krzysztof, związany rodzinnie z legendą Armii Krajowej. Jego wielogodzinne opowieści w czasie długich spacerów na krakowskich Błoniach. To chyba on zasiał w niej ziarno nienawiści do nazizmu. Wstręt do wszystkiego spod znaku swastyki. Do Niemców w szczególności. Co powiedziała by dziś, gdyby wiedział, gdzie jest. Z kim żyła.

Krzysztof. Ciemnowłosy, brązowooki, który nie miał odwagi nawet jej pocałować. W czasie długiego narzeczeństwa, był wtedy studentem, nigdy ze sobą nie spali. Nie mogła go zrozumieć. Chciał się ożenić z dziewczyną? Po co? No cóż... chyba w tym właśnie tkwił jego błąd. Marek, jego przyjaciel, był szybszy. Bardziej męski, brutalny. Uwiódł ją na

podłodze pod nieobecność matki. Był zszokowany dziewictwem osiemnastolatki. Nie potrafił uwierzyć, że Krzysztof jej nie tknął. Skutek był taki, że zaszła w ciążę. Ale dziecka nie urodziła, Marek się o to zatroszczył. Nie miał zamiaru się żenić. Krzysztof ambicjonalnie zerwał zaręczyny i niedługo potem ożenił się z Zofią. Kiedy urodziła im się malutka Maria, znów zaczął bywać w domu Liliany. Spotykali się tam interesujący ludzie, pito czerwoną tunezyjską Gelalę z korzeniami. Lilka pewnie nigdy więcej by się nie interesowała Krzysztofem, gdyby nie wkroczenie Karoliny: ostre, zwycięskie. Krzysztof zupełnie stracił głowę. Wszyscy widzieli, jak z hukiem rozpada się jego małżeństwo z Zofią. Niedługo potem wyjechał do Warszawy. Nikt z bliskich przyjaciół nie chciał się z tym pogodzić. Obwiniali Karolinę o wszystkie grzechy. I nadszedł czas zemsty. Odbył się nad nią sabat czarownic. Pewnego wieczoru w krakowskim mieszkaniu na Długiej. Siódemka „przyjaciół”, stukając się musztardówkami z bułgarskim cabernetem, pokazała dumnej i zwycięskiej, gdzie jest jej miejsce.

- On się nigdy z tobą nie ożeni, Karolino Stengert! - powiedziała twardo Iza. - A wiesz dlaczego?

Karolina potrząsnęła głową. Jeszcze nie rozumiała. Nie przeczuwała.

- Bo jesteś Żydówką! - Lilka uniosła w górę szklaneczkę z grubego szkła. - A jego rodzina jest katolicka. Od pokoleń. Oni umierali za Polskę, a nie za jej mniejszości narodowe! Ani matka, ani ojciec nie wyrażą zgody na to małżeństwo.

Liliana odrzuca z twarzy kosmyk włosów. Dlaczego akurat teraz sobie o tym przypomniała? Tamten wieczór, po którym Karolina zniknęła z ich życia na zawsze. Gdzieś wsiąkła. Wyjechała, zamknęła za sobą drzwi mieszkania na Długiej. Tak, udało im się wtedy obronić Krzysztofa przed niestosownym związkiem. Zrobiła to celowo i z zimną krwią.

Potem odszukała go w stolicy. Przyjeżdżała regularnie. Mieszkał sam w wynajętym pokoju. Nareszcie poszli do łóżka. Inni przestali się liczyć. Polubiła nocną jazdę pociągiem, zimne ranki na Dworcu Głównym, ciepłe ciało Krzysztofa pod pikowaną kołdrą. Ale nie trwało to długo. Pewnego dnia, szarym świtem, gdy mgła otulała warszawski Pałac Kultury, mieszkanie okazało się zajęte przez kogoś innego. Krzysztof przeszedł w sprawne ręce Julii. I nigdy już go nie odzyskała. Jej nowy związek też się rozpadł. Jak i małżeństwa tamtych, którzy spijali cabernet w noc Walpurgii. Wszystko się rozleciało: przyjaźń, koleżeństwo, wspólnota. Rozprysnęli się po świecie.

Właściwie dlaczego to zrobiłam? - myśli Liliany krążą uparcie wokół tamtej marcowej krakowskiej nocy. - Z zazdrości - odpowiada sobie z brutalną szczerością. - Bo wiedziałam, że dla Karoliny będzie to cios śmiertelny. Była tak cholernie ambitna. Szczególnie od sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy nie dostała się na studia. Ale nie spodziewała się noża w plecy od nas. Swoich przyjaciół A Krzyś był taki słaby, niezdecydowany...

Ktoś przystanął obok, przyglądając się ekwipunкови pletwonurka.

- Frau Żaków...sky?

Odwróciła się spłoszona. Mężczyzna miał około czterdziestki. Twarz wąska, niczym się nie odznaczająca. Można przejść obok niego dziesięć razy i nie zauważyć.

- Tak. Proszę wybaczyć... nie mówię po niemiecku bezbłędnie. Mimo spędzonych tu jedenastu lat...

\*\*\*

Julia z rozpaczą przygląda się wannie o ciemnobrunatnych zaciekach. Mimo szorowania, spłukiwania i pucowania osad pozostał nienaruszony. Wżarł się w popękana ze starości emalię i nigdy już nie ustąpi. Nie miała odwagi na kąpiel. Z



drugiej strony upał, pot i śmiertelne zmęczenie domagały się pogrążenia ciała w ciepłej, pachnącej ziołami wodzie.

- Wezmę tusz. Inaczej szlag mnie trafi. Albo atak serca - wymruczała sama do siebie.

Ostatnio zaczęła ze sobą rozmawiać. Głuchota ciotki Stefanii spowodowała, że nie musiała się specjalnie krępować. W Warszawie też jej się to zdarzało. Zwłaszcza podczas długich nieobecności Krzysztofa. Rozmawiała z kudłatą suczką i czarnym kotem w białych skarpetkach przywiezionym z wakacji. Gdyby mogła, gdyby mąż pozwolił, założyłaby najchętniej schronisko dla nie chcianych zwierząt. Znana była w ośmiopiętrowym bloku jako niańka wszystkiego, co żyje: skrzywdzonego, głodnego i bez własnego domu. Lekarze wiedzieli, skąd się to bierze: podświadome, niezaspokojone macierzyństwo. Brak dzieci zastępowała rozdzierającą serce litością dla istot zbłąkanych, szukających opieki. Tak opisywali tę przypadłość Freud i Jung. I wielu innych równie sławnych.

Weszła do wanny pokonując ból w stopie. Chłodny prysznic powoli spłukiwał zmęczenie. Oczywiście w merostwie niewiele udało jej się dowiedzieć. Brak testamentu Michała komplikował sprawę. Urzędnicy, francuska biurokracja jest nie gorsza od rodzimej, uważali, że jeśli madame Boner będzie regularnie płaciła rachunki, może tu mieszkać bez przeszkód. I koniecznie trzeba załatwić w polskim konsulacie nowy paszport, skoro stary gdzieś zaginął. Madame nigdy nie występowała o przyznanie jej francuskiego obywatelstwa. A przecież ma wszelkie podstawy, by je uzyskać. Tylko czy warto? Osiemdziesięcioletnia staruszka długo już zapewne nie pożyje. Oczywiście francuskie prawo do opieki społecznej nie pozostawi madame bez tych paru franków miesięcznie... ale czy nie lepiej zabrać ją do Polski? Do ojczyzny? Szczególnie gdy kraj wyzwolił się z

komunistycznych okowów! Jest niepodległy, ma sejm i prezydenta z wolnych wyborów. W merostwie wiedzą o tym. Wszyscy, bez wyjątku, czytają przecież „Le Figaro - Magazine”. Madame Boner...ska byłaby chyba szczęśliwa mogąc wrócić po tylu latach emigracji... A w ogóle, to radzą pójść na policję. Tam znają więcej szczegółów odnośnie śmierci monsieur Karat... taka tragedia...

Julia miała dość. Tłumacz także. Miły pan Lechicki z wyraźną ulgą pożegnał się pod stacją metra. Wracił do siebie, do „białej” dzielnicy w pobliżu parku Monceau.

Julia z trudem wychodzi z wanny. Wycierając się włochatym ręcznikiem rzuca ukradkiem spojrzenie w lustro. To, co widzi, zmusza ją do odwrócenia wzroku. Boże, jak ja się roztyłam! Z chorób, leków, braku hormonu, niepohamowanego łakomstwa. Z prowadzenia trzech kuchni: dla zwierząt, Krzysztofa i siebie. On jada tylko mączne potrawy, każdą ilość makaronu, lanego ciasta, francuskich kluseczek. Najlepiej z sosem mięsny. Nie cierpi surówek, zielonej sałaty, broń Boże zapiekanek. Górę jedzenia zostawia na talerzu. Ileż to razy wyjadała ugotowane przez siebie dania, których nie tknął. Dziesiątki razy trzeba to było odgrzewać, bo właśnie zajęty był delegacją Arabów, Rosjan, Litwinów lub licho jeszcze wie kogo. I zostawał w tym zapyziałym biurze, mieszczącym się przy jednej z centralnych ulic Warszawy, aż do późnego wieczora. A może jechał do kobiety? Dzwonił raz, dwa razy w tygodniu, żeby na niego nie czekała z obiadem. Czy dostawał te swoje cholerne kluseczki w innym mieszkaniu, na innym piętrze, w innej dzielnicy?

Telefon zabrzączał w środkowym pokoju. Ciotka pewnie nie usłyszy. Julia owinięta ręcznikiem, bosy, kulejąc biegnie, potrącając po drodze meble.

- Halo!

- No, co tam u was? Jak ciotka?

Rozmowa między Warszawą i Paryżem jest o wiele lepiej słyszalna niż pomiędzy Mokotowem i Śródmieściem.

- Krzysiu, dobrze, że dzwonisz. Absolutnie niczego nie umiem załatwić. Michał nie zostawił testamentu. Ciotkę wyrzuca z mieszkania, jeśli tylko przestanie płacić. A ona nie ma czym. Pieniądze już się skończyły. A te z banku są nie do ruszenia. Na nazwisko Michała. Stefania nie ma żadnego upoważnienia. Nic.

- Przeszukałaś szuflady? Może gdzieś pomiędzy jego papierami...

- Przekopalam wszystko. Kartka po kartce. Znalazłam trochę pieniędzy, poniewierały się po całym domu. Niestety, same drobne... nie wiem, co robić...

- Na co on właściwie umarł?

- Boże, Krzysztof, ty nic nie wiesz! - łapie się za głowę Julia. Ręcznik opadł z mokrego ciała, szuka go niezdarnie pod stopami. - Michał został zamordowany!

- Co? - głos z drugiej strony linii natężył się. - Co powiedziałaś? Zamordowany?

- Tak. Wyłowiono go z Sekwany. Miał zmiażdżoną twarz i przetracony kręgosłup.

Cisza przedłuża się.

- Nieprawdopodobne. Co policja?

- Nie byłam na policji. Tak mi trudno tu coś załatwić. Nie znam języka, Byliśmy dziś w merostwie. Z panem Lechickim. Ale i on miał dość tutejszej biurokracji. Krzyś, nie wiem, co robić, źle się czuję... - głos Julii wpada w histerię. Ten ton już niejednokrotnie stawiał męża na nogi. Skutkował bezbłędnie. Ale tym razem chyba przesadziła.

- Posłuchaj, Julio - mężczyzna mówi powoli. Zbyt powoli, by pozostawić nadzieję. - Nie przyjadę do Paryża. Nie mogę. Poza tym też nie znam francuskiego. Musisz poprosić o

tłumacza... może z polskiego konsulatu. Masz ich adres, prawda?

Julia ciężko oddycha.

- Tak. Mam... ale...

- Nie ściągniesz mnie, Julio. Nie próbuj. W razie czego załaduj ciotkę na samolot i przywieź do Warszawy. Będzie z nami mieszkała.

Julia pomału się uspokaja. To może być wyjście. Nie najlepsze, ale jakieś wyjście.

- Dobrze. Zobaczą, co się da zrobić.

- No, trzymaj się. Cześć.

To jego „cześć"! Odwiesił słuchawkę, bo nie znalazł innego wyjścia. Nie lubił się zajmować sprawami, o których nie mógł decydować. Zabrać Stefanię do Warszawy? Czy zechce? Ale przecież nie zostawię jej tu samej. Umrze z głodu i tęsknoty za Michałem. Jest tak dziwnie spokojna, że chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało: że człowiek, który się nią opiekował od pięćdziesięciu lat, nigdy już nie wejdzie do zagraconego mieszkania na czwartym piętrze przy ulicy L'Orillon, w ósmej dzielnicy Paryża.

- Ciociu, co będziesz jadła na kolację?

Stefania siedzi w wypłóciwym fotelu czytając wspomnienia Michelle Morgan. Nie słyszy pytania. Jest podobna do szarego kamienia na rozdrożu dróg. Nie warto pytać staruszki. Trzeba coś przygotować. Może omlet?

Ostry dzwonek zmusza Julię do narzucenia szlafroka i kapci.

- Już idę! - woła po polsku.

W drzwiach stoją dwie kobiety. Jedną z nich jest sąsiadka. Salowa w pobliskim szpitalu. Zna Bonerską, nazywa ją nawet ciocią. Druga, młoda jeszcze kobieta w dobrze skrojonej szmizjerce, odzywa się czystą polszczyzną!

- Dzień dobry. Nazywam się Halina Stępień. Madame Tourbille prosiła mnie, żebym spytała, czy pani czegoś nie potrzebuje.

Julia zaprasza je do środka. Wchodzą do pokoju, który dawniej zajmował Michał.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - mówi Julia gorączkowo. - Nieznajomość języka jest straszna, szczególnie w takich okolicznościach. Byłam dziś w merostwie... przepraszam, nie przedstawiłam się: Julia Sulikowska...

Sąsiadka unosi się z krzesła.

- Alors, zostawiam panie same. Tak będzie lepiej.

Słysząc szcęk zatraskiwanych drzwi. Julia nawet nie zdążyła podziękować.

- Słyszałam o tej strasznej historii. Mieszkam niedaleko, nad sklepem spożywczym. My się tu wszyscy znamy... dzielnica nie najlepsza, ale da się żyć. Wyjechałam z Polski po stanie wojennym. Byłam internowana. Tu, w Paryżu pracowałam na rzecz „Solidarności”. Teraz się wszystko zmieniło... ale ja o sobie...

Julia zrywa się z miejsca.

- To ja zrobię kawę... zaraz... Halina macha dłonią.

- Nie, dziękuję. Może innym razem. Wpadłam tylko na moment. Zostawię pani swój telefon. Może przydam się jako tłumaczka...

Julia opada na miękkie, pachnące kurzem i starością krzesło.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo! Powinnam iść na policję. Dowiedzieć się szczegółów. Tak mi radzono w merostwie. Chociaż, mąż twierdzi, rozmawiałam z nim telefonicznie przed chwilą, że powinnam przede wszystkim odwiedzić polski konsulat. A ja nawet nie wiem, czy Michał był... czy miał polskie obywatelstwo!

Gość podnosi się z fotela. Podaje sztywny kartonik wyjęty ze zniszczonej, ale w dobrym gatunku lakierowanej torby.

- Proszę. Tu jest mój adres i telefon. Jeśli będę potrzebna...

\*\*\*

Apartament przy Adrienne Lecouvreur na drugim piętrze ma duże weneckie okna wychodzące na Champs de Mars. Dom, w zamożnej siódmej dzielnicy strzeżony jest przed obcymi wysokim murem wtopionym w gęstą zieleń i ostro zakończonymi sztachetami ogrodzenia. Dla większego bezpieczeństwa wejścia do przestronnego holu pilnują, na zmianę, dwaj portierzy odziani w eleganckie liberie, Nie wtajemniczonych może łatwo zmylić ich dobroduszny wygląd. Ale obaj są przeszkoleni i obaj mają broń. Pięciopokojowe mieszkanie składa się z przestronnego salonu, jadalni urządzonej przez Philippe'a Decoufl'e, znanego twórcę takich spektakli, jak choćby oprawa igrzysk olimpijskich w Albertville. Pozostała część apartamentu to sypialnie, garderoby, ogromna nowoczesna kuchnia i łazienka w kolorze pistacji.

Tu, od siedmiu lat, mieszka i pracuje baronowa Christa Oxenberg. Tu odbywają się znaczące w Paryżu party, spotkania czołowych twórców mody, malarzy i architektów. Tu zamyka się na całe tygodnie, by przetrwać chandrę z „woalką”, „welonem” czy „trenem”. Jak sama nazwa wskazuje rodzaj chandry zależy od jej długości. Christa, zwana przez wrogów i przyjaciół pieszczotliwie Piranią, jest damą bez wieku i skrupułów, twierdzącą z całą należytą powagą, iż: „Gdzie powiesz kapelusz, tam jest twój dom”. Ze swym ogromnym dorobkiem, zdolnościami zaskakiwania krojem, kolorystyką, śmiałymi cięciami, zdobyła w wysublimowanym świecie haute couture sławę i niebagatelny majątek. Jej wejście było ostre, tryumfujące i bezkompromisowe.

Zaangażowała w swój prestiż tyle energii, co i franków. Dziś jest jedną z dziewięciu najlepszych, jeśli nie liczyć Włochów i Japończyków. Mogłaby spokojnie zwolnić ekspansję, zażywać chwały i sławy, Ale na to nie pozwala jej apokaliptyczna potrzeba ciągłego sprawdzania się, aprobaty tłumu i jednostek. Christa „musi być na topie albo umrzeć” - mawiają wtajemniczeni. „Musi tworzyć, żeby żyć” - dopowiadają inni.

W Paryżu od dawna mówi się, że dwie dotąd osoby zadziwiły Francję: Valery Giscard d'Estaing jako minister finansów, prezentując „z głowy” rządowy projekt budżetu i baronowa Oxenberg swoją słynną kolekcją, której hitem były płaszcze - redingoty z czarnej skóry lub szarego wypikowanego jedwabiu i do nich buty - legginsy sięgające niemal bioder. Clou programu stanowiły złote dżinsy noszone wraz z body ze złotej lamy stretch, która tak wspaniale podkreślała linię talii i bioder.

Tak, Paryż zawsze leżał u stóp ludzi nietuzinkowych.

Christa sprawdza pod światło elegancką w kształcie butelkę z cienką szyjką: chateau latour, rocznik osiemdziesiąty drugi, o smaku cedru i cassis. Jej ulubione wino. Do tego serowe krakersy z odrobiną pasty łososiowej. Nie spodziewa się nadzwyczajnych gości. Tylko Karoliny, swojego nowego „odkrycia” z Polski.

Wewnętrzny telefon zabrzączał łagodnie.

- Tak, Marcel, wpuść panią Stengert. Czekam.

Karolina wyglądała jak reklama Gianfranco Ferre: dokładnie przylegający do ciała kostium z dużym białym kołnierzem i mankietami. Pachniała agresywną Poison.

Christa wydeła nozdrza.

- Tak nie wolno, chérie! Kostium doskonały, ale perfumy do kitu!

Karolina zamrugnęła powiekami.

- Coś nie tak? To cudowny zapach. Wielbię go!

- Kompletnie passe. Pewnie nie wiesz, że właśnie odbył się wielki bal u Diora, którym rozpisywała się prasa. Bal był z okazji promocji najnowszych perfum o nazwie Dune...

- Wydma? Zapach piasku? Wody?

- Rzeczywiście udany produkt. Polecam. Wejdz do salonu, zdejmij żakiet...

Karolina z zachwytem rozgląda się po wnętrzu. Kiedy tu była cztery lata temu, ten sam pokój wyglądał nieco staroświecko. A teraz? Wspaniale!

- Dune kojarzy się z pogodą i spokojem. Pani Robert, dyrektorka firmy twierdzi, że wydma jest tym, co musiało nadejść po burzliwych latach osiemdziesiątych. Po agresywnych zapachach, jak ta twoja trucizna.

Karolina siada ostrożnie na czymś, co tylko z grubsza przypomina krzesło. O dziwo, jest szalenie wygodne, opływowe.

- Coś ci powiem, Christa. Tak naprawdę, to od lat dwudziestych nikt nie wynalazł nic lepszego od Vol de nuit - Guerlaina, L'heure attendue - Patou z czterdziestego szóstego i Piątki Coco Chanel, którą perfumuje się już czwarte pokolenie.

Christa unosi smukły kieliszek. Jej twarz w kolorze waniliowego budyniu łagodnieje.

- A la votre! Dobrze, że jesteś.

- I ja się cieszę - Karolina upija łyk. - Trzymałaś mnie na odległość przez cztery lata, dlaczego?

- Tak trzeba. Twoje pierwsze rysunki nie były dobre. Następne coraz lepsze. Musiałaś dojrzeć, Karolino. Co w Polsce?

- U nas trwa jakiś szaleńczy, chocholi taniec polityczny.

- Qu'est - ce que c'est... chocholi?



Karolina uśmiecha się łagodnie. Skąd ta rodowita Francuzka ma znać postać z "Wesela"? I dylematy rodem z Wyspiańskiego?

- Pozwól, że ci nie wytłumaczę. Chcę odpocząć od polskiej karuzeli nienawiści, niekompetencji i zadufania. Całe szczęście, że mogę wyjść przez szafę, jak Alicja z Krainy Czarów, czy też przez wyimaginowane drzwi z zamurowanego pokoju dziecinnego, jak z Brunona Schulza. Aha, przywiozłam ci jego album. Prawdziwa rewelacja. Ale nie oglądaj teraz. Do tego potrzebny jest nastrój. Szary zmierzch, cień drzew. Masz cudowny widok z okna, Piranio.

- I panią wieżę Eiffla na rozkraczonych czterech łapach!

- Nie narzekaj. Żyjesz w normalnym świecie. Bez stresów, fobii i ludzi, których jedynym dobytkiem są ideologiczne natchnienia.

- Kiedy się umówimy na randkę w pracowni? - Christa uśmiecha się do gościa. - Marie chciałaby z tobą omówić parę spraw...

- Mam nadzieję, że niczego nie sknociła! Święty Boże, jak ja to przeżyję... umieram ze strachu! Najgorsze, że ten rok ma „oczko”. No, liczbę dwadzieścia jeden. Suma czterech cyfr: jeden, dziewięć, dziewięć, dwa... rozumiesz?

- Nie jestem idiotka. Ale co z tym „oczkiem”? Koniec świata? Pomór na warszawianki? Gilotyna o świcie?

- Dwadzieścia jeden jest moją nieszczęśliwą liczbą: matura, kłopoty z uczelnią, śmierć ojca, utrata ukochanego mężczyzny... złamana noga... wszystko dwudziestego pierwszego!

- Spróbuję cię pocieszyć! - śmieje się Christa. Dobre wino zaczyna działać. Smakuje je końcem języka. - Zgodnie z wyznaniem mojżeszowym obecny rok ma datę pięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt dwa. To ci odpowiada?

Karolina sztywnieje. Odstawia kieliszek na kryształowy blat.

- Skąd wiesz?

- Co? - Pirania zatapia zęby w łososiowej paście.

- Że jestem Żydówką.

Christa przetyka kęs. Musi znaleźć te sekundy potrzebne, by zapanować nad sytuacją. Oczywiście, że nie wiedziała. Bo i skąd? Ogromne jasnoszare oczy, bardzo biała cera, ładny prosty, mały nos. Nic semickiego. Ale one takie są. Te z północnych krajów: Litwinki, Polki, Rosjanki: południowe geny ochłodzone na lodowej krze.

- Niczego nie miałam na myśli, Karolino. I nie wiedziałam o twoim pochodzeniu. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Nie stwarzaj problemów tam, gdzie ich nie ma.

Karolina odrzuca głowę.

- Przepraszam, Christa. Nie lubię o tym mówić. W Polsce wszystko wywróciło się teraz do góry nogami. „Solidarność”, nasz wspaniały, mądry ruch, ma w sobie tyle samo antysemitów, co administracja kościoła katolickiego.

- Może to już czas, by o tym zacząć mówić otwarcie?

Karolina przymyka oczy. Znowu wracają upiory. Zawsze będą wracać. Nie zazna spokoju, nawet jeśli zapali szabasowe świece, czego nigdy nie robiła. I zmówi modlitwę za umarłych, której słów nie zna, nie rozumie... nie potrafi nawet powtórzyć.

- Nie wiem - mówi wolno. - Nauczono mnie milczeć o pewnych sprawach. Moi rodzice, którzy przeżyli Oświęcim. Spotkali się za bramą z napisem „Arbeit macht frei”. Nie mieli dokąd iść. Nikt z ich rodzin nie pozostał żywy. Suną w swoich obozowych pasiakach pod górę, na most wiodący do miasta o takiej samej nazwie jak obóz. Ludzie dawali chleb i wodę. Sami więcej nie mieli. Matka poszła do pracy w piekarni.

Właśnie skończyła dwadzieścia lat. Ojciec, nie byli jeszcze wtedy małżeństwem, wrócił do pracy tam, gdzie zatrudniali go Niemcy. Do I. G. Farbenindustrie. Tych samych zakładów, które w czasie wojny produkowały na przemysłową skalę gaz cyklon B. Tyle, że był wolny. Ważył czterdzieści pięć kilo. Spotykali się po pracy obok cementarza - na wprost drogi. Po trzech latach nie wytrzymali, wspomnienia były zbyt silne. Bo głodu już nie było. I nawet ubrania na grzbiet dostali z UNRRY. I amerykańską wołowinę z miodem w puszkach, których nie było czym otwierać. Pojechali do Krakowa. Tam wzięli ślub. Katolicki, a jakże. Tam się urodziłam w pięćdziesiątym roku. Chyba byli ze sobą szczęśliwi. Moja matka Bronisława i tato Aleksander, zwany Sławkiem. Niestety, trwało to krótko. Ojciec nie mógł odrzucić przeszłości w niepamięć. Nie potrafił przystosować się do „nowego porządku”. Do komunistycznej władzy, czerwonych sztandarów z sierpem i młotem i tak zwanej „inteligencji pracującej”. Nie akceptował nachalnej, głupiej propagandy wielbiącej jedynie słuszną partię, towarzysza Stalina i Wielki Bratni Kraj, „gdzie tak swobodnie oddycha człowiek”... Ojciec załamał się. Zgłosił nas na emigrację do... Erec Israel. Mama odmówiła. Nie chciała zaczynać wszystkiego od nowa. Bała się pustyni, języka, który brzmiał gardłowo, kraju, który nigdy nie będzie jej ojczyzną. Izraelczyków uzbrojonych po zęby i Arabów otaczających maleńki splachetek ziemi między morzem a wzgórzami, z których padały strzały. Nie chciała słyszeć o nowej wojnie, obronie, chłopcach jak malowani. Nie pojechała. I nie pozwoliła zabrać mnie. Jestem jej do dziś wdzięczna za tę decyzję.

- Nigdy później nie widziałaś ojca? - Christa przeżywa opowieść na swój racjonalny sposób.

- Nigdy. Ale mam zdjęcia. Roześmiany przystojniak w mundurze i berecie obwieszony żelastwem. Posyłał nam

paczki przez Wiedeń. Nie zawsze dochodziły. Zginął w wojnie Jom Kipur w siedemdziesiątym roku. Żył tak, jak chciał. I umarł, jak chciał.

- Nie widziałaś jego grobu?

- Nie. Ale kiedyś tam pojedę... za jakiś czas.

- A matka?

- Mama? Cudowna kobieta! Skończyła studia w Krakowie, pracowała jako architekt w Urzędzie Miasta. Umarła na atak serca w sześćdziesiątym ósmym. W dniu, w którym dostała wymówienie z pracy jako „żona syjonistycznego agenta”. Wtedy właśnie tak zwani „partyzanci” zrobili u nas antysemitkę hecę. Obowiązywało hasło: „Syjoniści precz do Syjamu!”

- Gdzie?

- Pomylił się, niedoukom, Syjam z Syjonem. Nie śmieję się. Naprawdę tak było. Pochowałam mamę tuż przed maturą. Cała moja klasa, wszyscy profesorowie i nawet woźny byli na pogrzebie. Mimo pomocy zupełnie w końcu obcych ludzi, nie mogłam zostać w Krakowie. Zresztą, nie przyjęli mnie do Akademii. Był wciąż rok sześćdziesiąty ósmy. Mogłam tylko... precz do Syjamu.

- Nie chciałaś wyjechać? - w mieszkaniu pomału zapada zmrok. Ale Christa nie zapalała światła. Tak było dobrze...

- Ani przez moment. Znalazłam się tylko w nowej rzeczywistości. Warszawa była wtedy miastem zamkniętym...

- Co to znaczy?

- Nie wolno było nikogo meldować. Nikogo z zewnątrz. Tylko władza miała prawo „zasiedlać stolicę”. Byli to ludzie z dobieranego klucza: głównie pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Oni, i tylko oni mieli zaszczytne prawo odbudowy miasta. Dla siebie. Ale okoliczne miejscowości, cały pierścień miasteczek i wsi wokół Warszawy, pełne były

ludzi, którzy pracując w stolicy omijali w ten sposób głupie, bo polityczne przepisy.

- Pracować było wolno, a mieszkać nie?

- Właśnie - Karolina duszkiem wypija wino. Smakuje wspaniale. I leciuteńko pachnie cedrowymi orzeszkami. - Jeden z kretyńskich pomysłów ludzi z Komitetu Centralnego. Nie należy zapominać, że oni też byli robotniczo - chłopscy. I żywiołowo nie znosili resztek starej inteligencji. Młodszej też. Zamieszkałam więc w miasteczku oddalonym o dwadzieścia kilometrów. W siedemdziesiątym drugim zdałam na studia. Dalej już wiesz...

- A teraz? Jak się teraz czuje dojrzała kobieta z twoją przeszłością? Czy po waszej bezkrwawej rewolucji da się tam żyć? Słyszałam, że dalej są partie nawołujące do walki z „żydokomuną”.

- To dość skomplikowany problem. Nie ma już oficjalnych haseł w rodzaju: „Karolina do Syjamu!” Wszystko się skomplikowało, bo i w elitach „Solidarności” są ludzie pochodzenia żydowskiego, choć mniej ich, niż sądzi naród. A w „dołach”, robotniczych i chłopskich masach te same „Solidarności” są nastroje antysemickie. Im wyższe wykształcenie, tym ich mniej. No, i Kościół. Widzisz, tu, w Paryżu biskupem kościoła katolickiego jest Żyd. W Polsce biskup katolicki nawołuje, by: „katolicy głosowali na katolików, Żydzi na Żydów, a komuniści na komunistów”. Jeśli świątobliwy Prymas nazywa głośno i publicznie pewnych ludzi „szczekającymi kundelkami” lub „wilczurami”, to może się zdarzyć, że niedługo dowiemy się z ambony, po nazwisku, kto „wejdzie do Królestwa Niebieskiego”, a kto nie. Dlatego nasz ortodoksyjny katolicyzm wydaje mi się taki groźny. Księża twierdzą, że wolny człowiek może wybierać. Ale tylko w precyzyjnie przez Kościół określonych warunkach. No, ale są środowiska do dziś głęboko przekonane, że przyszłość

kraju zależy nie tyle od rozwoju gospodarki i kultury, ile od wypędzenia Żydów.

- Dopomógł temu upadek komunizmu?

- Z pewnością. Ale ani ja, ani nikt z mojego pokolenia nie czuje się „sierotą po ustroju”, mimo iż żyliśmy w Polsce w tym czasie. Jeśli o mnie chodzi, byłam raczej człowiekiem apolitycznym, zdeklarowaną przeciwniczką mieszania sztuki z doraźnością. Nie mam więc żadnych ran ani zasklepionych blizn.

- Cherie, przecież „czerwona zaraza” rozpryskiwała się, jak wirus, drogą kropelkową. Iluż z naszych „wielkich” flirtowało z komunizmem? Romain Rolland naprzód krytykował bolszewizm, a później pisywał bałwochwalcze listy do Stalina. A Andre Gide? W latach trzydziestych ukazało się w Moskwie sto tysięcy pocztówek z jego portretem. No, i po wojnie... Jean Paul Sartre i jego satelici! - Christa założyła nogę na nogę. Z ulicy sączyło się delikatne światło latarń. Było cicho, pachniały ogrodowe anemony, tylko z daleka dochodził suchy szelest opon samochodowych.

- Od połowy lat siedemdziesiątych mieliśmy do czynienia z czymś, co nazwałabym surrealistycznym obrazem rzeczywistości - ciągnęła Karolina - w każdym razie tak było w Polsce. Kiedy po raz pierwszy postawiłam stopę na „Zachodzie”, czyli tu, w Paryżu, zorientowałam się, że artysta to przede wszystkim rzemieślnik, osoba, która wie, co zrobić, aby wytworzyć dobrej jakości produkt, która liczy się z potrzebami odbiorcy i wychodzi mu naprzeciw. U nas ciągle wybitny był ten, którego namaściła władza. Oczywiście, byli i inni. Ale nie funkcjonowali w „pierwszym obiegu”. Toteż ci z niegdysiejszych pierwszych stron gazet nie umieją znaleźć sobie miejsca w życiu. Żyją w frustracji, nie zawsze wiedząc, czym opłacić otrzymane niegdyś, darmowo, ogromne wille, domy i mieszkania.

- To mnie nie martwi, Charlotte - Christa podnosi swe długie, gibkie ciało. Zapala lampę w rogu pokoju, abażur w kształcie ogromnego kielicha przesącza łagodne, rozproszone światło. - Rozumiem, że Polskę zawsze będziesz traktowała jako ojczyznę... ale, co dla ciebie znaczy... polskość?

Karolina przeciąga się. Czuje się swobodnie, myśli napływają leniwie.

- Ojczyzna jest zawsze obecna jedynie w bardzo indywidualnym doświadczeniu. I tylko tak ma ona jakikolwiek związek z Polską. To kraj, którego nigdy nie wolno było krytykować. Bo zabory, rozbiory, krew i męczeństwo narodu. Dziś także. Jeśli „Le Monde” pisze, że naszym krajem rządzą ludzie niekompetentni, choć szalenie zasłużeni i krysztalowi, to pod Pałacem Kultury i Nauki rozlega się wrzask wszystkich ugrupowań, że „biją naszych”! A tak zwana „cała Polska” odczuwa to natychmiast jako zagrożenie, nowy zamach na świeżo odzyskaną suwerenność.

Dziś, kiedy Europa się integruje, u nas grupy narodowców wołają pod parlamentem: "Polska tylko dla Polaków"!

- Stop, stop, Charlotte! Nacjonalizm kwitnie w całej Europie. Tej nie do końca zjednoczonej też! Nasz beniaminek, Jean Marie Le Pen, liczy na poparcie prawie dwudziestu procent przyszłego elektoratu! - Coś o tym słyszałam, ale jeden polityk... - Jeden? Podobne poglądy wyznaje były prezydent Francji Giscard d'Estaing, któremu napływ obcokrajowców kojarzy się z niebezpieczną inwazją.

- Jak z Karela Čapka: „Inwazja jaszczurów”...

- Właśnie.

Na Champs de Mars spływa liliowa mgła. Tuli się do szyb, zaciska żółtawe kręgi wokół ulicznych latarni. Letni, nocny Paryż zaczyna żyć w odrealnionym świetle.

Karolina niechętnie wstaje z fotela. Trzeba ruszać do domu.

- Dziękuję, Christa. Już dawno potrzebowałam rozmowy. O tym i o wielu innych sprawach.

- Nie dziękuj, znam to. Teraz będziesz mi jeszcze bliższa, chérie. Weź taksówkę.

Karolina kręci głową..

- Nie. Dojdę do metra Champs de Mars albo Ecole Militaire. Przesiadę się na Concorde. Potem kawałek pieszo. Nie boję się Paryża. I nie mam przy sobie pieniędzy. Jeszcze raz dziękuję, Christa.

- Do zobaczenia w środę w pracowni. Nie spóźnij się, bo mnie Maria zamorduje.

Avenue de la Motte Picquet tonie w światłach. Kafejki i małe restauracyjki na wszystkich rogach Place de l'Ecole Militaire pełne są nie tylko rozbawionej młodzieży. Tu również dobrze czują się ludzie starsi. Popijając wieczorny pernod lub kieliszek morgaux słuchają z grającej szafy melodii z lat sześćdziesiątych. Z okresu, gdy sami, tu w Paryżu, wymyślili egzystencjalizm. W innych dzielnicach szaleje rock. Ale tutaj nie. Tu, na Montmartre, Montparnasse, nad dachami snują się czarne anioły: Patachou, Edith Piaf i Juliette Greco.

Tutaj miasto ma wciąż dwadzieścia lat.

\*\*\*

Willi Knopf z ulgą odkłada słuchawkę. Telefon, jaki otrzymał z Zurychu, zapowiada ciekawą sprawę.

- Co się stało? - pyta Zofia wnosząc dzbanek z kawą. Długo trwało, zanim się nauczyła parzyć kawę i podawać ją w porcelanowym dzbanku, jak to robią od zarania dziejów kolejne pokolenia niemieckich gospodyń. Kawa jest lurowata, ale Willi innej nie pije. - Masz taką zatroskaną minę.

Willi całuje żonę w czoło.

- Ładnie pachniesz. Lubię, kiedy tak ładnie pachniesz. Nic się nie stało. W każdym razie nic złego. To sprawa



obrazów. Muszę wyjechać do Zurychu. Moja firma „Grossner und Sohn” zobowiązana jest pomóc rodzinie Buhrle w zabezpieczeniu kolekcji. Może pojedziesz ze mną? Obejrzysz obrazy, które udostępnia się tylko dwa razy w tygodniu. I to nie wszystkie!

- Co to za muzeum? - Zofii nie bardzo chciało się ruszać z Bonn. Obiecała Marii zająć się małą przez parę dni. Maria musi zdać jakiś ważny egzamin, od którego zależą jej dalsze losy jako niemieckiej lekarki.

- To nie muzeum. Prywatna kolekcja. Ale jaka! Picasso, Toulouse - Lautrec, Gauguin. Prywatna fundacja dysponująca tylko częścią ogromnego zbioru Emila Buhrlego. Stary łobuz zgromadził ponad dwieście prac, w tym osiem Cezanne'a, tyle samo Maneta, sześć płócien van Gogha, cztery Renoira. Impresjonistów, postimpresjonistów ale też de Hooch, Tiepolo, Ingres. Oszałamiająca kolekcja, mówię ci!

- Kupował chyba przez wieki? - Zofia wyjmuje grzanki z tosterka i smaruje je masłem i dżemem z pomarańczy. Willi jest podniecony tematem. Kiedy się zapala, potrafi godzinami mówić o szczegółach.

- Widzisz, całe nieszczęście bierze się z pochodzenia tej galerii. Stary Emil był założycielem największej szwajcarskiej fabryki broni „Orlikon - Buhrle”. A fortunę zdobył w czasie drugiej wojny światowej, sprzedając swoje szybkostrzelne karabiny maszynowe, zarówno aliantom, jak i Niemcom. Buhrle zmarł w pięćdziesiątym ósmym. Fabrykę przejął jego syn Dietrich, w dwadzieścia lat później podejrzany o nielegalny handel bronią. Głównie z Arabami, bo Dietrich programowo nie znosił Izraelczyków. Za pieniądze od Kadafiego i Saddama Husajna skupował obrazy. Kolekcja jeździła po świecie i Amerykanie płakali z zachwytu. Ale ostatnio fundacja zaczęła mieć kłopoty.

- Nagle odkryto pochodzenie tych Gauguinów?

- Właściwie nie nagle. Ale kiedy latem dziewięćdziesiątego roku podczas wystawy w Waszyngtońskiej National Gallery, jeden z tych głupawych amerykańskich krytyków napisał, że jest wiele powodów historycznych i moralnych, dla których Galeria Narodowa nie powinna prezentować prywatnej kolekcji Buhrlego, zaczął się szum. Potem próbowała pokazać te cuda londyńska Royal Academy, ale „Times” wyciągnął sprawę portretu panny Irene Cahen d'Anvers pędzla Renoira.

- Czyżby był fałszywy? Wiele się słyszy o fałszerstwach... - Zofia dosypała łyżeczkę neski do swojej filiżanki z lurą. Nie znała się kompletnie na sztuce. Nawet w rodzinnym Krakowie nigdy nie wstępowała do żadnej z galerii.

- Ależ nie! - Willi chrupał grzankę popijając napojem z dzbanka. - Chodziło o to, że obraz był odkupiony od Hermanna Goringa!

- No to co? Obraz to obraz.

Willi uśmiechnął się. Cała Zofia! Dlatego się, między innymi, z nią ożenił. Nie ma w sobie cienia fobii, o której ciągle słyszy się w Polsce.

- Masz rację. I ja tak myślę. Najważniejsza jest sztuka, obcowanie z wielkimi dziełami, które przecież nie przestają być wspaniałe tylko dlatego, że wisiały kiedyś na ścianie w domu Goringa!

- Ale co ty masz z tym wspólnego?

- Nie tyle ja, ile moja kancelaria. Rodzina Buhrle'ów to nasi starzy klienci. Teraz fundacja pakuje obrazy na wystawę w Argentynie. Prasa zaś szerzy dramatyczne opowieści, że chce się je pokazać ludziom Eichmana i Mengelego, którzy ukrywając się tam, nie mogą obejrzeć dzieł w Zurychu.

Zofia zastyga z nożem uniesionym w górę.

- Chcesz powiedzieć, że te wszystkie plotki o ukrywających się w Argentynie hitlerowcach mogą być prawdą?

- Och, prezydent Carlos Menem chce przecież ujawnić zawartość pewnych archiwów, które dostały się wraz z Niemcami do Argentyny. Nie wiem, co to może oznaczać w praktyce dla organów sprawiedliwości Republiki Federalnej...

- Sądzisz, że jacyś naziści jeszcze się tam ukrywają? Nie wierzę! To tylko komunistyczne wymysły. W Polsce prasa epatowała czytelników takimi historyjkami. Klasyczny temat zastępczy, żeby nie pisać, dlaczego nie ma w sklepach masła...

Willi podnosi wzrok na żonę. Czyżby? Naprawdę nic nie wie o prawdziwych nazistach przesyłanych po wojnie do Ameryki Łacińskiej, jak paczki z brudną bielizną? O ludziach idei, którzy musieli porzucić swoje niemieckie domy, rodziny, dobytek całego życia? No cóż. Tym lepiej, że traktuje fakty jak bajki opowiadane dzieciom do poduszki. Tym lepiej...

- No cóż... - mówi znad talerza - wśród poszukiwanych za zbrodnie przeciw ludzkości jest paru... Bałtów, którzy blisko współpracowali... Niemców tam nie ma. To wszystko Quatsch! Jak więc będzie? Jedziesz ze mną?

Zofia uśmiecha się do własnych myśli. Jeszcze nie tak dawno musiała czekać parę miesięcy na uzyskanie paszportu, by polecieć do Pragi! Przed biurem w milicyjnym gmachu stały tasiemcowe kolejki i wpisywało się nazwisko na społeczną listę. Dziś jestem obywatelką największego i najbogatszego kraju w Europie. Mam męża, duży dom i nie muszę już zrywać się o świcie na kolejną rozprawę w krakowskim sądzie. Nic nie muszę. Obok mnie żyje córka, zięć i wnuczka. Czy mógł zdarzyć mi się w życiu lepszy los? Willi jest dobry, miły, zawsze uśmiechnięty, Oddziela sprawy pracy od domowych. Nie tak, jak Krzyś. I nigdy by mnie nie

zostawił z malutkim dzieckiem na pastwę losu. On nigdy! Serce Zofii przepełnia późne szczęście.

- Właściwie obiecałam Marii... ale chętnie z tobą pojadę. Nie lubię być długo bez ciebie...

Willi wstaje, odsuwa krzesło. Podchodzi do żony i mocno obejmuje ją ramionami.

- Ich liebe dich, Sophie! - mruczy z ustami w jej włosach pachnących konwaliowym szamponem. - Dlaczego nie spotkaliśmy się trzydzieści lat wcześniej? Urodziłabyś mi pięciu synów i pięć córek. Jak prawdziwa Niemka!

Zofii chce się śmiać. Och, lubi Williego, znosi go nawet w łóżku, choć jej to nie sprawia przyjemności i musi potem iść do łazienki, by samej „dokończyć to, co się jemu nie udało”. Ale żeby mu rodzić dziesięcioro dzieci? Nigdy! Całe szczęście, że się nie znali wcześniej.

\*\*\*

W niedzielę otwarto pod Monachium najnowocześniejsze lotnisko świata. Cała operacja przenosin z Riem do Erdinger Moos trwała jedną noc, a dziennikarze nazwali ją „przeprowadzką stulecia”. Kosztowała osiem i pół miliarda marek i uwzględnia wszystkie wymogi bezpieczeństwa.

W sobotę, poprzedzającą otwarcie, o siódmej wieczorem wyruszył ze starego lotniska konwój pięciuset ciężarówek do przewiezienia sprzętu, ruchomych ramp, wyposażenia biurowego, komputerów. Wszystko zostało zorganizowane z przysłowiową niemiecką dokładnością. Ostatni samolot z Monachium - Riem odleciał o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt pięć. Pierwszy Jumbo - Jet Lufthansy do Frankfurtu wystartował z Monachium MUC2 o szóstej rano w niedzielę.

Lotnisko najnowszej generacji rozpoczęło regularną obsługę.

- W czterdziestym dziewiątym otwierałem Riem - powiedział melancholijnie Hans Hubert. - Dzisiaj gaszę świece po mszy.

Kret uśmiechnął się wesoło.

- Jesteś już dostatecznie stary, żeby pójść na zasłużoną emeryturę.

Hubert zacisnął usta. Wcale mu się nie uśmiechała emerytura. Całe życie przepracował na lotnisku. Zna tu każdy kąt, każdą śrubkę. Tam, na MUC2 wszystko jest nowe, niezwykle: urządzenia nawigacyjne sterowane komputerem, pozwalające na bezpieczne loty nawet podczas mgły, która jak gęsta śmietana spada nieraz w środku dnia, sześć terminali połączonych ponadkilometrowym ruchomym chodnikiem. Zabezpieczenia antyterrorystyczne, o których wie tylko brygada specjalna, pięciopiętrowe garaże na dziesięć tysięcy aut. I pięćdziesiąt tysięcy pasażerów dziennie. W głowie się nie mieści!

- Tak mówisz, jak gdyby dla ciebie rozstanie z czymś, co lubisz, było przyjemne... Nie twierdzę, że przyjemne. Raczej normalne - Kret mruży oczy. - Trzeba się zająć czymś innym. Dobrze wiesz, że długo nie umiałem zagrzać miejsca. Tobie też radzę.

- Radzić możesz. Ale ja... ja po prostu nie wiem, jak się do tego zabrać. Od śmierci Margaret tylko praca trzyma mnie przy życiu. Nie wiem... naprawdę nie wiem.

Kret przygląda się uważnie staremu przyjacielowi. Zna go od dziecka. Ich matki przyjaźniły się. Hans należy do ludzi, którzy nie zawiodą. Dlatego tu jest. - Może mógłbym ci pomóc. Potrzebuję swojego człowieka. Zaufanego.

Hubert wsłuchuje się w regularny szum silników. Jego ucho rozpozna każde zakrztuszenie się, każdy niepokojący dźwięk.

- Nie wiem, stary, czy opłaci mi się jakaś dodatkowa robota. Podatek zje cały dochód.

Kret uśmiecha się wesoło. Jego piękne białe zęby lśnią.

- Nie uważaj mnie za głupca, Hans. Jeśli ci coś proponuję, to żadne podatki nie wchodzą w grę.

Hubert zwraca ku niemu pooraną twarz. Ma ciemne, trochę podpuchnięte powieki i włosy mocno przyprószone siwizną. Bardzo się postarzał po śmierci żony. Wszyscy to zauważyli.

- Coś nielegalnego? - w jego głosie brzmi żal.

- W pewnym stopniu. Istnieje pewna międzynarodowa organizacja. Zajmują się wydawaniem różnych broszur i ich sprawną dystrybucją. Chcą wejść na nowe rynki. Wiesz, Polska, Węgry, Czechy. Potem dalej, na Wschód.

- Co to za makulatura? - Hans Hubert nie jest głupcem. Nie można go zbyć byle jakim uogólnieniem.

- Faszystowska międzynarodówka, Hans. Zarzucają Europę swoimi teoriami o wyższości Hitlera nad Kohlem.

Hubert przygląda się uważnie młodszemu przyjacielowi. Po chwili mówi ruszając w kierunku sortowni:

- Chodź, opowiesz mi po drodze, co też takiego miałbym robić...

\*\*\*

Kameleon powoli wystukuje numer na czworokątnej tarczy. Kierunkowy do Szwajcarii, potem bezpośredni. Odzywa się melodyjny kobiecy głos:

- Genewski Bank Centralny, czym mogę służyć?

- Chciałbym sprawdzić, czy wpłynęły pieniądze. Do działu depozytów.

- Łączę.

- Mówi numer ewidencyjny BC 9264 Kl. Czy wpłynęły dla mnie pieniądze z Bonn?

Urzędniczka sprawdza na monitorze komputera. Trwa to około pół minuty.

- Tak, wczoraj. Czy podać sumę?

- Dziękuję. Znam ją.

Mężczyzna uśmiecha się. A więc w porządku, panowie z hotelu „Hilton”. Gra się zaczęła.

Z restauracji pojechał do swojego monachijskiego mieszkania. Czuć w nim było zapach kurzu. Z wazonu unosiła się nieprzyjemna woń zgnilizny. Wyrzucając kwiaty zapomniał wylać wodę, która całkiem zatęchła. Otworzył drzwi balkonowe na całą szerokość, wylał wodę do sedesu, uruchomił spłuczkę i wyszedł nie zamykając drzwi. To takie jego dziwaczne przyzwyczajenie: wszystkie drzwi poza wyjściowymi muszą być otwarte. Jakby za którymiś z nich czaił się wróg. A może się czaił? Kameleon zajrzał do kuchni. Na stole poniewierały się nie uprzątnięte okruchy. Starł je ścierką, którą wyrzucił do kubła. Była cała w ciemnych plamach. Nie oddawał takich rzeczy do pralni. Po prostu je wyrzucał. Także chustki do nosa i skarpetki. Nie potrafił zorganizować sobie życia. Co wcale nie znaczy, że był flejtuchem.

Zdjął buty, spodnie i koszulę. Na szczęście bielizna pościelowa była czysta. Położył się wciskając pod kark dodatkowy jasiek. Należało teraz obmyślić precyzyjny plan. Przerzucanie całych ton zadrukowanego papieru wymaga doskonałej, ba, perfekcyjnej organizacji. I zaufanych ludzi. Magazyny w pobliżu lotnisk i przejść granicznych. Żadne puste hale, będące często miejscem inwigilowanym przez służby jawne jak i tajne. Szczególnie na terenach byłej NRD. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że informatorzy dawnej Stasi przeczekują złe czasy w ukryciu. Wyjdą na powierzchnię, jak się ktoś o nich upomni. Lub ponownie zaoferuje parę marek za cenne informacje. Ci ludzie są

fachowcami, a tacy zawsze znajdą płacących mocodawców. Po tej lub innej stronie granicy. To tylko kwestia czasu. I zer na banknotach. Powiniennem trochę popodróżować - myśli leniwie. - Paryż na początek. Potem się zobaczy. Trasa przerzutu z Hiszpanii do Francji nie przedstawia trudności. Gorzej z kanałem Paryż - Berlin i Berlin - Warszawa. Na Warszawie mocodawcom zależy szczególnie. To ważny punkt do rozwiązania. Zapada w łagodny sen.

\*\*\*

W piwiarni „Pod Starym Słoniem” ruch się wzmacnia. Brzęczą kufle, mocno pachną grzanki z serem. Fritz Lindmacher nie zdejmuje dziś piekących butów. Czekają na Lilianę. I jeszcze jednego gościa. Zaufanego.

Lilka wsuwa się wąską szczeliną drzwi, jakby chciała pozostać niezauważona nawet przez zabłąkaną muchę latającą pod sufitem. Ale Karl już pędzi machając czystą ścierką.

- Frau Żako... wsky! Proszę tutaj, tędy...

- Ciszej, Karl - usiłuje protestować - nie rób tyle hałasu!

Karl nic nie rozumie. Przyszła przecież żona bossa. Dla niego Frau Lili zawsze będzie żoną bossa!

Fritz wysuwa się zza kontuaru. Na oczach wszystkich piwoszy całuje przybyłą kordialnie w oba policzki. Chciałby w usta, ale nie śmie.

- Guten Tag, Lili! Wejdz na zaplecze... - drepce wokół niej na swoich dużych, obolałych stopach. - Tędy, nie uderz się, bo...

Liliana wchodzi po trzeszczących stopniach. Wolałaby zostać na dole, ale człowiek, który obiecał wpaść, wyraźnie zaznaczył, że nie chce być przez nikogo obserwowany.

Achim Schroder bez trudu wplątał się w uliczki starej części miasta. Trochę kluczył, przystawał przed dużymi taflami wystaw. Jego bystre oczy obserwowały wszystko, co działo się przed nim i za nim. Żadnego „ogona”. Wszedł do



piwiarni „Pod Starym Słoniem” uważnie składając parasol. Chlapało już od wczoraj wieczorem. Miasto zasnuła mgiełka deszczu. Samochody poruszały się wolniej, rozpryskując miliony wodnych drobin.

Wnętrze wydało mu się jasne i czyste. Lubił takie stare knajpy, pamiętające wystrojem „dawne, dobre lata trzydzieste”. Podobały mu się charakterystyczne obrusy w czerwoną kratkę i długi bar obity blachą cynkową - zupełnie jak w amerykańskich filmach z okresu prohibicji. Wsadził mokry parasol do specjalnego pojemnika. Też miał chyba z siedemdziesiąt lat. Nikt już dzisiaj takich nie wytwarza.

Karl sunął w stronę gościa strzepując po drodze niewidzialne pyłki z obrusów.

- Szanowny pan sam?

- Jestem umówiony z szefem.

- Schodami w górę... tak? Co podać, panie Strauch? Kiełbaski z rusztu? Już się robi!

Achim wciągnął w nozdrza leciutki zapach kurzu, pasty do podłogi i środka przeciwmolowego. - Tak pachną stare domy w starych dzielnicach na całym świecie. Tak pachniała niegdyś bieda, w której się wychował. I którą porzucił raz na zawsze, miejmy nadzieję. Ale ten zapach był ostrzeżeniem.

- Jestem Achim Schroder. Panią Żaków...sky znam - pochylił się szarmancko nad dłonią kobiety. Wyczuł leciutki zapach perfum, które lubił od dzieciństwa. Soir de Paris w małych, szafirowych butelkach. Dziś całkowicie zapomniane.

- Mój serdeczny przyjaciel - przedstawiła Liliana. - Fritz Lindmacher. To właśnie on... ma problem, o którym wspominałam...

Fritz uważnie przygląda się przybyłemu. Ma dobrą, wysportowaną sylwetkę jasne oczy i dwie bruzdy ciągnące się wzdłuż nosa. Jego wzrok przyciągają ręce gościa: długie

nerwowe palce o płaskich, różowych paznokciach. Dłonie, które nie znają fizycznej pracy. Nigdy nie znały.

- Witam pana - Fritz stawia na okrągłym stole karafkę z domową nalewką. - Cassis zrobiony według receptury mojej babki.

Achim od niechcienia obserwuje wnętrze. Mieszkanie też z czasów babki! - myśli. - Koronkowe serwetki na stole, podgłówki na fotelach z ciemnozielonego aksamitu, wytartego na rogach. Jak się uchowało takie mieszkanie? I co ma z tym wnętrzem wspólnego kobieta w świetnym swetrze i zniszczonych nieco, ale wciąż bardzo ładnych pantoflach na szczupłych nogach.

- Czy zamiast alkoholu mógłbym dostać kawę?

- Mocną i słodką? - pyta Fritz wychylając się na schody.

- Mocną i gorzką, jeśli łaska.

Kobieta zupełnie otwarcie przygląda się gościowi. Oparta o podgłówek, zarzucony koronkami robionymi przez nieboszczkę Grete, wodzi oczyma za kształtną głowę, nieskazitelnie szarą koszulą i niezłym garniturem. Podoba jej się ten mężczyzna. Ma w sobie coś niepokojącego.

- Nie chciałabym, aby Fritz wplątał się w jakieś niedobre sprawy - mówi przyciszonym głosem. - Bardzo mi zależy, żeby pan mu doradził, co ma robić. Albert powiedział, że mogę panu zaufać.

- Kim dla pani jest Fritz? - Achim zadał to pytanie celowo.

Domyślał się odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć.

Liliana uśmiecha się wesoło.

- Kimś bardzo bliskim. Spałam z nim, jeśli to pana interesuje. Ale wolę być jego serdeczną przyjaciółką. Bardzo mi pomógł w najtrudniejszych czasach. To tylko dzięki niemu zaaklimatyzowałam się w Monachium. On opłacił mój kurs niemieckiego. Zawsze będę o tym pamiętać. I lubię go.

- To wiele wyjaśnia - mruknął przymykając oczy. - Pani nie pasuje do tego wnętrza. Ani do kufli piwa tam na dole.

- Ja, proszę pana, w ogóle nie pasuję do Niemców. Jestem Polką. Ale skoro tu żyję, skoro mnie zaakceptowali taką, jaką jestem, skoro jem niemiecki chleb, będę lojalna. Tylko nie pozwolę, żeby jacyś pogrobowcy Hitlera zatruli Fritzowi życie.

Gospodarz wrócił na piętro niosąc tacę z trzema filiżankami, małym ekspresem i starą srebrną cukiernicą.

- Lili, z mlekiem? Ze śmietanką?

- Dziękuję, Fritz. Ze śmietanką.

- A pan? - Oczy Fritza są smutne. Już wie, że ten mężczyzna podoba się kobiecie. Dostrzegł to, zanim ustawił tacę na serwecie z jedną plamką w prawym rogu.

- Proszę czarną - rzut oka na zegarek nie był tak dyskretny, by Liliana go nie zauważyła.

- Fritz. Pan Schroder ma mało czasu. Opowiadaj.

- Przyjechali z Bonn. Jeden Niemiec, drugi Francuz. Powołali się na moją siostrzenicę Helgę pracującą w kancelarii „Grossner und Sohn”. Zajmują się przerzucaniem jakiejś zakazanej hitlerowskiej makulatury do krajów Europy Wschodniej. Są członkami partii nazistowskiej...

- Wspominali o tym? - Trochę później...

- Fritz! Pan zna problem twojej rodziny. Musiałam o tym powiedzieć. Ma w tej sprawie ogromne znaczenie... - Lilka rozkłada ręce.

Lindmacher odchyła głowę. Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Dlaczego mam świecić oczyma za grzechy ojca? Za jego flirt z nazizmem i bezsensowną śmierć w Argentynie?

- Proszę, niech pan mówi śmiało. To tylko hitlerowcy stosowali zbiorową odpowiedzialność. Pan nie jest winien poglądom ojca. - Jasne oczy patrzą ze zrozumieniem.

- No więc... mam dom we Frankfurcie nad Odrą. Tuż przy granicy. Chcą go wynająć na magazyn, skąd broszury będą przerzucane do Polski i dalej. Nie wiem, co robić? Trochę się boję.

- Czy grozili panu?

Fritz kręci głową. Jego dłoń unosząca filiżankę do ust lekko drży.

- Nie. Są zaprzyjaźnieni z Helgą. Ale uprzedzili, że jak nie będę z nimi współpracował, doniosą do władz... no, powiedzą, kim naprawdę był mój ojciec. Co mam zrobić? Dać znać na policję?

- Nie. Wynająć im ten dom.

Liliana sztywnieje. Czuje mrowienie w karku. A jeśli ten mężczyzna nie jest tym, którego spodziewałam się spotkać? - myśli ogłuszona. - Jeśli Albert się pomylił?

- Pan nie mówi poważnie! - Fritz odwraca się do Liliany. Wygląda jak zając na niespodziewany widok myśliwego.

- Mówię najzupełniej poważnie. I proszę mi wierzyć, dostrzegam niebezpieczeństwo. Ci ludzie i tak nie zrezygnują. Mają poparcie pańskiej siostry i siostrzenicy. Jeśli pan odmówi tłumacząc się strachem lub, co gorsze, brakiem poparcia dla tego, co chcą robić, nigdy już nie będzie pan bezpieczny. To są szaleńcy. Ich idea zmartwychwstała z grobu. Maszeruje przez Europę w hitlerowskim Parademarsch. Czy ten dom jest ubezpieczony?

Fritz mruga rzęsami. Wygląda jak nieszczęśliwy słoń z reklamy własnej firmy.

- No... nie... dopiero niedawno odziedziczyliśmy tę rudere. Schroder nachyla się poprzez stół. Jego oczy przypominają kawałki lodu.

- Proszę natychmiast ubezpieczyć posiadłość najwyżej, jak się tylko da. Czy pan mnie rozumie: najwyżej.

- To straszny koszt... dom jest bardzo duży...

- Ale pan to zrobi. Bez względu na koszty. Proszę mi zaufać. I nikt oprócz nas nie może o tym wiedzieć. Czy się wyrażam jasno?

Liliana przygryza wargi. Kim jest, do diabła, ten człowiek? Coś mi się tu nie zgadza. Ale co? Agent jakiegoś wywiadu? Członek organizacji działającej na rzecz ruchu antyfaszystowskiego, jak twierdzi Albert? A może jednak wręcz przeciwnie?

Schroder uśmiecha się do niej. Doskonale wie, co myśli. Czyta z jej twarzy jak z otwartej księgi.

- Zakładam, że państwo mnie posłuchacie. Już nie ma odwrotu... Fritz kiwa głową. On też wie, że nie ma odwrotu.

\*\*\*

- Zjesz kanapkę, ciociu? - Julia stoi w otwartych drzwiach. Pokój starej kobiety pełen jest wytartych pluszowych mebli, szerniałych obrazów w ramach popstrzonych przez muchy, fotografii za szkłem i bibelotów bez wartości.

- Co? - książka wysuwa się ze zreumatyzowanych palców. Na jednym z nich lśni złoty pierścień z brylantem. Jedyne klejnot, jaki zachował się z dawnych dobrych, powojennych czasów. - Co mówiłaś?

Julia zbliża się do fotela. Tak bardzo chciałaby wiedzieć, co dalej począć. Czuje się w tym mieście zagubiona, nieszczęśliwa. Już wie, że Krzysztof nie przyjedzie, będzie tylko telefonował. Nawet codziennie, ciekaw szczegółów o zdrowiu jej i staruszki. Ale decyzję musi podjąć sama. Julia wzdycha.

- Ciociu, dziś wychodzę na policję. Z panią Stępień. Słyszysz mnie?

- Tak. To dobrze. Zasłoń okno, bo za dużo słońca...

- Dobrze, ciociu. Zjesz jajko?

- Nie, poproszę grzanki z serem i kawę.

Julia wychodzi ze spuszczoną głową. Na jak długo jeszcze wystarczy pieniędzy?

Telefon brzęczy długimi sygnałami. Głos Krzysztofa brzmi nieco chrapliwie.

- No, co tam u was?

Zbuntowana nagle Julia ma ochotę użyć mocnego słowa. Raz odpowiedzieć: gówno! Ale powstrzymuje się. Krzyś i tak by nie zrozumiał jej nastrojów. A że zawsze używa tego swojego protekcjonalnego tonu... trudno. Nie warto walczyć, gdy się nie dysponuje bronią.

- Wybieram się dzisiaj na komisariat z panią Stępień. Sąsiadką...

- Co masz taki dziwny głos?

Julia ma ochotę się rozplakać. Miała kiedyś przyjaciółkę, która nieodmiennie witała ją pytaniem: co masz na nosie? A bywała to mikroskopijna krosteczka, prawie niewidoczna.

- Jaki, Krzysiu?

- Taki dziwny. No, co tam u was?

- Posłuchaj... nic nowego nie zaszło. Kończą się pieniądze.

- To zabierz ciotkę i przyjeżdżajcie. Albo pożycz, a ja wyślę z Warszawy. Nie ma problemu! Żadnego! Pożycz, a on wyśle. Powinna odpowiedzieć: rrozkaz!

- Jak się czujesz? Jak Happy? Kot?

- Jestem taki zaorany... kot drapie fotel, więc przywiozłem mu pieniek... No tak. Na to nigdy nie zabraknie mu czasu. Jeśli trzeba, to pojedzie po pieniek dla kota nawet pięćset kilometrów. Julia czuje, jak jej żołądek podjeżdża pod gardło.

W uszach szumi. Jeśli natychmiast nie usiądzie, gotowa zemdlec tu, ze słuchawką w ręku.

- To do widzenia. Muszę już iść... ciotka woła. Pa, Krzysiu...

- Cześć. Zadzwońię.

Julia pada na fotel. Grube krople potu spływają spod włosów wzdłuż nosa, skapują na kwiecisty szlafrok. Nie chce jej się nawet podnieść ręki. Nie mówiąc o chusteczce tkwiącej w kieszeni. Ale żeby ją wyjąć, należy zużyć straszliwą ilość energii. A tej nie ma nawet za grosz. I trzeba wstać. Ubrać się i zatelefonować. Pani Halina czeka. Ale przedtem grzanki...

\*\*\*

Komisariat jedenastej dzielnicy pełen bywa złodziejasków z ulic od Place de la Nation do Republique. Tu bowiem odskakują po udanych napadach na turystów zwiedzających tłumnie cmentarz Pere Lachaise należący już do dwudziestki. Tu bywają doprowadzani mali ulicznicy ze stacji metra Oberkampf, St - Ambroise, Voltaire czy Charonne. Tu wrzeszczą na pijanych mężów sterane życiem kobiety, odsiadują na wytartych ławkach nożownicy i kloszardzi. Tylko czasem zapłacze się zagubiony cudzoziemiec. Biały cudzoziemiec. Jedenastej dzielnicy się nie zwiedza. Ją się omija.

Wchodzi zażywny inspektor o spoconej twarzy.

- Komisarz Valmarais.

Szkoda, że nie Maigret. Lub Valantin. Dawniej czytywała kryminały. Dziś już nie.

- Julia Sulikowska.

- Będę od razu tłumaczyła - włącza się Halina. - Dobrze? Komisarz otwiera drzwi do pustego pokoju. Szare ściany, szare meble, w kącie pancerna kasa. W oknach kraty. Na biurku ani papierka. Tylko doniczka z krzywo rosnącym aloesem.

Halina szybko mówi po francusku. Zna sprawę na pamięć. Widywała Karata. Raz jej nawet zaproponował kieliszek w kafejce u Jacqueline, w sąsiedniej przecznicy, blisko domu.

Komisarz kiwa głową. Potem zaczyna mówić. Słowa wylatują jak pociski z szybkostrzelnego karabinu. Julia patrzy na jego pełne usta pod czarnym wąsikiem. I lekko wyłupiaste oczy. Mężczyzna gestykuluje, podnieca się, kręci głową i szyją, jakby przeszkadzał mu mundurowy kołnierzyk.

Halina słucha uważnie. Wydaje się być zatroskana.

- Czy wiedziała pani, że Michał Karat był walczącym antyfaszystą? Julia przecząco kręci głową.

- Oni go zabili? Ci faszyci? - pyta tylko dlatego, by nie być posądzoną o niewdzięczność.

Komisarz macha dłonią. Znow zaczyna wylewać rzekę słów. Jego wargi co sekundę odsłaniają, to znow zakrywają duże białe zęby.

"Dlaczego masz takie duże zęby, babciu? - przypomina się Julii bajka. - żeby ciebie zjeść!"

- Śledztwo skłania się do stwierdzenia, że to jest zemsta prawicy. Pan Michał zajmował się imigrantami. Z ramienia pewnej organizacji antyrasistowskiej, której był członkiem. I którą wspierał finansowo. Tuż przed jego śmiercią odbyła się w tym okręgu wielka manifestacja zwołana przez siedemdziesiąt partii. Pan komisarz był osobiście odpowiedzialny za porządek. W pochodzie od Bastylli do placu Nation uczestniczyło, jak twierdzi policja, około pięćdziesięciu tysięcy osób.

- Ale co to ma wspólnego z Karatem? - Julia jest zmęczona. I nic nie rozumie.

- Okazał się jednym z organizatorów. Główną ideą tej demonstracji było przeciwstawienie się Le Penowi, jego Frontowi Narodowemu i rasizmowi, który głosi.

- Kto to jest Le Pen? Nic mi to nie mówi... o Boże...

Halina milknie. Zdziwiona przygląda się Julii siedzącej na krześle, z półotwartymi ustami. Chusteczką w kwiatki ociera czoło.



- Czy... pani dobrze się czuje?

- Trochę mi duszno...

Komisarz otwiera drzwi pokoju i huczy w czeluść korytarza:

- Un cafe et une minerale! Vite!

- Może mi pani wytłumaczy - prosi cicho Julia. Chce już mieć za sobą tę wizytę, ale też umieć wytłumaczyć coś z tego mężowi.

Halina nachyla się.

- Widzi pani, Le Pen jest tu przywódcą najbardziej skrajnej prawicy. Faszyzujący. Łowi swój elektorat na populistyczne hasła w rodzaju „Francja tylko dla Francuzów”. Tutaj cudzoziemcy nie mają prawa głosowania, mogą być w każdej chwili deportowani, przetrzymywani w tak zwanych strefach tranzytowych przy lotniskach. Są to normalne obozy, ale dzięki eksterytorialnemu statusowi, policja nie musi się w nich stosować do francuskiego prawa. Rozumie pani?

Julia kiwa głową i wypija duszkiem szklanekę wody mineralnej podanej przez młodziutkiego policjanta.

Komisarz znów coś mówi gestykułując.

- Podobno Michał Karat szedł na czele pochodu trzymając plakat, na którym Le Pen był przedstawiony jako Hitler z wyciągniętą ręką. Na górze był niemiecki napis: „Nie wieder Faschismus”. Na dole: „Stop Front National”. To się nie mogło podobać zwolennikom Le Pena. Pan komisarz uważa, że sprawcy ohydneho morderstwa kryją się wśród faszyzujących Francuzów. Lub że to oni kogoś wynajęli.

Śledztwo jest zamknięte. Nie wykryto sprawcy. Co kilka dni wyławia się z Sekwany jakieś zwłoki. Przeważnie czarne. Porachunki pomiędzy gangami. Przykro, że tym razem był to Polak taki dla Francji zasłużony...

Wychodzą na zalaną słońcem ulicę. Rozłożyste platany rzucają zbawczy cień.

- Chcę do domu - mruczy Julia półgłosem. - Do Warszawy.

\*\*\*

Pokój tonie w półmroku. Za oknami o spuszczonech żaluzjach lśni w słońcu Sekwana. Od Boulevard de Sebastopol wiatr przynosi zapach smażonego oleju. I nadpsutych owocowych skórek. Przez Pont au Change płynie ludzki potok.

Jean Paul Gottier naciska guzik intercomu.

- Viviane, proszę o materiały z Niemiec. Czy Latour telefonował?

- Nie, proszę pana. Zostawił wczoraj wiadomość. Jest w szarej kopercie po lewej stronie biurka. Razem z raportem Corniche'a.

Właśnie o ten raport chodzi. Jean Paul wolałby, aby Troy zdał mu osobiście sprawę. Widać okazało się to jednak niemożliwe. Troy jest jedynym człowiekiem, do którego ma absolutne zaufanie. Jeśli w tym zawodzie pojęcie „zufanie” w ogóle jest możliwe.

Szara koperta dodatkowo kryje odręczną notatkę: Jest kontakt z Kretem. Musimy porozmawiać. Szykuje się coś większego. Troy.

- Tyle, to i ja wiem - mruczy Jean Paul masując czubek nosa.

Na biurku pulsuje czerwony sygnał. Rozmowa z miastem. Jean Paul podnosi słuchawkę.

- Tak?

- Troy. Nie czytaj materiałów niemieckich. Są już nieaktualne.

- Skąd dzwonicz?

- Głupie pytanie. Z kafejki. Podnieś tyłek ze stołka i przyjdź tu. Mam parę nowinek.

- Wiesz, że czekam na ciebie tutaj. Troy milczy, jakby się jeszcze zastanawiał.

- Nie. Tam nie. „Chez Marcel”.

Jean Paul odkłada słuchawkę. Wie, że nie warto się upierać. Jeśli Troy chce rozmawiać w kafejce, widocznie tak trzeba. Podnosi się, narzuca szarą marynarkę i zaciąga węzeł krawata. Zielony guzik intercomu błyska światłem.

- Viviane, wychodzę.

- Tak, panie Gottier. A gdyby ktoś pytał?

- Będę jutro.

- Dobrze, panie Gottier.

Wychodzi na zalaną słońcem ulicę. Nie bierze wozu z parkingu. Chętnie się przejdzie piechotą przez Boulevard du Palais, Pont Saint Michel nad brudnoburą Sekwaną, stąd już tylko parę kroków przez Quai de Montebello do rogu rue la grange. Tam pod pomarańczową markizą stoją metalowe stoliki i plastikowe krzeselka cafe „Chez Marcel”. Tu się czasem spotykają z Troyem. Zawsze w środku, zawsze przy tym samym białym stoliku w rogu, obok dużej uchylonej szyby, odbijającej to, co dzieje się na ulicy. I to, co dzieje się w środku.

Troy siedzi nad płachtą „Die Welt”. Wygląda na niemieckiego turystę, w kłapciatym płóciennym kapelusiku nabijanym metalowymi znaczkami. Długie nogi w wystrzępionych dżinsach zagradzają drogę każdemu, kto chciałby tamtędy przejść. Przed nim na stoliku cafe creme i ulubione diablo z grenadiną.

Jean Paul przekracza barierę z wyciągniętych nóg przyjaciela. Siada na krzeselku puknąwszy od spodu w gazetę.

- Badasz kurs marki?

Troy ukazuje w uśmiechu zęby.

- Jakbyś zgadł. Trzeba znać stopę inflacji w Republice Federalnej. To ma niebagatelny wpływ na naszą politykę.

Widzisz, wskaźniki popularności prezydenta Mitterranda znów spadły o dwa punkty w stosunku do czerwca.

- Co się nie podoba Niemcom?

- To, że Francja zapowiedziała w piątek podjęcie stosownych kroków dla obrony swoich obywateli mieszkających w Togo.

- Znów tam dokonano zamachu stanu? - Jean Paul strzela palcami w kierunku kelnera. - Cafe creme i kieliszek beaujaulais.

- Jasne. Radio niemieckie podało, że w stolicy Beninu zgromadzono trzystu francuskich żołnierzy. Mają zostać wysłani do stolicy Togo, Lome, gdzie przebywa około trzech tysięcy naszych rodaków.

- I to się nie podoba Niemcom?

- Oczywiście. Bo też tam mają dwa tysiące swoich obywateli i ani jednego własnego żołnierza do ich obrony. Nie zapominaj, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wysłaliśmy nasze wojska do Czadu, Burundi i Zairu. Wszędzie chodziło rzekomo o ochronę mieszkających tam obywateli „La douce France”.

Jean Paul upija łyk wina. Ma ciemny, lekko opalizujący kolor i przewyborny smak.

- A la votre! Po co wyciągnąłeś mnie z biura?

- Bo nie ma sensu siedzieć w czterech ścianach, kiedy można tutaj. Widzisz te dwie dziewczyny w pomarańczowych koszulkach? Jezu, jakie cyce!

- Troy - Jean Paul rzuca ukradkowe spojrzenie we wskazanym kierunku. Nie byłby mężczyzną z krwi i kości, gdyby tego nie zrobił. Piersi brunetki w okularach są rzeczywiście imponujące. Przypominają biust Monique. Ostatniej flamy, poderwanej w Nicei. - Wróć do sprawy, bo wiem, że taką masz.

- Cholera! - denerwuje się Troy. - Spójrz na starego Marcela, jak oblizuje grube wargi! On zna się na rzeczy. Wiesz, co mówią o takich Amerykanie? Że zna więcej dup niż przeciętny sedes!

Jean Paul wzrusza ramionami. Nigdy jeszcze z Troyem nie wygrał. Facet po prostu musi się czasem wygadać.

- Przecież Marcel jest okropnie brzydki...

- Ale, jak twierdzi, pochodzi od Plantagenetów!

- Nie można mieć o to do nich pretensji! - Jean Paul uśmiecha się półgębkiem. - Tyle czasu minęło...

Troy wybucha głośnym śmiechem. Jego kłapciaty kapelusik odsłania ucho i duży, ciemnośliwkowy obrządek.

- Co to? Wpadłeś na drzwi?

- Tak. Na uzbrojone w pistolet.

Gottier poważnieje. Ale nie pyta. Są sprawy o których się nie dyskutuje. Zresztą... w ich fachu...

- Ruszysz z miejsca czy nie?

Troy z bulgotaniem wyciąga słomką napój.

- Kret chce się z nami widzieć.

- W Niemczech?

- Nie. Tutaj. Musi być coś cholernie ważnego, skoro zdecydował się zatelefonować do mnie otwartym tekstem.

- Kiedy? - Jean Paul zagląda do pustej już filiżanki. Jej brzeg otacza wianuszek zeschniętej pianki.

- Kiedy telefonował, czy kiedy chce się spotkać?

- Jedno i drugie.

- Wczoraj - Troy odstawia pustą szklanę. - Spotkać się chce jutro. Na neutralnym gruncie.

- Co to ma znaczyć, do diabła? Ciuciubabka? Indiańskie podchody czy odpowiedzialna robota!

Troy odprowadza zachwyconym wzrokiem pomarańczowe kule. Są rzeczywiście wspaniałe. Sterczą na

pół metra. Chyba mogłaby postawić na nich tacę ze śniadaniem. Nie spadnie!

- Nie przyszło ci do głowy, że może ktoś go namierzył? Włazł w bagno po uszy.

- Co mu zaproponowałeś? Troy uśmiecha się figlarnie.

- Małe przyjęcie. Na rue Balzac. Co ty na to?

- U Nicole? - Jean Paul przez chwilę rozważa taki wariant. - Nie wolno jej narażać. Wiem, że to dobry punkt, mnóstwo turystów, doskonale można się rozejść na wszystkie strony świata, wtopić w najludniejsze arterie miasta. Ale nie wolno. Wykorzystajmy mieszkanie przy du Renard.

- Okay. Masz rację. Nicole i tak nic jeszcze o moim pomysśle nie wie.

- To dobrze. Czy... ona się spotyka z tą Polką?

- COŚ czuję, że będziesz potrzebował słownika polsko - francuskiego, n'est ce pas?

- Coś jest w tej kobiecie... - mruczy Jean Paul. - Nie wiem co.

- Ale banał! Stary, wybierzmy się któregoś wieczora razem do „La Tour”.

Wypijemy, posłuchamy muzyki.

Gottier kiwa głową. Dawno już nie wychodził nigdzie wieczorem. Od czasu, gdy się rozstał z Monique. Jego tryb życia nie pozwalał na stały związek. Kiedy kobiety się zbyt przyzwyczajały, zrywał. Dla ich dobra - jak mawiał. Czy rzeczywiście było to dla nich najlepsze? Kto wie? W każdym razie oszczędzał im stresów. To na pewno!

\*\*\*

Karolina wychodzi z metra na Victor Hugo. Całe przedpołudnie spędziła zbożnie na zwiedzaniu największych domów towarowych. Od „Printemps” po „La Fayette”. Oczywiście, tylko piętra z konfekcją pret - a - porter. Nie dlatego, że nie dowierza haute couture i Piranii, lecz po to, by

wiedzieć, w czym chodzi się naprawdę. Co nosi paryska ulica i co się sprzedaje cudzoziemcom. Bo przecież nie te wszystkie modele, które sama pokaże w czasie wielkiego show u „Ritza”. Złaziła w kółko osiem pięter mając pod powiekami morze sukien, tony spódnic i żakietów, ławice bluzek. Jest na ostatnich nogach i ma tylko jedno zadanie: kupić dwadzieścia dekagramów szynki prowansalskiej, pół bagietki i torbę wielkich, czarnych winogron marokańskich. Hotel, prysznic i łóżko. Nawet nie wie, czy uda jej się przeczytać, ba, przejrzeć nowy numer „Le Monde'a”.

Kupowanie w małym sklepiku na rue Copernic jest zmysłową przyjemnością. Od wieków wszystkie towary stoją zawsze na tym samym miejscu. Nawet niektóre firmy są od lat te same. Bezbłędnie sięga na półkę, gdzie stoją miękkie sery boursin z pieprzem lub czosnkiem. Wie, gdzie odłuszczone mleko w kartonie, a gdzie wspaniałe jogurt z całymi owocami czereśni. Tylko szynkę kupi u rzeźnika o parę kroków dalej. Takich płatów świeżych, ciemnoróżowych, zapakowanych każdy z osobna w woskowy papier i tak pachnących, nie ma w całym Paryżu. Rzeźnik musi być człowiekiem z fantazją, bo wewnątrz, na ścianach, oprócz wianków czosnku, papryki tureckiej i słodkiej fioletowej cebuli wiszą karnawałowe maski z Wenecji. Monsieur Piccard, którego konterfekt z prezydentem Mitterrandem wisi nad kasą, jest również znawcą sztuki. Wchodzącą Karolinę wita wychylony znad lady:

- Co dzisiaj, madame? Szynka westfalska czy prowansalska? Mam też cudowne małe kiełbaski nadziewane mięsem kuropatwy i zmielonym kminkiem. Duża porcja nie wyniesie drożej niż piętnaście franków!

Karolina opiera się o ladę. Jest zmęczona, głodna i szczęśliwa.

- J'ai faim et je suis heureuse - oznajmia. - Poproszę prowansalską i te kiełbaski. Tylko dobrze zapakowane, do

błyskawicznego pożarcia w hotelu. Nie chcę jednak, żeby madame Trouville wyczuła ich zapach już od wejścia.

Monsieur Piccard zwija się. Błyskawicznie waży i pakuje. Milcząca dziewczyna przy kasie odlicza skrupulatnie resztę.

- Czy była już pani u Toulouse - Lautreca?

Karolina przecząco kręci głową. Tylko Francuz zapyta w ten sposób: czy była już pani u... zamiast, czy była już pani na wystawie prac i tak dalej.

- Jeszcze nie. Dopiero niedawno przyjechałam... tyle mam spotkań, pracy... Rzeźnik patrzy na nią ze szczerym, nie fałszowanym zdziwieniem.

- To niemożliwe! Wystawa w Grand Palais jest największym kulturalnym wydarzeniem Francji. Trzeba się zapisywać telefonicznie na określoną godzinę. Pani to musi zobaczyć, madame!

Karolina kornie schyla głowę.

- Na pewno zobaczę. Już mam obiecany bilet - kłamie, jednocześnie kodując w mózgu: niech mi to ktoś załatwi. Christa albo Nicole. Nie wyjadę z Paryża nie zobaczywszy obrazów i afiszów „Wielkiego Karta z Montmartre'u”. Są wypożyczone z prywatnych galerii i od marszandów z całego świata. Być może już nigdy więcej nie uda się ich razem zgromadzić. - Bardzo dziękuję, że mi pan o tym przypomniał. Do widzenia. Już się nie mogę doczekać, żeby zjeść kiełbasę.

Tylko to może rozchmurzyć rzeźnika i znawcę malarstwa Lautreca. W pokoju hotelowym panuje miły chłód. Okiennice chronią przed słońcem i kurzem. Od ogrodu idzie zapach świeżo podlanych grządek.

- Ale i tak Paryż pachnie psim gównem! - upiera się Karolina zrzucając bieliznę. Weźmie prysznic, zje chrupiącą bagietkę i może zaśnie na pół godziny.



Spod prysznic wyrywa ją natarczywy brzęk telefonu. Owinięta ciemnoróżowym frotte, boso, plamiąc drewnopodobną wykładzinę podbiega do tapczanu.

- Halo!

- Charlotte? To pani?

- Uhum - Karolina zupełnie nie poznaje ciemnego barytonu.

- Mówi Jean Paul Gottier. Poznaliśmy się u Nicole! Nic pani nie pamięta, kobieto? - Karolina parska śmiechem. Głos jest tak zabawnie zdumiony.

- Ależ pamiętam. Niepodobna zapomnieć takiej męskiej urody! Teraz śmieje się Jean Paul.

- Uwielbiam panią za poczucie humoru. Może zjadłaby pani ze mną kolację?

- O niczym innym nie marzę - Karolina wyciera skapujące krople - ale nie dziś, jestem skonana. Marzę tylko o łóżku. Może jutro?

Jean Paul jest zmartwiony. Nigdy nie może się umawiać na dzień następny, bo nie wie, co go czeka. Nagły wyjazd do Marsylii lub nocny lot do Pernambuco. Obie możliwości są równie prawdopodobne. Może się też zdarzyć wielogodzinna narada w gabinecie szefa, w ciemnej od dymu sali konferencyjnej, po której będzie w stanie co najwyżej oblecieć w kółko Lasek Buloński, a i tak nie pozbędzie się z płuc wyziewów cygar, które pali Lavine.

- Niech mi pani nie odmawia. Nie wiem, co będzie jutro. Być może to ostatni wolny dzień! Dla takich okazji ludzie meble zastawiają.

Karolina mięknie.

- A jakie pan ma meble?

- Czeczot. Albo syberyjska brzoza. Karolina wzdycha.

- Koszmar. Widziałam coś takiego u pewnego nuworysza w Kielcach. Ale... pan nie wie, gdzie są Kielce. Gdzie ma być kolacja?

Jean Paul udaje oburzenie.

- Francuzka spyta, co będzie na kolację, a Polka: gdzie? Bez sensu! Nie, nie zaproszę pani do Maxime'a. Nie te czasy. Od kiedy restaurację kupił jakiś baron mody, nikt o zdrowych zmysłach, a przede wszystkim żołądku, tam nie bywa. Chyba że oszaleli Teksaszczyki. Pójdziemy do knajpy „Pod pijanym Bretończykiem” w Dzielnicy Łacińskiej. Postawię pani pied de cochon farci a foie gras! Jadła już pani coś tak pysznego?

Karolina krzywi się niemiłosiernie.

- Nie cierpię nóżek wieprzowych.

- Głupstwa opowiadasz, zła kobieto! To jest danie wymyślone przez samego Marie'a Antoine'a Careme'a, kucharza Talleyranda! No, jak będzie?

- Muszę się wykąpać i przespać.

- Dobrze. Zawiadomię prasę.

Karolina wybucha głośnym śmiechem. Jak to dobrze, że są na świecie inteligentni i dowcipni Francuzi!

- O której pan po mnie przyjedzie?

- O ósmej będę czekał w holu. Au revoir, Charlotte!

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale odłożył słuchawkę. Wróciła pod prysznic stwierdzając, że bagietka i kielbaski muszą poczekać. Wraz ze strumieniem ciepłej wody ulatywało gdzieś fizyczne zmęczenie. Karolina dokładnie wyszczotkowała włosy i natychmiast zapadła w sen. Musiał być głęboki i ożywczy, skoro obudziła się, gdy już promienie słońca przeniosły się na zachodnią stronę budynku. Spojrzała na zegarek i zdumiała się:

- Szósta? Boże święty, spałam cztery godziny!

Jeszcze chwilę leżała na wznak przyglądając się własnemu nagiemu ciału. Nie jest jeszcze ze mną tak źle! Czterdziestka

stuknęła dwa lata temu, ale ciało całkiem gładkie. Brzuch płaski, no, piersi już nie takie jak dwadzieścia lat temu. Do trzydziestki chodziła bez stanika, teraz już nie powinna, choć wszystkie mięśnie sprawne.

Wyciągnęła nogę: wąskie kostki i stopy. Trochę krótkie uda. Trudno, nie zabiję się z tego powodu. A w ogóle, to co? Chcę się z nim przespać? Hej, Szarlotko, bądź ze sobą szczerą. Masz na niego ochotę. W ogóle masz ochotę na mężczyznę. I to od dawna! Nawet wtedy, gdy byłaś z Krzysztofem... on też ci nie wystarczał. Bo pomimo wielkiego uczucia nie widziałaś w nim samca. Lubiłaś go dotykać, czuć jego ciało, ale sam akt odbywał się zbyt szybko i dość nieporządnie... Dość o Krzysiu. Był i zniknął. Teraz trzeba zrobić się na bóstwo, bo coś mi się zdaje, że nie skończy się to na kolacji u pijanego Prowansalczyka czy Bretonczyka, tylko na czeczotowym łóżku. Albo na sofie z brzozy syberyjskiej.

O siódmej była prawie gotowa. Przez pół godziny robiła makijaż, pożerając jednak płatki szynki i zużywając resztki ulubionego podkładu Lancome w kolorze złotej kości. Od dawna szukała go w sklepach. Bezskutecznie. Widać wyszedł z mody, ale na jej twarzy był rewelacyjny. Szczególnie wieczorem przy blasku świec lub lampy stonowanej abażurem. Trochę błękitu na powieki, szarości pod łukiem brwi. Jej oczy koloru popiołu robiły się wyraziste, błyszczące jak oczy kota w mroku. Szminka jasnoróżowa wypełnia kontur pociągnięty stonowaną wiśnią. Nie na darmo skończyła tu kurs makijażu. Kiedy to było? Nie chce się wprost wierzyć, ale dziesięć lat temu. Kurs był darmowy. Jako stypendystka rządu francuskiego uzyskała tych parę przywilejów. Korzyść z niektórych trwa do dziś.

Dokładnie o ósmej zjechała na dół. Niestety, hol był pusty, jeśli nie liczyć zażywnego jegomościa czytającego „Daily Telegraph”.

Karolina usiadła wściekła na fotelu obciążonym miłą w dotyku materią. Jej czerwona sukienka w odcieniu malwy wyraźnie się odcinała od szarego tła. Nie znosiła niepunktualnych mężczyzn. Wieczne awantury z Krzysztofem dotyczyły przeważnie jego nagminnych spóźnień. Wszystko było ważniejsze: potrafił stać godzinę w kolejce po wino, którego, notabene, sam nie pił. Stał nie myśląc w ogóle, że wolałaby powitać go bez trunku, ale o czasie. Tym bardziej że na alkoholach się nie znał. I to wystane w „Pewexie”, choć czerwone, okazywało się słodkie jak ulepek. Sporo miała potem kłopotu, by je komuś podarować. A teraz pierwsza randka z facetem i od razu beznadziejnie głupie czekanie. Wpatrywała się w drzwi jak człowiek, który spodziewa się wizyty prezydenta republiki, a wchodzi jego sprzątaczką. Już zamierzała wracać na górę, kiedy wpadł zdyszany.

- Charlotte, wybacz, nie miałem gdzie zaparkować!

- To się wyjeżdża z domu o godzinę wcześniej! - odpaliła.

Miał oczy psa skarconego za zostawienie kałuży na środku perskiego dywanu. Oni wszyscy zawsze tak wyglądają! - stwierdziła w myślach, idąc do drzwi. - Wszyscy! Niezależnie od kraju, stopnia inteligencji i męskiej dumy.

Granatowe BMW stoi niebezpiecznie wciśnięte obok pojemnika na śmieci.

- Poprzednio był peugeot. Teraz BMW. Czy na każdą randkę udaje się pan innym wozem?

Jean Paul jest zaskoczony. Nie przemyślał sprawy. Nie sądził, że dziewczyna zauważy taki drobiazg.

- To wóz kolegi. Mój stoi w warsztacie.

Nie skomentowała. Ale zauważyła, że doskonale wie, w której skrytce są potrzebne przedmioty. Zachowywał się jak właściciel auta. Nie jak ktoś, kto je tylko pożyczył. Skoro łże w drobiazgach, będzie kłamał w rzeczach ważnych -

pomyślała. I już nie miała najmniejszej ochoty na czeczotowe łóżko. Skreśliła romans, zanim się zaczął.

„Pod pijanym Bretończykiem” było niezwykle sympatycznie. Karolina od razu polubiła wnętrze, zapachy i wiekowego akordeonistę grającego w kącie, za pianolą, stare francuskie „Java”.

- Zagraj to jeszcze raz, Sam! - mruknęła gdy stanęli w drzwiach.

- Cytat z „Casablanki” - uśmiechnął się. - Najbardziej znany dialog filmowy na świecie. Niestety, nie umiem tak nosić kapelusza jak Humphrey Bogart. W ogóle nie umiem nosić kapelusza.

Pojawił się właściciel owinięty nieskazitelnie białym fartuchem.

- Stolik na dwie osoby i kolację na dziesięć! - zażądał twardo Jean Paul. Widać było, że dobrze znają się z patronem.

- Już się robi! Frederic! Stolik dla najważniejszego gościa! Pani będzie łaskawa.

Karolina dobrze się czuła widząc wpatrzona w siebie oczy stałych bywalców. Mężczyźni we Francji, a także we Włoszech, zawsze dają poznać kobiecie, że im się podoba. Samym wzrokiem, gestem...

- Co zjesz? - spytał Jean Paul. - Będziemy sobie mówić po imieniu - oświadczył. - Wiem, że u was, w Polsce, propozycję pierwsza składa kobieta, ale jesteśmy w Paryżu. Tu ja decyduję.

Brzmiało to śmiesznie i bardzo po męsku. Przyjrzała mu się uważnie. Po raz pierwszy miała jego twarz na wysokości oczu. Szczupłą, opaloną z czarną oprawą oczu. Włosy krótkie, gęste z tu i ówdzie prześwitującymi nitkami siwizny.

- Tres bien. Ile masz lat?

- Czterdzieści dwa. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, czterdziesty drugi numer buta, a kołnierzyka...

- Czterdzieści jeden - odparła Karolina. - Widzę to po obwodzie szyi. Ma się oko.

Skinął głową zaglądając do karty. Nie było w niej oszałamiająco dużo dań, ale nazwy brzmiały ciekawie.

- Zjadłabym zupę cebulową - westchnęła. Jean Paul podniósł wzrok.

- Boże, jak ja nie lubię cudzoziemek! W takiej knajpie jak ta nie je się ani zupy cebulowej, ani bouillabaisse. Tę pierwszą zjada się nad ranem na Gare du Nord, drugą na Gare du Lyon, dokąd przyjeżdżają pociągi z Marsylii.

- Co ma do tego Marsylia?

- Świeże ryby i inne owoce morza. Inaczej zwana zupą marsylską. Wiesz, jak się to je? Właściciel przynosi gościom gumowe fartuchy, żeby mogli uchronić ubrania. W głębokiej misce, pełnej pieprzonej zupy, pływają sobie kawały ryb, krewetek, raków i homarów. To się popija dobrym białym winem i przegryza świeżutką bagietką.

- To dlaczego siedzimy u tego pijanego faceta zamiast na Dworcu Lyońskim?

- Bo prawdziwych marsylczyków wykupili dziś Azjaci. Dostaniesz tam pao - san - jang, ale nie bouillabaisse.

Karolina odłożyła kartę. Nic jej nie mówiły te wszystkie tajemnicze nazwy: coś z papryką, coś z rzodkiewką, coś z wątróbką.

- Zamów, co chcesz. Pasuję.

Długo dyskutowali z kelnerem, tak jak patron owiniętym do pasa białą ścierką,

- Będzie dobrze - powiedział Jean Paul. - Najważniejsze, że jest ser, o który mi chodziło. Ale ty i tak się na tym nie znasz.

- Przestaniecie być tacy sobą zachwyceni, jak wam EWG każe dostosować sery do europrodukcji! - roześmiała się zła, że nie docenia jej wiedzy o francuskiej kuchni.

- Francuzi nigdy nie zaakceptują brukselskich wskazówek, ile ma być dziurek w naszych najśłynniejszych serach! - wybuchnął. - Tak jak Niemcy nie zgodzą się na dodatki do swoich kiełbasek robionych ze stuprocentowego mięsa. Czego znów nie poprą Włosi dodający chyba papier toaletowy. Będziemy tych naszych dziurek bronić do ostatniego tchu!

- Tak jak Anglicy swoich toalet. W Londynie wzburzenie sięgnęło szczytu kiedy wprowadzono przepisy, które zakładają, że pojemniki w toaletach nie mogą zwalniać więcej niż siedem i pół litra wody za jednym zamachem! - roześmiała się Karolina. - I ta moja nieszczęsna Polska chce za wszelką cenę wczłgać się do EWG!

- Jeszcze mamy Anglików, którzy nie godzą się na zmianę konstrukcji kosiarek do trawy. Twierdzą, że ich trawniki świadczą o wyższości sprzętu z Wyspy. A biurokraci brukselscy negocjują to wszystko w dziesięciu językach, produkując setki przepisów, których nikt nigdy nie wprowadzi w życie.

Podano coś w kamionkach. Miało zapieczoną skorupę z sera gruyer i pachniało wspaniale. Karolina poczuła głód. Kiełbaski od monsieur Piccarda zostały na stoliku. Razem z nieświeżą już bagietką.

- Popij winem, bo się możesz zakrztusić.

Jean Paul jadł, jakby to było ostatnie danie w jego życiu. Prawda, nie miał czasu na obiad. Nawet w porze lunchu rozmawiał z doradcami. Dłużej tak nie pociągnę - pomyślał z melancholią, dobrze wiedząc, że nic się nie zmieni.

Karolina jadła i piła wsłuchując się w stare, paryskie „Java”. Dopiero kiedy starzec zaczął śpiewać lekko trzęsącym się głosem, dorzuciła cicho:

- Nie wiem, dlaczego Francuzi tak lubią śpiewać. Powinni raczej zająć się swoją kanalizacją.

Jean Paul roześmiał się łamiąc palcami bułkę.

- Jezus Maria, o czym my mówimy - westchnął. - Dwoje młodych ludzi, Kobieta i mężczyzna jak z filmu Leloucha. A rozmawiają o sraczach, kanalizacji i tych wszystkich euroszaleństwach. Czy ktoś kiedyś powiedział ci, że masz oczy jak pantera - albinoska?

Karolina pracowicie wyskrobywała zaskorupały ser.

- Nie. Ale jeden uczony Arab powiedział, że mam oczy jak krowa. Pytał przyjaciół - Polaków, jak jest po polsku: gazela. A te pawiany powiedziały: krowa. Co właściwie robisz w życiu, paryżaninie?

- Obijam się - odparł bez zastanowienia.

Nauczył się tak odpowiadać już bardzo dawno. Jedne dawały się na to nabrać, inne nie. Podejrzewał od początku, że Karolina należy do tych drugich.

- Nie, to nie - wzruszyła ramionami. - O mnie wiesz wszystko.

- Wszystko to przesada - mruknął. - Jest coś w tobie, czego nie rozpoznałem do końca. Jakaś pustynia... piaski? Może w poprzednim życiu byłaś Beduinką?

Karolina przyjrzała mu się uważnie. A jednak zobaczył coś, czego nikt inny nie dostrzegł, o ile o tym wcześniej nie wiedział. Na oko jestem stuprocentową Aryjką. Widocznie ma szósty zmysł. Są tacy mężczyźni. Ich przede wszystkim należy unikać jak ognia. Bo inaczej może się stać to, co się stało z Krzysztofem. Tylko raz, jeden jedyny raz przyniósł jej kilka płyt z ludową muzyką żydowską. Kiedy speszona zapytała dlaczego, odparł z pełnym zdziwieniem: bo myślałem, że ci to sprawi przyjemność. Nie sprawiło. Płyty oddała tego samego dnia. A przecież Krzysztof wiedział. Od Lilki.

Do stolika podszedł akordeonista. Zalaatywał rumem jak bar na Jamajce. Zagrał Pasaż ze słynnej piosenki Juliette



Greco. Jean Paul rzucił mu banknot. Na krawędź stolika. Tak jak się rzuca ogryzioną kość ulubionemu psu.

Karolina miała dość. Chciała wrócić do hotelu. Do kielbasek, lampy pod złotawym abażurem, książki, której nie zdążyła przeczytać w Warszawie.

Ale właśnie wtedy zaserwowano główne danie. Usługiwał sam właściciel. Tomy można napisać o sposobie nakładania jedzenia z półmisków na talerze. Nigdzie na świecie nikt nie robi tego lepiej od Francuzów. No, może tylko stary kelner w budapeszteńskiej „Matyas pince”.

To, co jadła, rozpływało się w ustach. Było delikatnym mięsem unurzonym w dziesiątkach wonnych ziół, zbieranych pewnie w noc księżycową, po godzinie duchów.

- To też przepis monsieur Careme. Wiesz, co jego nazwisko znaczy po francusku?

- Nie.

- „Wielki post”. Ponieważ zupa, jaką jego przodek przygotował papieżowi Leonowi X została wymyślona w czasie wielkiego postu. Już ci mówiłem, że był nadwornym kucharzem Talleyranda.

- O Talleyrandzie wiem tylko tyle, że go Napoleon nazwał „gównem w jedwabnej pończosze”!

- To wiesz więcej niż ja! - roześmiał się Jean Paul.

Siedząca naprzeciw kobieta fascynowała go. Niestety, chyba nie robił na niej wrażenia. Wiedział o tym i cierpiał. A raczej cierpiała jego męskość - dłużej trzeba będzie nad nią popracować - pomyślał melancholijnie. A czasu mało...

Na deser był creme caramel. Ale jaki! W niczym niepodobny do budyniowatych, sprzedawanych w sieci supermarketów całej Francji.

Karolina oblizwała łyżeczkę. Była najedzona i senna. Myślami wokół wizyty w salonie „Christa”. Pani Maria, krojczyni, nie pozwoliła jej niczego zobaczyć wcześniej. Taki

miała zwyczaj. - Nikt mi tu nie będzie robił żadnych uwag. A szczególnie projektanci - mawiała. - Widzą tylko swój rysunek, a ja muszę coś więcej: fakturę materiału, jego miękkość lub wprost przeciwnie! Teraz decyduję ja. - Nawet Christa nie potrafiła tego zmienić. I nie zamierzała. Maria była jej największym skarbem. Już dawno chcieli ją podkupić. I Givenchy. I Dior.

- O czym myślisz, do diabła, Charlotte? - zdenerwował się Jean Paul. - Odplynęłaś stąd o setki kilometrów! Gdzie mam cię szukać? W Warszawie?

Zamrugła rzęsami.

- Nie, skądże. Znajdziesz mnie na drugim piętrze przy rue Castiglione.

- Ci piekielni artyści! - zezłościł się. - Siedzę tu, przymilam się jak piesek pokojowy, merdam ogonem, a baba gdzieś utonęła w ciuchach!

- Nie zauważyłam, żebyś się przymilał - odparła.

- A chcesz?

Podniosła na niego oczy w kolorze szarej pajęczyny. Wyczytał w nich to, co chciał.

- Pewnie nie dzisiaj, mam rację? Skinęła poważnie głową.

- Teraz odwieziesz mnie do hotelu. Chyba tu zapadłam na przewlekłą śpiączkę.

Skinął na kelnera. Wstał i odsunął jej krzesło. Potem objął ramionami, tuż pod biustem, jak się podnosi kompletnie pijanego. Zaleciał ją zapach bardzo dobrej wody kolońskiej. Takiej, jakiej nie znała.

- Czym pachniesz? - wykręciła się zręcznie, choć wcale nie czuła się źle w ciągu tych paru sekund w męskich ramionach.

- Powinnaś wiedzieć, skoro twierdzisz, że się na tym znasz. Nazwa wody pasuje do mnie. - Prowadził ją do wyjścia

trzymając za łokieć. - Nazywa się Egoiste. Przezroczysta butelka z czarną nasadką.

- Drzewo sandałowe! - skinęła głową. - Teraz kojarzę.

- Jeśli masz jakiegoś męża albo przyjaciela, to polecam. Odwróciła twarz.

- Osobiście preferuję u mężczyzn Fahrenheita Diora. Zapach głogu i wiciokrzewu. I taką zamierzam kupić w prezencie! - powiedziała nieco zła. Wydało jej się szczytem nietaktu zapytanie o męża w kraju. Francuzi mają zwyczaj walić prosto z mostu. Szkoda.

Jean Paul usłyszał ten niecierpliwy ton. W Paryżu mówi się: c'est le ton qui fait la chanson. Tak właśnie zabrzmiała pieśń.

- Przepraszam, zapominam, że nie jesteś Francuzką. Więcej nie będę o nic pytał. Wybaczysz?

Siedzieli już w samochodzie. Karolina walczyła z pasem, który uciskał prawą pierś. Pomógł jej. Znów poczuła jego silne ręce. Ciało przeszył dreszcz. Jeśli nawet go wyczuł, nie zrobił żadnego gestu. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał.

Ruszyli ostro. Aż do samego hotelu nie zamienili ani słowa. Karolina wysiadając uśmiechnęła się.

- Do widzenia, Jean Paul. Miłych snów.

Skinął dłonią, zmrużył oczy i natychmiast odjechał.

Nie zjadła ani kiełbasek, ani reszty szynki. Suchą bułką nakarmiła ptaki. Wędliną dwa rude koty siedzące na murku wewnętrznego patio. Miauknęły cichutko znikając w ciemnościach. Drzewa szumiały, od ogródka szedł zapach mokrej ziemi. Widać ktoś zraszał grządki. Daleko, z placu Victor Hugo dochodził szum samochodów. Z góry, z Avenue Cleber przeciągły jęk karetki. Normalne odgłosy wielkiego miasta.

Karolina chwilę stała przy otwartym oknie. Gdybym nie mogła mieszkać w Warszawie, chciałabym tu. I tylko tu. Pomyślała, co by było, gdyby uległa prośbom ojca, kiedy jeszcze żył. Jak czułabym się w Tel Avivie? Czy zniosłabym tamtejszy klimat? Czy naprawdę Krzysztof, moje uczucie do niego, miało wpływ na kurczowe trzymanie się Polski? I czy dziś, kiedy znów zaczynają wracać upiory z sześćdziesiątego ósmego roku, nie stanę przed dylematem tam czy tu? Nigdy do Izraela! - wstrząsa się z chłodu, który napłynął.

Kładła się spać wysmarowana dobrym kremem. Zasnęła nie pomyślawszy ani razu o mężczyźnie, z którym jadła kolację. Ani o Krzysztofie chrapiącym gdzieś tam, setki kilometrów stąd, z psią lub kocią mordą pod pachą.

\*\*\*

Jean Paul zaparkował w bocznej uliczce. Kluczyki schował pod wykładzinę. Miejsce było znane tylko dwóm ludziom. Jeden z nich zabierze samochód. Nocą.

W swoim pięknym mieszkaniu, gdzie nie bywał nikt, bo adres był głęboko utajniony, czuł się najlepiej. Wśród dobrze sytuowanych sąsiadów uchodził za zamożnego wdowca, właściciela dobrze prosperującej firmy elektronicznej. Swojego peugeota trzymał w garażu. Numer białego telefonu, nie istniejący w żadnej z książek telefonicznych Paryża, znał tylko jeden osobnik: odległy o tysiące kilometrów stąd. Na szczęście dzwonił czasem drugi, w kolorze zdechłej zieleni.

- Tak?

- Troy. Zmiana. Zabieram cię z bulwaru o dziesiątej. Okay?

- W porządku.

W telewizji nadawano ostatni serwis wiadomości. Dziennikarz był lekko zakatarzony: Francja zgodziła się podpisać Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, pochodzący z dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku...

- Rychło w czas - mruknął, z ulgą rozwiązując krawat.

Wtedy zajmowaliśmy się barykadami z ulicznej kostki w dzielnicy studenckiej! Razem z młodzieżowym przywódcą Cohen - Benditem. Wtedy miałem zaledwie osiemnaście lat. I wspaniałe plany na przyszłość. Ale zmienił je jeden człowiek. Spojrzał ze złością na biały aparat.

Pod ciepłym tuszem odgonił niepotrzebne myśli. Mydlił swe mocne męskie ciało żałując, że nie dostał dziś tej kobiety. Chciał ją tu, teraz, pod prysznicem. Puścił strumień lodowatej wody. To dobry, stary sposób. Ziąb przeniknął ciało. Wytarł się do sucha i nagi wsunął pod pled. Zgasił lampę przywołując na pamięć stado baranów. Poskutkowało. Zapadł w głęboki sen nie słysząc wiatru, który się wzmagął. Tam, za oknem, w rzędach platanów drgało i huczało. Konary nachylały się i prostowały w tańcu.

Potem lunął rzęsisty deszcz.

W tym samym czasie w Monachium szalała burza. Pioruny waliły, oświetlając niebo błękitno - zielonymi zygzakami. Człowiek zwany „Kretem” siedział obok kierowcy volkswagena i wyglądał, jakby spał.

- Cholerna ulewa! Wycieraczki nie zbierają. Może zatrzymamy się pod jakimś otwartym barem?

- Nie.

- Z tobą są same kłopoty.

- Tak.

- O której masz jutro samolot?

Kret otworzył oczy. Boczne szyby były prawie całkowicie zaparowane. Widać ulewa mocno ochłodziła powietrze.

- O ósmej rano.

Kierowca volkswagena zwolnił. Samochód zatrzymał się przed czerwonym światłem. Piorun huknął gdzieś bardzo blisko. Chciał już być w domu. Nie lubił prowadzić w taką

pogodę. W ogóle nie lubił prowadzić. Ale nikt poza nim o tym nie wiedział.

- Dokąd tym razem?

Kret ocknął się. Byli już blisko.

- Do Frankfurtu nad Menem. Na wystawę Marca Chagalla.

- O, cholera! Sam bym obejrzał - światło zmieniło się na zielone. Ruszyli.

Kret usiadł prosto. Jeśli miał coś wyjaśnić, to tylko teraz.

- Ekspozycję urządza galeria sztuki „Schrin”. Całość pod hasłem „Rosyjskie lata”. Stary, dwadzieścia dzieł z okresu od tysiąc dziewięćset szóstego do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. I wszystkie z Rosji. Zbiory państwowe i prywatne. Głównie pejzaże z Witebska, ale także portrety z galerii rodzinnej, cudowny folklor małych miasteczek, te wszystkie obrzędy, obyczaje, poetyckie fantazje...

- Uwielbiam jego plafon w Operze Paryskiej.

- Każdy to kocha - mruknął Kret odpinając pas bezpieczeństwa. - We Frankfurcie pokażą aż siedem monumentalnych malowideł z dwudziestego roku, wykonanych dla Żydowskiego Teatru w Moskwie.

- Był tam Teatr Żydowski?

- Kiedyś był. I malowidła. Ale jak mistrz przeniósł się do Paryża, Rosjanie ukrywali je przez dziesiątki lat.

- I dopiero teraz wyciągnęli? No, jesteś na miejscu.

- Szwajcarzy je odrestaurowali, bo wyglądały okropnie. Za Stalina nie wolno było nawet o nich wspominać. A teraz pokazuje je Frankfurt. To cześć. Dzięki za podwiezienie.

Wysiadł w chlapiący deszcz. Wszystko, co powiedział przed chwilą, było prawdą. Z wyjątkiem lotu do Frankfurtu. Chagall istotnie wisiał w galerii. I Kret bardzo żałował, że nie będzie mógł go zobaczyć.

O ósmej będzie na lotnisku. Tylko że polecą do Paryża.

\*\*\*

Na Roissy nie wziął taksówki. Zabrał się autobusem jadącym do Porte de Maillot. Mógł wsiąść w 350 do Gare de l'Est lub do kolei ekspresowej RER. Ale zrobił to, co przemyślał wcześniej. Nie miał bagażu. Tylko niewielką torbę. A w niej kilka broszur w języku francuskim, niemieckim i polskim. W bocznej kieszeni wiatrówki znajdował się wywołany film. Zaledwie parę klatek. Trochę kluczył w metrze. Ktoś, kto ewentualnie miałby za zadanie śledzić go, wpadłby zapewne w popłoch. Na powierzchnię wyszedł dopiero na stacji Saint - Paul. Skręcił w rue Francois Miron, potem przez plac St. Gervais, rue de Lobau i wybrzeże Sekwany, do ratusza. Chwilę stał przed wystawą z butami. W dużej panoramicznej szybie przeglądali się nie tylko ludzie. Także okoliczne bramy, zaułki i część przeciwległego chodnika. Gdyby miał „ogon”, widziałby go jak na dłoni. Na ulicy du Renard, skąd krok tylko do „rafinerii”, czyli pięciopiętrowego budynku ze szkła i stali zbudowanego przez Georges'a Pompidou na chwałę paryskiej sztuki, tłum gęstniał. Okolice Beaubourgu są najbardziej ożywionym rejonem miasta. Tysiące turystów przewijają się przez ulice i placyki, by przyjrzeć się niezwykłemu budynkowi, żonglerom, cyrkowcom i muzykom grającym na wszystkich instrumentach świata. Ale nie „rafineria sztuki” sprowadziła tu Kreta. Mieszkanie przy ulicy du Renard, w którym miał się spotkać z Francuzami, było wynajęte specjalnie do takich celów. Zajmowała je siedemdziesięcioletnia, głucha jak pień, madame Rochas. I według własnej konsjerżki prowadziła spokojne życie. Czasem, rzadko, bywali u niej siostrzeńcy i bratankowie. Staruszka częstowała ich herbatą i wyносиła się do kuchni. Ale o tym już konsjerżka nie wiedziała.

Kiedy już siedział w staroświeckim pokoju z kotem Ludwikiem Czternastym na kolanach, popijając drobnymi łykami bursztynowy napój z kroplą rumu na dnie, był spokojny.

Jean Paul wraz z Troyem zjawili się piętnaście minut później. Stawiając przed nimi filiżanki staruszka uśmiechała się mamrocząc coś pod nosem.

- Co jest? Dlaczego przyjechałeś tak nagle? Kret wyjął z teczki parę broszur i film.

Troy przyjrzał się klatkom pod światło.

- Jakiś tekst, ale...

- Kawalek pamiętników Goebbelsa. Znaleźli je Rosjanie w archiwach KGB. Albo nie wiedzieli, co mają, albo nie potrafili przeczytać - wyjaśnił swoim strasznym francuskim akcentem.

Jean Paul spojrzał zdziwiony. Ten Niemiec zadał sobie trud, by przyjechać tu z wiadomością, która od tygodnia już obiegała świat? To niemożliwe...

- Wiem. Telewizja o tym trąbi. Kret pokręcił głową.

- Trąbi, że czyta je Irving. Kiedy sprawa wyszła na jaw, rozdmuchał ją „Sunday Times” zaatakowawszy „Independent”, przypominając powiązania Davida Irvinga z neofaszystami. To w końcu on rozpowszechnia swoje obsesyjne stwierdzenia, że holocaust jest wymysłem brytyjskiej i żydowskiej propagandy, a komory gazowe zostały zbudowane po wojnie przez Polaków jako atrakcja turystyczna! To, co wam przywiozłem, jest edycją spreparowaną przez organizację, o której nie macie jeszcze pojęcia. Nazywa się Wilki Mengelego - rzucił broszury na stół.

Troy wziął do ręki dwustustronicowy zeszyt wydany na doskonałym papierze. Niestety, nie znał polskiego.

- Zrobili już to? Po polsku?



- Nie tylko. Teraz drukują po niemiecku i francusku.

- Kim są Wilki Mengelego?

- Panowie: Gottfried Kussel z Wiednia, Jorg Haider, Pedro Valera z Barcelony - szef drukarni, Belg Vlaams, Korsykanin Michael Leloup, londyńczyk Richard Edmonds - szef rozdzielnictwa tej makulatury i mój rodak Ernst Zundel. Na obszar Polski delegowali niejakiego Gerda Honsika. Ma się tam zająć rozprowadzeniem tego chłamu wśród faszyzujących nacjonalistów. Aha, jest jeszcze Albert Eriksson.

- Ten facet obłąkany na punkcie Rudolfa Hessa? - spytał Jean Paul. Nie był tym zaskoczony. - A tak między nami, skąd o tym wiesz?

Kret oczekiwał tego pytania. Wszystko, co powiedział, było prawdziwe. Natomiast sposób pozyskania danych musi zostać jeszcze długo jego, i tylko jego tajemnicą.

- Wilki Mengelego spotkały się niedawno w hotelu...

- „Hilton” w Monachium! - dorzucił Jean Paul. Wiedział o tym z białego aparatu telefonicznego, który bardzo rzadko, jednak czasem, dzwonił w jego mieszkaniu.

Kret spojrzał z uznaniem na Francuza.

- Powinienem był przewidzieć, że się o tym dowiesz.

Troy zerknął na Jean Paula. Nic mi nie zdradził, dlaczego? Czyżby wiadomość przyszła innym kanałem?

Jean Paul doskonale znał myśli przyjaciela. Toteż spojrzał na niego jasnym, obojętnym wzrokiem.

- Jak się czytuje prasę między wierszami... szczególnie „Westfalen Blatt”...

- Naprawdę było coś o tym? - nie dowierzał Troy. - I od kiedy ty czytujesz niemiecką prasę?

Kret machnął dłonią.

- Nie ma sensu spierać się, co gdzie było w prasie. Tak się składa, że jestem w posiadaniu nagrania z rozmowy tych

panów. Hotele nie są bowiem najlepszym miejscem do omawiania spraw tajnych. Razem z nimi był tam pewien, nazwijmy go

"Europejczykiem", człowiek, któremu polecono zorganizować sieć przerzutową dla tych materiałów.

- Wiesz o nim coś więcej?

- No comments - odparł Kret. - Wiem, że będzie działał na terenie Francji, Polski i Niemiec. Szykują się też do ekspansji w krajach Wspólnoty Niepodległych Państw. Nie sądzicie, że Wilki Mengelego poprzestaną na rozpowszechnianiu literatury. Kanałami, udrożnionymi przez tego nowego, może też iść całkiem inny przemysł.

- Broń?

- Nie. Rosja, Ukraina, no, cała Communauté des Etats Independents jest po brzegi zapełniona bronią. Handlują nią Polacy i żołnierze zbiegli z baz rosyjskich w Niemczech i Polsce.

- Handlują już materiałami nuklearnymi - dorzucił Troy. - Duży Amerykański Brat bardzo się tym martwi. Nie zapominają o tym, że w byłym Związku Radzieckim istniały całe miasta bez nazw, opatrzone jedynie numerami pocztowymi. Całkowicie zamknięte, odizolowane ośrodki. To właśnie tam przetwarzano kradzione z Zachodu elementy lub plany na części do produkcji broni. Co mają z tym zrobić? Przesłać Arabom? Próbuja. W terminalu gdyńskiego portu stoją ciekawe kontenery strzeżone przez żołnierzy Straży Granicznej. Kiedy się do nich dobrali złodzieje, gazety podniosły wrzask. Bo owe kontenery mają międzynarodowy symbol I.4.S., oznaczający amunicję!

- Wracajmy do naszych baranów! - przerwał Jean Paul kończąc już trzecią filiżankę Liptona of London. - Jak twierdzi Mark Webster, polityczny korespondent ITV, brytyjskiej telewizji prywatnej, Nacjonalistyczna Międzynarodówka

Faszystowska przymierza się do obchodów siedemdziesiątej rocznicy marszu na Rzym! A przypada ona w dziewięćdziesiątym trzecim roku.

- Tylko że nie będzie to żaden marsz - stwierdził ponuro Kret. - Rocznicą ma być uczczona z wielkim hukiem. Jednego dnia o tej samej porze wybuchy bomb mają zniszczyć parlamenty we wszystkich krajach Europy Zachodniej, Środkowej i Wschodniej. Będzie to pierwsze poważne ostrzeżenie, jak mawiają nieustraszeni Chińczycy. A dla niektórych państw może być ostatnie. Te tony zadrukowanego papieru, ziejące nienawiścią do „obcych” i „obcego kapitału”, muszą zostać unicestwione.

- Tylko że już kiedyś książki płonęły na stosie - mruknął Jean Paul. - Historia się powtarza...

Troy z brzękiem odstawił filiżankę.

- Przecież to, u Boga Ojca, nie to samo! Wtedy w ogniu ginęły arcydzieła niemieckiej i światowej literatury! A barachło - końcem palca trącił broszurę, która spadła z hukiem - trzeba zniszczyć, zanim zaczadzi umysły głupców i dzieci. Pamiętaj, ile szkody narobiły sfalszowane „Protokoły mędrców Syjonu”. Do dziś się nimi handluje, choć wiadomo już, że są fałszerstwem.

- Ten mikrofilm to kawałki pamiętników Goebbelsa?

- Tak.

- Tylko z tym przyjechałeś? - Jean Paul zmrużył oczy. - Mamy się domyślać? I po to płaciłeś za bilet?

- Powiem, co mogę. Sprawa jest całkowicie tajna. A dotyczy niechlubnej historii mojego kraju. Zajmuje się nią tylko dwóch ludzi z Federalnego Urzędu Kryminalnego. Trzecim jestem ja. Chodzi o dwadzieścia miliardów marek, które chce zdobyć Faszystowska Międzynarodówka. I to w bardzo krótkim czasie: do dwudziestego sierpnia.

- Coś szykują? Jakąś specjalną akcję? - zdziwił się Troy. - Ale za takie pieniądze? Mają przecież przelewy z paru banków. Choćby z Peru i Argentyny. Jakoś finansują te - pstryknął kciukiem w leżące na stole broszury - dzieła!

- Nie żadna akcja. Rocznicą. Chodzi o pięćdziesiątą rocznicę tak zwanej „Konferencji w Wannsee”.

- Zaraz, zaraz! Minęła dwudziestego stycznia! - wtrącił Jean Paul. - A prasa w całych Niemczech milczała jak zaklęta. Tylko „New York Times” i londyński „Times” zamieściły wzmianki. Nic się nie zdarzyło!

- Ale ma się zdarzyć. Ci faceci, których wyliczyłem, spotkali się w hotelu „Hilton” nie tylko po to, by zlecić jednemu facetowi zorganizowanie kolportażu. Chodziło o uzgodnienie daty Kryształowej Nocy, od której ma się rozpocząć Nowa Era. Nowy holocaust.

- W Zjednoczonej Europie? Bez Hitlera i Stalina? Wykluczone! - Troy założył nogę na nogę. Historia, którą opowiadał Kret, wydała mu się śmiesznie zmurszała. - Po konferencji w Maastricht? Po decyzji o powołaniu Europejskiej Policji Kryminalnej, tak zwanego Europolu? Wyłapią ich jak szczury! Tę twoją piątkę czy siódemkę. Ich nazwiska znane są policji od Portugalii po Kijów!

- Oni inaczej rozumują, Troy! Razem z siecią kolportażową powstanie sieć terrorystyczna. Bardzo precyzyjna, z podwójnym zabezpieczeniem. Jeśli gdzieś pęknie jedno ogniwo, połączy się inne.

- Powiedz, co ma do tego Wannsee? Ta żeglarsko - wodna oaza spokoju nad jeziorem Haweli u wrót Poczdamu?

- Podam ci dokładny adres: Am Grossen Wannsee 56. Willa z czasów kajzerowskich. To właśnie tam, w luksusowym wnętrzu został zaplanowany największy mord w dziejach ludzkości: holocaust. Całkowita zagłada Żydów. Według sprawdzonych źródeł dokonało tego piętnastu

wyższych oficerów SS i SD. Ponieważ Hitler dążył do całkowitej zagłady, marszałek Rzeszy, Herman Goring polecił szefowi policji i służby bezpieczeństwa Reinhardowi Heydrichowi „podjęcie wszystkich niezbędnych przygotowań organizacyjnych, rzeczowych i materialnych dla ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej na niemieckim obszarze wpływów w Europie”.

- To znamy - przerwał Jean Paul.

- Obawiam się, że Troy nie tak bardzo.

Potwierdził to skinieniem głowy. Kiedy go przydzielano do roboty, niewiele wiedział o neonazizmie. Tyle lat spędził w Stanach...

- Bon, wracaj do baranów.

- Willa w Wannsee pełniła wówczas funkcję domu wypoczynkowego SS. Toteż nikogo nie dziwiła obecność tam podsekretarza stanu w MSZ Luthera, przewodniczącego Trybunału Ludowego Freislera, przedstawiciela Generalnego Gubernatorstwa w Polsce, ludzi z Kancelarii Rzeszy. Protokołował, to ważne, szef tak zwanego referatu Żydów w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, schwytany w Argentynie i skazany na śmierć w Izraelu - Adolf Eichman. Plany przedstawione przez Heydricha zostały przyjęte przez aklamację. Ten protokół został znaleziony w archiwach niemieckiego MSZ w czterdziestym siódmym. I wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Został obalony mit, że odpowiedzialność za holocaust ponosi wyłącznie NSDAP i SS. Amerykański prokurator z procesu w Norymberdze, Robert Kempner, napisał później, że systematyczna zagłada Żydów była skoncentrowaną akcją wszystkich władz partyjnych i państwowych: Kancelarii Rzeszy, SS i SD, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości i Finansów. - Kret otarł

spoczone czoło. Oblizął zeschnięte wargi i powtórzył: - Podkreślam... Finansów!

- Coś nowego?

- Właśnie. Sprawa dotyczy pieniędzy. Olbrzymich pieniędzy na finansowanie obozów z całą infrastrukturą, ludzi, sprzętu. W tej spokojnej willi odbyło się jeszcze jedno spotkanie, o którym nie wspominają żadne materiały, żadne protokoły. Dwudziestego sierpnia czterdziestego drugiego przedstawiciel Ministerstwa Finansów zdecydował się umieścić część pieniędzy, dokładnie równowartość obecnych dwudziestu miliardów marek, w złocie, w Banco Nazionale w Rzymie. Dlaczego? Może na prośbę Mussoliniego, który gonił resztkami pieniędzy, a może, by wymusić na sojuszniku akceptację dla eksterminacji Żydów, której, od początku, Duce nie był przychylny. Fakt, że na skutek walk w Afryce Północnej w Trypolitanii i Cyrenajce, emisariusz wiozący złoto przez tamte rejony, zaginął. A wiecie, jak się ten człowiek nazywał? Horst Zundel?

Jean Paul zerknął do notesu. W czasie rozmowy zapisał w nim parę nazwisk.

- To zbieżne, czy przypadek? Jeden z facetów, którzy się spotkali w „Miltonie”, nazywa się podobnie... Ernst Zundel!

Kret uśmiechnął się z uznaniem.

- Punkt dla ciebie. To jego wnuk. I mój rodak.

- I co się stało z dziadkiem Ernsta i forszą? Bo rozumiem, że nie wróciła do Niemiec?

- Nie. Zundel wpadł, jak mówiłem, w niezłe tarapaty, bo po całej Afryce Północnej, od Sidi Barrani po Al Chums pod Trypolisem, przewalały się wojska niemiecko - włoskie walczące z aliantami, głównie Brytyjczykami. Zundel nie miał możliwości przedostania się do Włoch. Ukrywał się u pustynnego szejka niedaleko Agejli nad Zatoką Syrta. Potem słuch o nim zaginął. Sprawa złota wypływa dopiero po

czterdziestym dziewiątym roku, kiedy to Zgromadzenie Narodowe wybrało emira Cyrenajki - królem. Był to Idris I.

- Już się domyślam! - wykrzyknął uradowany Troy. - Zundel został doradcą króla!

- Tak. I oświadczył, że nie odda pieniędzy pokonanym Niemcom ani tym cholernym aliantom okupującym Berlin.

- I co?

- Znow historia dała mu łupnia. Król Idris został obalony, zwyciężył pułkownik Kadafi. I on położył łapę na złocie.

- A Zundel?

- Podobno jego grób jest odwiedzany przez rodzinę. Był tam również wnuk. Nie tak dawno. Jak myślisz, o czym mówili?

- O odsetkach. Zapewne z nich pułkownik zbudował parę miast, dróg i osiedli. Opłacał też specjalistów z Moskwy i Warszawy.

- Nie tylko. Trochę pomagał niedobitkom Hitlera w Argentynie.

- Jak Wilki Mengelego chcą odzyskać forszę? Dlaczego „Władca pustyni” w ogóle chciałby o tym rozmawiać?

- Wiele się przez te lata zmieniło. - Kret był zmęczony. - A przede wszystkim międzynarodowe prawo bankowe. Mija właśnie pięćdziesiąt lat. Jeśli do dwudziestego sierpnia Kadafi nie zwróci Niemcom pieniędzy, i to z wszystkimi odsetkami, jego aktywa zostaną zamrożone we wszystkich bankach świata. Od Szwajcarii, gdzie ma prywatne konta, po USA i Kanadę.

- Powiedziałaś... Niemcom?

- Rząd boński o nie nie zabiegał. Dotąd. Ale pecunia non olet, gdy się ma problemy z nowymi landami. „Człowiek piasków” o tym wie. Woli je zwrócić bez odsetek „Wilkom”. Ale nie za darmo!

- Czego chce? Broni?

- Tak się składa, że wiemy, o co chodzi. To się nazywa RKPK. - System operacyjny NATO. Dokładnie: Radar plus Komputer plus Program plus Kod Laserowy. W nomenklaturze wojskowej „Strategia głębokich uderzeń”. Reszta tajna dla wszystkich od Alaski po Turcję.

- Amen - mruknął Troy. - I wszystko stało się jasne.

\*\*\*

Do centrum monachijskiego lotniska prowadzi nowa linia metra. Chociaż obok terminali wybudowano pięciopiętrowe garaże, Achim Schroder wolał pokonać tę odległość żółtym wagonikiem. Nie spieszył się. W metrze był jednym z setek ludzi ubranych w sztruksowe spodnie, koszulę i cienką wiatrówkę z materiału zwanego "brzoskwiniową skórą". Nie zwracał na siebie uwagi. Plastikowa karta, którą wsuwa się do automatu, otworzyła mu jedną z bram. Musiał dostać się do podziemi, gdzie pracuje najnowocześniejszy system sortowania i przesyłania walizek, dzięki któremu bagaż pasażera w transzycie może trafić do drugiego samolotu już po trzydziestu minutach. Potem jeszcze odwiedzi cargo i catering.

Hans Hubert pracuje w cargo do końca roku. Potem przejdzie na zasłużoną emeryturę. Umówili się w piątym sektorze.

- Włóż na siebie kombinezon - szepnął Hugo. - Mam zapasowy. Inaczej będziesz niepotrzebnie rzucał się w oczy.

- Dzięki Bogu, mnóstwo tu nowych pracowników - powiedział Achim szczerząc zęby. - Jeszcze się wszyscy nie znacie. Zauważyłeś coś?

Hubert przemieszczał się powoli wzdłuż kontenerów, trzymając w ręku listy przewozowe różnych firm.

- Tak. Lufthansa do Paryża i LOT do Warszawy. Ta sama spółka hiszpańska z Barcelony. Zobacz tutaj...

Achim marszczy brwi. Nadruk normalny, ale nalepka dość interesująca: mały znak Czerwonego Krzyża.



- Co przewozi?

- Papierzyska. Miałeś rację. Dwa kontenery druków. Pilnuje ich jeden taki... zauważyłem...

- Mów ciszej!

- Pracownik lotniska. Niejaki Gruber. Zaangażowany dziewięć dni temu. Nigdy nie zdejmuje zegarka, duży seiko. A pod spodem ma tatuaż.

- Liście laurowe i hakenkreuz? Hans kiwa głową.

- Wiem, co robić. I kiedy. Dam sobie radę. A wszystkiemu będzie i tak winien... Gruber!

Schroder klepnął go po plecach. Gdyby nie tacy jak on, czy miliony spokojnych, zrównoważonych Niemców budujących cegielka po cegielce swą nową ojczyznę, świat nie zdążyłby do wolności bez granic.

- Którędy przejść do cateringu?

- Podziemiem w lewo, koło garaży. Czeka, pójdę z tobą. Chcesz się zobaczyć z Trudą?

Achim skinął głową. Gertruda Heller na lotnisku w Monachium pracowała od zawsze. Przynajmniej tak mu się wydawało. Teraz była szefową „od kotletów”, jak się sama, ze śmiechem, nazywała. Poza tym pełniła jeszcze jedną funkcję. Też ważną, choć o niej wiedziało zaledwie kilka osób. A w dodatku miała najpiękniejszy uśmiech. I dwa dołki w nieco już pomarszczonej twarzy. Kiedyś musiała być piękna. Dziś była tylko... niezastąpiona.

- Co wy tu robicie? - huknęła, gdy obaj stanęli w oszklonych drzwiach kantoru. - Stało się coś?

Achim potrząsnął głową. Podziękował gestem Hansowi, przysiadając na obrotowym stołku pokrytym miękką skórą.

- Co słyhać u nowej synowej? - zamruczał rozglądając się.

- Przez pierwszy miesiąc zachowuje się tak, jakby miała być ostatnią żoną! - parsknęła śmiechem. - Co cię tu przygnało? Chcesz się zatrudnić?

- A ile dacie? - zainteresował się Achim. - Choć ze cztery tysiące? Kobieta zmrużyła oczy.

- Bo ja wiem? W Monachium śmieciarz po trzydziestu sześciu latach pracy bierze na rękę dwa tysiące sześćset marek, za pięćdziesięciometrowe mieszkanie płaci tysiąc dwieście czynszu, a jego koszty utrzymania wzrosły ostatnio o dwadzieścia trzy procent. Zresztą o czym tu mówić!

- Ale jesteś zadowolona, Trudi?

Kobieta ukazała w uśmiechu swoje słynne dołki. Przy siwiejących włosach wyglądała bardzo sexy.

- Mam do obsłużenia pięćdziesiąt tysięcy pasażerów dziennie, to niemało. Chcą jeść i pić. Wiesz, ile Lufthansa zużyje do końca roku jedzenia? Wszystko jest obliczone: dwieście trzydzieści kilogramów kawioru, dwadzieścia dwie tony łososia, trzydzieści pięć ton kotletów, pięćdziesiąt trzy tony masła...

- Truda, litości...

- Pięć ton kawy i sześćset dwadzieścia tysięcy butelek wina... - dokończyła z satysfakcją. - Spróbuj ciasta... .

Achim nadgryzł kawałek. Miało lekko brązową skórkę.

- Piekłaś to przy pomocy miotaczy płomieni?

Trzepnęła go ze złością po ramieniu.

- Uważaj, co mówisz. Jest koszerne. Mamy tu żywność dla wszystkich: muzułmanów, Żydów, Hindusów i wyznawców Woo - doo. Jedzą tylko przetwory z owczego sera. Czasem mi się zdaje, że kolejny samolot, jak Arka Noego, zabiera różne stwory, by je uchronić od kontaktów z ziemią.

- Noe wziął na pokład zwierzęta nie po to, by uratować wszystkie gatunki, lecz po to, by je zjeść, jak wody opadną. Nie pomyślałaś o tym, Trudi?

Spoważniała.

- No, to wal. Nie przyszedłeś do mnie, żeby wypróbować kosztowną chatkę.

- Ano nie.

\*\*\*

Telefon w kawiarni „Odile” na Ruppertstrasse był zajęty. Jakaś youppie w granatowo - białym kostiumie, z czarną teczką na łańcuszku okupowała aparat prowadząc nieznośnie długo rozmowę na temat przewidywanych zysków z akcji stalowni w Hammersdorf.

Schroder ogryzał ustnik papierosa czekając na finał. Nie palił od pół roku. Czasem, gdy się denerwował lub coś nie szło po jego myśli, sięgał ręką do zmiętoszonej paczki. Jak w tej chwili. Youppie wreszcie oddzieliła się od słuchawki. Przechodząc uśmiechnęła się. Miała ładną porcelanową buzię i włosy w odcieniu świeżego kasztana. Za nią snuł się delikatny zapach. Innym razem może by się zainteresował dziewczyną, ale teraz nie miał czasu. Wykręcił numer budy, w której Albert próbował swoją sztukę o tolerancji.

- Czy zastałem Frau Żakowsky... - polskie „ę” i „ą” były dla Achima przeszkodą nie do pokonania. Czekał trzy minuty, nerwowo spoglądając na zegarek.

- Słucham?

- Frau Liliana? Mówi Schroder. Czy możemy się spotkać?

Przez moment słuchawka milczała. Widać rozmówczyni nie kojarzyła nazwiska lub zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Tak, naturalnie! - rzuciła ciepłym głosem. - Kiedy?

- Dziś. O piątej.

- U Fritza?

- Nie. Wolałbym nie. Wie pani, gdzie jest pizzeria „Bologna”? Niedaleko pani domu.

Nie zaskoczył jej znajomością adresu, choć mu go nie podała.

- Wiem. A zatem o piątej.

Odwiesił słuchawkę i stał chwilę zamyślony. Powinienem ją wtajemniczyć czy nie? „Bologna” jest własnością mafii, która ostatnio traktuje Niemcy jak teren, gdzie dobrze odpoczywa się po udanych akcjach przeprowadzanych na Półwyspie Apenińskim. Mafiozi wycofują się do Monachium, jak oddziały wojskowe na z góry upatrzone pozycje. A że lubią jeść dobrze i po swojemu... powstało tych pizzerii i restauracyjek mnóstwo. Praktycznie w każdym mieście starych i nowych landów. Nic nie można na to poradzić. Nie na darmo policja federalna oponuje przeciwko zniesieniu wszelkich kontroli granicznych w obszarze Wspólnoty Europejskiej. Nie, nic jej nie powiem. Człowiek musi czuć się względnie bezpiecznie. I nie powinien zbyt dużo wiedzieć. Żakowska i tak wpakowała się w sprawy, których nie powinna była dotykać. Jest imigrantką. Z prawem pracy, lecz bez obywatelstwa. Może względnie spokojnie siedzieć w Republice Federalnej, dopóki komuś nie nastąpi na odcisk. A to właśnie zrobiła mieszając się do spraw Wilków Mengelego. Trzeba jej to uzmysłwić.

Za kwadrans piąta zamówił pizzę Siciliana z czosnkiem, oliwkami, anchois i kaparami. Do tego piccolo chianti.

Lilka weszła punktualnie. W szerokiej spódnicy w granatowo - czerwonej kratę i czerwonej bluzce ze stojącym kołnierzykiem wyglądała ładnie i młodo. Coś Achima zdziwiło. Coś się w tej kobiecie zmieniło. Ale co? Prawda! Zniknęła siwizna! Włosy miała o ton ciemniejsze i nieco krótsze. Widać nareszcie odbiła się od psychicznego dna. Twarz miała matową, bez makijażu. Oczy brązowe, ciepłe.

- Dobrze, że pan jest - powiedziała, z westchnieniem rzucając na wolne krzesło dużą torbę z miękkiej skóry.

„Dobrze, że jesteś!” - tak niegdyś mawiała kobieta jego życia, zanim zginęła pod kołami pijanego kierowcy na szosie do Koblencji. Od tego czasu nikt nigdy nie użył tych słów. Nie miał zresztą okazji. Jego kontakty z dziewczynami były krótkie i jednoznaczne. Bardzo się o to starał. I było mu z tym dobrze. Nie rozumiał, dlaczego Polka robi na nim wrażenie. Nie jest żadną piękną, młodość dawno minęła... Ale bije od niej ciepło, którego jest spragniony. I bezinteresowność, do której nie są zdolne jego rodaczki.

- Co pani zje?

- Lubię pizzę Margherita. Często tu wpadam, choć przyznaję, że chętniej bym zjadła polskie pierogi z jagodami lub placki ziemniaczane z cebulą. Tego tutaj nie podają.

- Jest w Monachium polska knajpa - odezwał się nalewając wino. - Może tam pójdziemy... chociaż nie! - zmienił zdanie. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

Przyglądała mu się bardzo uważnie. Nie uszło jej uwagi lekkie zmieszanie przy ostatnich słowach. Powiedział za dużo? Dać mu do zrozumienia, że to zauważyłam? Czy wręcz przeciwnie. Czegóż ode mnie chce. Tak jak ja chcę, by obronił Fritza. Coś za coś? Zgoda.

- Proszę się nie przejmować. Nie lubię polskich knajp za granicą. To namiastka domu, którego już nie mam. Staram się żyć normalnie. I pracować na swoje utrzymanie.

- Teatr niewiele może pani zaofiarować - mruknął przyglądając się podejrzliwie okrągłemu plackowi na talerzu. Był kruchy, apetyczny, pachnący oliwą i sosem pomidorowym.

Kelner strzepnął brudną ścierką, oddalając się w stronę lady oddzielającej część jadalni od elektrycznych pieców wypluwających co minutę porcje świeżej pizzy. Tam je

przyrządzano posypując suto parmezanem, kaparami, kawałkami frutti di mare lub połówkami grzybów.

- Musi mi wystarczyć na opłacenie pokoju i jedzenie. Od dawna nie mam już dużych wymagań. Dokładnie od dwunastu lat.

Przyglądał się jej dłoniom trzymającym szklaneczkę. Wydały mu się kształtne, ale niezbyt delikatne w rysunku. Ręce kobiety zdradzają wiek. Duży srebrny pierścień z bursztynem nie mógł dodać im wdzięku. Raczej postarzał. A jednak było coś w palcach, w sposobie poruszania, co sprawiało, że czuł przyływ wzruszenia.

- Mam pewną propozycję. Może ją pani przyjąć lub całkowicie odrzucić. Od razu zaznaczam, że wiąże się z pewnym, niewielkim na razie, ale jednak ryzykiem.

Spojrzała przez stół. W piwnych oczach załśniło zaciekawienie bez niepokoju. Łagodnym ruchem uniosła szklaneczkę do ust.

- Wiedziałam. Kiedy tylko Albert wspomniał o panu, kiedy zdecydowałam się skontaktować pana z Fritzem, już wtedy wiedziałam, w co się pakuję. Nie trzeba ostrzegać. Widzi pan... - łyknęła chianti oblizując wargi jak mała dziewczynka - byłam kiedyś osobą niezwykle zajętą, energiczną. Prowadziłam klub w elitarniej dzielnicy. Miałam wśród swoich klientów aktorów, malarzy, grafików. Od przyjazdu tutaj brakuje mi ich. Brakuje pracy z ciekawymi ludźmi. Być może ten spektakl wzorowany na teatrze Grotowskiego, jest coś wart. Ale Albertowi brak sponsorów, dobrych dekoracji, kostiumów, świateł. Widzę, jak się męczy, jak wspaniałe inscenizacyjne pomysły idą na marne, bo zawodzą ludzie. Nie ta klasa, nie te umiejętności. Ale przepraszam... przerwałam panu. Ja chętnie będę współpracowała z panem... ze sprawą, za którą się opowiadam. Przerazili mnie ci pogrobowcy z tatuażem na

lewym nadgarstku. Mój kraj przeszedł wszystko, co najgorsze, za przyczyną takich samych zbrodniarzy. Nie chciałabym, żeby to znów wzrosło w siłę,

Achim słuchał pochylony. Spodziewał się takiej reakcji. Mówiła spokojnie, bez emocji, bez niebezpiecznej egzaltacji.

Jedli w milczeniu. Przez chwilę brzęczało szkło, znikwały z talerzy kęsy pachnące morzem i suszonymi ziołami. Wokół dźwięczała włoska mowa, śpiewał tenor o doskonałym, nie szkolonym głosie, siedzący przy stoliku przy oknie. Śmiały się czarnowłose dziewczyny o oczach koloru węgla.

- Potrzebuję pomocy - wrócił do rozmowy Achim, odkładając widelec. - Nie znam polskiego, a jest parę broszur, książek i ulotek przygotowanych do rozpowszechniania w waszym kraju. Ci ludzie działają, choć nie jest to zgodne z prawem. Widzi pani, w Niemczech ulotka dopuszczona do obiegu musi być opatrzona nazwiskiem osoby lub nazwą organizacji, adresem i telefonem. Wilki Mengelego działają w ukryciu. Wiem z wiarygodnych źródeł, że od czasu do czasu odbywają się w Polsce różne „festyny”. Także na Górze Świętej Anny. My wiemy, że biorą w nich udział neofaszystowskie bojówki. Grupki młodych Niemców poubieranych w jednakowe stroje. Na przykład białe koszule z marynarskimi kołnierzami, przepasane wąską trójkolorową szarfą. Najniebezpieczniejsi są jednak ci w granatowych bluzach z naszytymi na rękawach „tajemniczymi” emblematami - czerwonymi na czarnym tle. Mają przypięte do pasa noże - stare faszystowskie sztylety z doskonale widoczną swastyką.

- To młody narybek Wilków Mengelego?

- Tak. Przywożą ze sobą ulotki z odezwami do Niemców na Śląsku, Pomorzu, w Poznańskim, w Prusach Wschodnich i Zachodnich. Proszę - wyjął z kieszeni urwany skrawek papieru. - Może się pani zorientować. Jest po polsku.

Lilka nakryła dłonią posunięty po serwecie papier. Wszystkie wielkie partie oraz Sity Zwycięskie Drugiej Wojny Światowej uznały linię Odry i Nysy Łużyckiej za niemiecką granicę wschodnią. Wy jednak nie zostaliście zapytani o zdanie. Zostaliście zdradzeni i sprzedani! Ale my stoimy na straży. Nowe Niemcy powstaną z gruzów. Testament Adolfa Hitlera zwycięży. Potrzebujemy czasu i Was! Pomóżcie nam stworzyć nowy ład w Europie. Precz z socjalistami! Precz z liberalizmem żydowskim! Z żydokomuną! Za odebrane im pieniądze zbudujemy nowy świat. Polacy! Wstańcie! Weźcie sprawy w swoje ręce. Studiujcie nasze książki i broszury, podawajcie je dalej! Czytajcie pamiętniki Goebbelsa - Nowy Testament Adolfa Hitlera! Razem zbudujemy świat ładu i porządku! - Potrząsnęła głową jak człowiek, który chce zrzucić jakiś ciężar z barków. Spojrzała na Achima.

- Nie do wiary. Dużo tego rozrzucają w Polsce? Mężczyzna nalał wina. Butelka była pusta.

- Przygotowali parę kontenerów na monachijskim lotnisku. Ale są ludzie, którzy nie dopuszczą do ich wysłania. Nie tylko do Polski. Również do Francji, Włoch, krajów bałtyckich i na Ukrainę. Cała dobrze zorganizowana siatka. - Nie dodał, że on, Kret, całą tę siatkę zna na pamięć. - Chcę, żeby mi pani tłumaczyła niektóre materiały. Czasem tylko fragmenty. Oczywiście nie za darmo. Mam fundusz...

Machnęła dłonią.

- Nie mówmy o pieniądzach, ja...

- Proszę posłuchać - przerwał, bo wiedział, co usłyszy. Te wszystkie komunały o miłości ojczyzny, ofiarach dla kraju i tym podobne. Cenił sobie wierność przekonaniom, ale dobrze, bardzo dobrze wiedział, że ludzie odpowiednio opłacani, jak on sam, są o wiele skuteczniejsi i... bezpieczniejsi. - Wiem, co pani czuje. Ale są formy obowiązujące we współpracy z nami. Musi pani zmienić mieszkanie, sposób życia... nie, nie zrywać



z teatrem. To byłoby podejrzane. Dla naszych szpicli z Federalnego Urzędu Kryminalnego czy też pańienek z Biura Pełnomocnika do Spraw Cudzoziemców. Trzeba działać jak dotąd, zmniejszając zakres obowiązków. Będzie pani miała niewidocznych aniołów stróżów. Za pracę jest u nas płaca. To nasz warunek. Żądamy całkowitego podporządkowania się. Materiały będzie pani otrzymywać i przetłumaczone oddawać w sposób, jaki ustalimy. Oczywiście to wszystko jest ściśle tajne. Przed Albertem także. Przykro mi...

- Nie musi być panu przykro. Zgadza się. - - Jeszcze jedną butelkę?

Skinęła głową. Miała wesołe oczy. Chyba po raz pierwszy od dwunastu lat.

- Trzeba to oblać.

Uśmiechnął się. Nie musiał się oszukiwać. Chciał pić wino z tą kobietą. Mógłby się nawet z nią kochać. Bez zobowiązań. Jak zawsze.

- Ale nie tu. Zapraszam panią na porządną kolację. Jutro o ósmej. Podjadę pod lodziarnię po przeciwnej stronie ulicy. Dobrze? Ci mafiozi są obserwowani przez policję.

- A pan? - spytała ukazując w uśmiechu białe zęby.

- Co: ja?

- Czy pan też jest obserwowany przez BKA?

Przeczesał dłonią krótkie, gęste włosy. Jego szare oczy rozbłysnęły iskierkami humoru.

- Staram się schodzić im z drogi. Tym bardziej, że na oko są to zwyczajni ludzie jak pani i ja. I dlatego tak trudno ich rozpoznać.

- Pan potrafi.

- Tak - zgodził się wstając. Odsunął jej krzesło, poczekał, aż zgarnie torbę, - Jutro proszę być spakowaną. Wszystkie rzeczy. Zawiozę panią do nowego mieszkania: dwupokojowe,

w centrum. Żadnych ciekawskich dozorczyń, całkowicie urządzone i opłacone. Właśnie jest wolne.

Nie powiedział, że zwolnił je człowiek, który nie żył. Zginął w Paryżu. Był jednym z nich. Rzadko używał tego mieszkania. Tylko wtedy, gdy miał tu sprawy do załatwienia. Pewnego dnia wyłowiono jego zwłoki z Sekwany. Był Polakiem i nazywał się Michał Karat. Robił dobrą robotę. Niestety bardzo niebezpieczną. Pewne ogniwo pękło i trzeba je na nowo zespawać. Póki łańcuch mocny, póty świat bezpieczniejszy. Ale tego nie musi wiedzieć ta kobieta o piwnych oczach.

- Dobrze - powiedziała wychodząc. - Zaraz zacznę pakowanie. Do widzenia. Do jutra.

\*\*\*

Monachijska prasa rzadko zajmuje się lokalnymi sprawami, to jednak, co się wydarzyło na nowym lotnisku, zaciekało nie tylko policję. Także dziennikarzy.

Wczoraj, przez nieuwagę obsługującego cargo pracownika lotniska, rozbity został kontener załadowany trzystu tysiącami egzemplarzy zabronionej do rozpowszechniania książki Gerda Honsika pod tytułem „Uniewinnienie dla Hitlera”. Przesyłka przeznaczona była dla polskiej Fundacji Miecz. Drugi, zajęty przez policję, z tym samym „dziełem” w języku francuskim polecieć miał Lufthansa do Paryża. Książki, wydrukowane w Hiszpanii, nadane zostały przez niemiecką organizację faszystowską Narodowa Alternatywa. Wysoki urzędnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który nie zgodził się na podanie nazwiska, twierdzi, że zjawisko nie przybrało jeszcze takich rozmiarów, by nie można było go opanować. Nie należy dopuścić jednak do przekroczenia pewnej „granicy bezkarności”, bariery psychologicznej, która może stać się psychozą i wywołać trudne do naprawienia konsekwencje wewnętrzne i zewnętrzne.

Kret czytając to uśmiechał się z uznaniem. - Dobra robota! Przerzucił jeszcze inne tytuły, by zorientować się, jak bardzo Niemcom jest wstyd. Znany komentator polityczny, Kurt Rosner, pisał: Hitleryzm to nie wyłącznie zjawisko niemieckiej propagandy, a Polacy nie są jedynymi jego ofiarami. Zawsze u nas istniał, a w czasach honeckerowskich również w byłej NRD, silny, choć ukrywany, potencjał neonazistowski - także jako odpowiedź na system, SED i FDJ. W socjalistycznych władzach i środkach masowego przekazu nie brakowało dawnych członków hitlerowskiej NSDAP - przerwał czytanie.

- I tak zawsze wszystkiemu będzie winien Stalin! - mruknął. - A na Górze Świętej Anny spokojnie śpiewać się będzie Horst Wessel Lied.

Achim nalał sobie kawy. Teraz należy zabrać się do likwidowania magazynów z tym świństwem. Od jakiegoś czasu dobrze znam ich rozmieszczenie. Do roboty! Wypił duszkiem filiżankę gorzkiej neski z odrobiną śmietanki w proszku. Nie chciało mu się robić zakupów, choć supermarket był w odległości trzystu metrów. Ale sama myśl o tym, że należy wziąć wózek, wjechać pomiędzy kilometry półek uginających się od wszelkiej żywności, znaleźć dział nabiałowy, grzebać w dziesiątkach opakowań z mlekiem i śmietaną... nie! Już woli granulat w kolorze tapety, o smaku proszku do mycia zębów. Trudno. Jest, był i będzie leniwy. I nie ożeni się tylko dlatego, by mu na śniadanie podawano, jak w dzieciństwie, kakao z pianką. Chwycił w locie kluczyki samochodowe, zbiegł po kilku stopniach na parter i przytrzymał ciężkie oszklone drzwi przed Frau Reinhardt. Starą, brzydką i podsłuchującą sąsiadką, której nie cierpiał. I o której wiedział, że nie cierpi jego.

- Piękny dzień, pani Reinhardt!

- Jak dla kogo! - odburknęła ciągnąc smycz z opierającym się wszystkimi łapami ratlerkiem. Był tak samo brzydki jak jego pani. I tak samo miał ochotę ugryźć Achima w łydkę.

Punktualnie o dwudziestej zaparkował starego volkswagena garbusa pod lodziarnią na Wilhelmstrasse. Liliana czekała na chodniku. Dwie walizki w dużą szkocką kratę i torba z nie dopiętym zamkiem błyskawicznym świadczyły, że przeprowadzkę potraktowała naprawdę poważnie.

- Nie trzeba było samej tego dźwigać! - zreflektował się poniewczasie.

- Nie taszczyłam tego sama. Pomógł mi syn sąsiadki.

Ładował walizki do niewielkiego bagażnika. Specjalnie podjechał takim starym gruchotem, nie rzucającym się w oczy.

- Co jest w tej torbie? Piekielnie ciężka!

- Trochę książek, porcelany, opiekacz do grzanek i żelazko. Nie dorobiłam się w Republice Federalnej. Ale ostrożnie! Tam są moje ukochane ćmielowskie filizanki. Przywiozłam je dwanaście lat temu i nie stłukłam.

- Ja też tego nie zrobię - wysapał mocując się z drzwiami.

- Ustawię na tylnym siedzeniu. I postaram się nie hamować zbyt ostro.

Nie pytała o adres. Usiadła obok niego, zapięła pas i zamknęła oczy. Zaczyna się nowy etap - pomyślała. Ciekawszy niż poprzedni. Bez strachu, stresów i podchodzącej do gardła samotności wśród ludzi. Teraz ktoś się będzie o nią martwił.

Nagradzał, jak zasłuży, i ochrzani, jak coś sknoci. Ale będzie czuwał. I ona będzie miała o kim myśleć. Ten mężczyzna o szarych oczach i brzdach na policzkach przyciągał jak magnes. Pomyślała, że mogłaby z nim być. Bez zobowiązań. Już za sobą miała okresy zauroczenia, nie

spełnionej miłości, zbyt wiele słów bez pokrycia. „Bardzo cię kocham, Li - mawiał Krzysztof wtedy, gdy już ze sobą sypiali. Chodził nerwowo wokół stołu paląc jednego papierosa po drugim. - Bardzo cię kocham, Li!" I zniknął pewnego dnia bez słowa. Jak zniknął z życia Zochy, Karoliny i paru innych, mniej ważnych. Bo Krzysztof nie umiał odchodzić elegancko. I niezbyt wiedział, co to jest miłość. Przywiązanie, ciekawość, seks w niedzielę od dziesiątej do dwunastej lub w dzień powszedni od szesnastej do osiemnastej. Dlaczego myślę właśnie o nim? Przecież później byli inni. Chyba dlatego, że przypomina mi młodość. Tunezyjskie wino gelala pite z musztardówek. To było sto lat temu. A może nigdy?

Samochód sunął środkiem ulicy. Chodnikami przewalał się tłum. Achim zaparkował w małej uliczce na tyłach kościoła. Duża szara kamienica z apteką na parterze. Obok parę sklepów i Maroquinerie - wystawa z przedmiotami proveniencji orientalnej.

Schroder wyładowywał bagaż.

- Zostań tu przy torbie z ukochaną porcelaną. Ja pójdę na górę otworzyć balkon. Niech się tam trochę przewietrzy.

Skinęła głową. Z parterowego mieszkania dochodził dyskretny głos telewizora. Świat rzucał ludziom swoje brudy wprost na talerze ustawione do kolacji. Jak co dnia o tej samej porze.

Wrócił Achim. Uśmiechnął się, objął Lilianę za oba ramiona i skierował do wyłożonej marmurem klatki schodowej. Pachniało płynem do czyszczenia.

- Wysoko? - spytała zauważywszy brak windy.

- Drugie piętro - odparł z połowy podestu.

Mieszkanie miało prawie sześćdziesiąt metrów, kuchnię o dwóch dużych oknach i łazienkę w granatowych kafelkach.

Liliana, jak to kobieta, najpierw zajrzała do kuchni. Duża lodówka, kuchenka z piekarnikiem i cały rząd szafek. Tylko

zasłonki w żółte słoneczniki wydały jej się mocno przybrudzone. Sypialnia i pokój jadalny nie odbiegały od niemieckiego standardu. Meble dość stare, ale wygodne. Ucieszyła się z telewizora.

- Gdyby go tu nie było, musiałabym kupić - uśmiechnęła się niepewnie. - Lubię wiedzieć, co świat ma mi do zaoferowania.

- Wojnę w Jugosławii, strzelaninę w Górnym Karabachu i obławy na Murzynów w Afryce Południowej. Nic nowego. Jest tu także telefon i fax. Tu są klucze! - rzucił je na stół. - Akceptujesz?

Stała na środku pokoju mając u stóp walizki. Wyglądała jak uciekinierka z Bośni, która boi się nieznanego.

- Dobrze jest mieć coś własnego. A nie tylko wynajęty pokój. Dawno nikt tu nie ścierał kurzu.

Dawno? - pomyślał Achim. - Michał był tu po raz ostatni przed miesiącem. Ale może nigdy nie widział kurzu? Źle, że zginął tak niepotrzebnie, stary druha. I tak paskudnie. Nawet nie wiem, gdzie jest twój grób. Ale nigdy nie złożę na nim wiązanki kwiatów. Tak to jest, Michale, że gdy ginie, nasze ciała nikogo już nie obchodzą. Jesteśmy coś warci żywi. Tylko żywi.

Otworzył drzwi do sypialni. Sprawdził szafę.

- Tu jest koc i poduszka. Resztę gdzieś znajdziesz, w komodach. Rozejrzyj się po mieszkaniu. Masz teraz dużo czasu. - Wyjął z kieszeni książeczkę czekową. Położył ją obok kluczy. - Na twoje nazwisko. Co miesiąc będzie do banku wpływała suma trzech tysięcy marek. Na osobiste wydatki. Mieszkanie i telefon są opłacone. Jesteś polską kuzynką, zajmującą chwilowo mieszkanie należące do niejkiej Frau Kohler. Właścicielka bawi od jakiegoś czasu w Australii u wnuków. Zapamiętasz?

Skinęła głową. Słowa docierały do niej z pewnej odległości. Spoza szumu krwi. Przez mózg przelatywały falami wspomnienia: Kraków, ucieczka w ulewną noc, szlaban zlany deszczem i służba graniczna wpatrująca się w granatowy paszport. Stempel i szosa. Długa droga we mgle i świeży zapach mokrych drzew. Rozjarzone miliardami świateł mijane miasta. Smutek i zaciekawienie, zmęczenie i radość z wolności. A potem piwo grzane z korzeniami w przytulnym, ciepłym wnętrzu piwiarni „Pod Starym Słoniem”. Pokój po nieboszczce, pełen starych fotografii, i szuranie męskich stóp za zamkniętymi drzwiami.

Lilka nie wiedziała, jak to się stało. Ale sekundę później rzuciła się w kierunku stojącego mężczyzny. W krótkim spazmie przyłgnęła ustami do szorstkich, rozchylonych warg. Wtulała się, wkręcała w rozpiętą koszulę, aż poczuła kojące ciepło bijące z jej wnętrza.

Nie przygotowany, zaskoczony wziął ją przypartą do ściany. Jak dziwkę.

\*\*\*

Kameleon, hamując narastającą wściekłość, rzucał do słuchawki krótkie, urywane słowa.

- Co to za idiota, ten polecony przez was Gruber?

Po drugiej stronie milczał zdenerwowany mecenas Willi Knopf. Czytał w porannej bońskiej prasie o zdarzeniu na lotnisku Erdinger Moos. Nie mógł zrozumieć, dlaczego członek organizacji, specjalnie szkolony, pił w pracy alkohol i spowodował wywrotkę widłowego podnośnika tak niezdarnie, że przygotowane do załadunku lotniczego kontenery zostały doszczętnie rozbite.

- Może to... prowokacja? - wtrącił.

- Jaka prowokacja! - wrzasnął Kameleon, - Rozwalił cztery kontenery! Dwa z naszą przesyłką i marokańskie pomarańcze do Danii. Miał we krwi ponad dwa promile.

Policja z lotniska odwiozła go do szpitala z rozbitą głową i złamaną nogą. Jego życiu nic nie zagraża, ale ten człowiek jest spalony. I wszystkie nasze przesyłki na monachijskim lotnisku! Raz na zawsze!

- Skąd pan dzwoni? - denerwował się prawnik.

- Proszę mi oszczędzić niemądrych pytań! - głos Kameleona był lodowaty. - Telefon sprawdziłem. Ja się bardziej narażam niż pan, mecenasie Knopf. Będę wdzięczny, jeśli to sobie dobrze uświadomicie. Po tej historii musiałem wstrzymać wysyłkę dla Air France do Paryża i Lufthansy do Berlina. Zostają TIR - y. Transport o wiele mniej bezpieczny. Od jakiegoś czasu celnicy boją się brać łapówki. Dostał pan spis magazynów przygranicznych?

- Tak - mruknął Knopf. - Bardzo dobra sieć. Moi klienci są zadowoleni. Proszę wybaczyć tę wpadkę na lotnisku. Wiem, że chwilowo należy zawiesić transporty. Prasa podniosła zbyt duży krzyk. Gruber nigdy już nie wróci do pracy. Możemy posłać Klingera...

- Nikogo! - odpowiedź Kameleona była krótka. - Bez mojej wiedzy i zgody nikogo! Są jakieś nie znane mi przecieki. Wasi ludzie mają zbyt długie języki. Jeszcze jedna wpadka i zrywam umowę. Zbyt wiele ryzykuję!

- Proszę tego nie mówić - szepcze Knopf. - Z pokoju, gdzie pracuje Helga, nie słychać już maszyny do pisania. - Liczymy na pana.

- A zatem zgodnie z instrukcją należy przesłać cały transport do magazynu w wynajętym przez waszych ludzi domu. We Frankfurcie nad Odrą. Mam nadzieję, że to potrafcie. I niech ktoś tego pilnuje.

- Oczywiście... ale muszę kończyć rozmowę...

Kameleon bez słowa odwiesił słuchawkę. Miał nadzieję, że kilka dziesięcotonowych TIR - ów marki Volvo dowiezie książki, płyty i materiały propagandowe do domu z czerwonej



cegły, stojącego niezbyt daleko, tyle ile trzeba, od polskiego szlabanu. Sam ostatnio dokładnie sprawdził, czy pomieszczenie jest dostatecznie suche. Było w sam raz. Dobrze, że wynaleźli je ludzie Knopfa! - pomyślał. - Gdyby znów ktoś nawalił, zmywam się, natychmiast!

Przesunął dłonią po zaroście. Może rzeczywiście należałoby się pozbyć brody? Nie, jeszcze nie teraz. Kiedy wykona zadanie do końca. Wtedy będzie musiał całkowicie zmienić image. I chyba wynieść się na jakiś czas z Niemiec. Konto w szwajcarskim banku wystarczy, by żyć na normalnej stopie. Niezbyt może wytwornie, ale spokojnie.

Telefon, z którego rozmawiał z Bonn, był zainstalowany w jednym z pokoi biura maklerskiego Hoffnerów. Od dawna pozbyli się możliwości podsłuchu. Biuro pracowało dla szefa policji i od czasu do czasu pomnażało jego niezbyt wielkie apanaże. Szefowi policji, bardziej niż komuś innemu w tym mieście, zależało na tajemnicy.

Kameleon wiedział o tym od dawna. I bez skrupułów z tego korzystał. A że działo się to pod nieobecność urzędników, to już nikogo nie powinno interesować. Do biura maklerskiego wchodziło się od frontu, gdzie strażnicy zmieniali się co osiem godzin, lub przez magazyn farmaceutyków w sąsiedniej kamienicy. Między magazynem a kancelarią były ciężkie metalowe drzwi zawsze zamknięte na sztaby i kłódki. Zawsze. Z wyjątkiem tych nielicznych chwil, kiedy Kameleon musiał wykonać parę telefonów.

Wstał z wygodnego obrotowego krzesła przy nowoczesnym białym biurczku sekretarki, o której tylko tyle wiedział, że ma na imię Gunnar i jest jasnowłosą Szwedką. Rzucił okiem na cichutko pracujący fax z wiadomościami z londyńskiej giełdy. Dostrzegł spadek akcji „Globu” i zwyżkę stalowni w Zagłębiu Ruhry. Ale to go specjalnie nie interesowało. Otworzył drzwi skomplikowanym kluczem i

cicho za sobą zatrzasnął. Założenie sztab nie wymagało większego wysiłku. Jak również wydostanie się na ulicę. Chwilę stał przed wystawą drogiego sklepu z fajkami i tytoniem. Potem szybkim krokiem podszedł do szarometalicznego volkswagena golfa. Wciskając się na siedzenie, dojrzał w lusterku czarnego mercedesa stojącego przy tym samym krawężniku. Uśmiechnął się włączając starter.

- Starzy znajomi! - wymruczał ruszając. - Chcecie mnie wciąż sprawdzać, panowie Korsykanie? Wasz szef, Leloup, będzie bardzo niezadowolony, gdy wam zniknę z oczu.

Czarny mercedes jak cień ruszył za volkswagenem. Jakiś czas jechali blisko, dopiero na Gardensallee Kameleon przyspieszył. Zjechał na lewy pas przed światłami na skrzyżowaniu, zanim tamci zdążyli zrobić to samo. Skręcił koło banku, frunął w małą uliczkę, oznakowaną „Droga bez przejazdu”. Ale nie zahamował. Ani się nie zatrzymał. Mały golf doskonale, jak mawiają kierowcy: „na lakier”, zmieścił się pomiędzy dwoma wmurowanymi słupkami i wjechał w podwórze, z którego teoretycznie nie było wyjazdu. Dla tego, kto nie znał tej dzielnicy i starych domów. Ale Kameleon je znał. Jak również ruchomy płot z falistej blachy dający się odsunąć. Wydostał się na małą zadrzewioną alejkę prowadzącą do placu Alberta. I dalej. Gdzie komu trzeba.

Czarny mercedes nie miał żadnych szans. Trzeba by go na rękach przenosić Ponad betonowymi zaporami. A na to siedzący w środku trzech mężczyzn nie mieli większej ochoty.

Kameleon wprowadził golfa do warsztatu i wysiadł. Przysadzisty, rudawy Gunter Podniósł głowę w oszklonym kantorze. Odebrał dwieście marek i życzył dobrej drogi.

Mężczyzna z bródką pozdrowił go uniesieniem dłoni. Nie musieli ze sobą rozmawiać. Mały, biały fiat uno zapalił od

razu. W radiu nadawano najnowsze wiadomości. Kameleon wzmocnił głos.

Wiele można powiedzieć o niemieckiej policji, ale nie o tym, że ma nieudolnych szefów - ironizował niski baryton znanego komentatora. - A jednak po tylu latach walki nie udało się niemieckiej policji wyeliminować terrorystycznych grup działających na terenie naszego kraju. Czyżby neonaziści stali się przebieglejsi? Czy też szefowie policji popełniają błędy? A może znowu spisek Stasi? Alfons Herbert twierdzi, że Stasi zawsze opiekowało się ludźmi o hitlerowskiej przeszłości. „Emerycy” otrzymywali po piętnaście tysięcy marek zachodnich w formie zapomogi, mieszkania typu M2 i fałszywe nazwisko. Młodszych, często ich synów, szkolono niedaleko polskiej granicy. Instruktorzy Stasi pokazywali im, jak strzelać z rakiet przeciwczołgowych. Tak było jeszcze w roku osiemdziesiątym pierwszym. Tak się dziwnie złożyło, że kilka miesięcy później „terrorysty” zaatakowali tą samą bronią amerykańskiego generała w RFN...

Kameleon przeszedł na falę Radia Luxemburg nadającą muzykę taneczną. Był już na rogatkach miasta. Za chwilę wyskoczy na obwodnicę i jeszcze bardziej doda gazu. Miał dość sensacji. Dla niego nie były niczym poza codziennością.

Poczuł głód. Nie chcąc się zatrzymywać na posiłek, wyłuskał ze skrytki zapakowaną kanapkę z indykiem i nie zdejmując lewej dłoni z kierownicy zrzucił pergamin. Jadł małymi kęsami dokładnie żując. W dzieciństwie matka mawiała: „Jedz tak jak Churchill! On każdy kęs żuje trzydzieści trzy razy! I dlatego wygrał dla Brytyjczyków wojnę!” „Może i wygrał - odpowiadało dziecko - ale Brytyjczycy go nie wybrali na premiera! I żuje sobie teraz trzydzieści trzy razy to swoje grube cygaro! Tylko że nikogo już to, mamó, nie obchodzi!”

Wielopasmowa szosa nie była dziś zatłoczona. Białe uno szybko zmierzało do celu. Po stu kilometrach zjechał w prawo. Najbliższy drogowskaz pokazał jeszcze dwadzieścia. Biały dom z czerwonym dachem prześwitywał pomiędzy starymi kasztanami. Kameleon znał szyfr elektronicznej bramy. Rozwarła się przepuszczając go na podjazd. Drzwi garażu też otworzyły się bezszmerowo. W lewym oknie na piętrze paliło się światło. Kobieta, która robiła na drutach jasnofioletowy szal, uśmiechnęła się słysząc znajome kroki na schodach. Wstała z trudem z fotela. Ujęła kule pod pachę i postąpiła krok naprzód.

- Jesteś, synu - powiedziała z wielką miłością, gdy przypadł do jej rąk. Pogładziła go po włosach, bez zdziwienia przyjmując widok niewielkiej, dobrze przystrzyżonej bródki. Ostatnim razem jej nie miał. Nie dziwiła się niczemu już od dawna.

- Kocham cię, mammo! - wymruczał przytulając twarz do jej srebrnych włosów. - Mam nadzieję, że masz trochę tej pysznej zapiekanki z makaronu?

\*\*\*

Karolina wyszła z podziemi metra tuż przy operze. Uwielbiała widok, jaki roztaczał się na Avenue de l'Opera aż po Place du Theatre Francais. Wszystkie domy jednakowej wysokości, pokryte cynowymi dachami, ozdobione takimi samymi balkonami kutymi w żelazie. Wieczorami rozbłyskiwały światłami w kolorze białym i żółtym, bo tylko takie są tu dozwolone od końca ubiegłego stulecia. Zajrzała do kilku biur podróży, by sprawdzić, jak się zmieniły ceny wycieczek od ostatniego razu. Niestety, znów podrożało. Skręciła w rue de la Paix, przeszła pod arkadami placu Vendome. U Boucherona zapamiętała platynowy pierścionek z brylantową rozetą, u Cartiera cudownej piękności diadem, u Chaumeta i Mauboussina bransolety z białymi szafirami,

najdroższymi na świecie. Uśmiechnęła się nie znajdując cen. I tak nigdy bym tego nie włożyła! - pomyślała przyglądając się własnym palcom, na których nie było nic poza szeroką, płaską, ażurową obrączką kupioną dwadzieścia lat temu u jubilera we Florencji. Kiedyś, przez jakiś czas, spodziewała się klejnociku od Krzysztofa. Obiecał jej „Blauweiss”. Ale nigdy nie kupił. Jeszcze jedna z nie spełnionych obietnic. Podejrzewała, że żal mu było pieniędzy. I chyba nie był pewien, czy warto w nią inwestować. Skupował sztabki złota, które ukrywał pod podłogą w łazience, czy też w ścianie za kafelkami. Już nie pamięta. Aż żal, że nie została jej po nim żadna pamiątka, jeśli nie liczyć rosyjskiego żelazka, które się natychmiast zepsuło. Cóż, dziś mogłaby kupić sobie brylant, ale nie przyszłoby jej to do głowy. Jak również zasilanie własnymi pieniędzmi banków, które właśnie mijała: Westminster i Rotszyldów. Rzuciła okiem na fronton hotelu „Ritza”. Zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, jak Christa zamierza zorganizować tu największy w tym sezonie pokaz mody! Trochę jej przeszkadzała wzniesiona na środku kolumna Vendome. Gdzieś czytała, że na szczycie stał niegdyś posąg Napoleona w płaszczu redingote! Podobno, jak jej opowiadali, zburzył go wraz z całą kolumną francuski malarz Gustave Courbet. A potem wersalczycy postawili artystę przed sądem i skazali na odbudowanie zabytku za własne pieniądze. Zrobił to, ale zaraz potem umarł w nędzy, kompletnie zrujnowany. Artyści zajmujący się na co dzień polityką nigdy na tym nie wychodzili dobrze. Nie tylko w Paryżu.

Wśliznęła się w ulicę Castiglione. Była u celu.

- No, jesteś nareszcie! - mruknęła Maria na widok wchodzącej.

Wygląda jak mumia z grobowca faraonów! - pomyślała Karolina, całując pomarszczony policzek „największej krojczyni wszechczasów”, jak ją nazywano w branży.

- Przecież wcześniej nie chciałaś mnie widzieć! - wymruczała do ucha pachnącego mydłem dziegciowym.

- I dalej nie chcę! Tak mi pokomplikowałaś suknie, że aż mi ciśnienie wzrosło. Już zjechałam do stu, a dziś sto czterdzieści!

Karolina usiadła na jednym ze złoconych pufów. Nie wiadomo dlaczego Pirania wzorowała wystrój „Christy” na saloniku Coco Chanel. Całe szczęście, że nie ma tu berżer obitych białym jedwabiem i płowych kanap jak te w mieszkaniu na 31 rue Canbon. Ani tamtejszych lustrzanych schodów.

Maria miała na sobie swój słynny strój do pracy: szeroki fartuch w białe - szare paski, z przyczepioną na piersi pluszową poduszczką w kształcie serca. Wbijiała tam masę szpilek i długą igłę z czarną nitką. Przy pasku, niby pęk kluczy, wisiało na tasiemkach sześć par nożyczek. Od największych do najmniejszych. Co mieściło się w obszernych kieszeniach - nie wiedział nikt. Chyba nawet sama właścicielka.

- Pewnie chciałabyś coś zobaczyć? - wymruczała dając dłonią znak dziewczętom. - Z tych najlepszych są w tej chwili tylko Patrycja i Sara. Nasz najnowszy nabytek.

- Skąd? Kostaryka czy Filipiny?

Karolina wiedziała, że wszystkie modelki domu „Christa” są cudzoziemkami. Podobno figury Francuzek się nie nadają. Szczególnie nogi. Mają „szparę” pomiędzy udami zwaną w Paryżu „cnotą w nawiasie”. To jest duży defekt, gdy trzeba zademonstrować wąskie spodnie. Do kostiumów kąpielowych najlepsze są Angielki. Do wieczorowych sukien Murzynki.

- Sara przyjechała z Mauritiusa. Słyszałaś o takim miejscu?

Karolina roześmiała się. Czy słyszała? Z Mauritiusa pochodziła legenda lat trzydziestych: tancerka Josephine Baker.

- W takim razie jest czarna jak dno patelni - westchnęła. - Moje suknie są dla Europejek. Kolorystykę przewidziałam raczej dla białej karnacji.

- Rasistka! - warknęła Maria. - Ale mogę cię pocieszyć. Sara jest córką tamtejszego konsula Holandii. Ma ciało różowe jak prosiak. Sama ją wybrałam do kolekcji. Siadaj na kanapie i weź do ręki szklankę wody.

- Żeby nią cisnąć o ścianę?

- Żeby się napić, jeśli będzie coś nie po twojej myśli. Jak wiesz, nie jestem byle szwaczką z poddasza, umierającą na gruźlicę. Tylko mistrzynią kroju. Rysunek jest dla mnie wyłącznie inspiracją. A cały kunszt, forma i kolor i tak idzie na twoje konto. - Klasnęła w dłonie. Za drzwiami rozległ się szmer głosów. - Wchodzić!

Karolina siedziała spocona ściskając kciuki. Nie widziała twarzy modelek, ich rąk i nóg. Wchodziły, okręcały się vis - a - vis ogromnego kryształowego lustra ukazując wszystkie elementy kroju, faktury tkanin, ale przede wszystkim kolory. Przed jej zachwyconym wzrokiem defilowały białe i granatowe kostiumy o wciętych w talii, średniej długości żakietach, zapinanych na złote guziki, krótkie spódniczki z fałdami plisowanymi z przodu, gładkie suknie w odcieniu parmeńskich fiołków, jasnego błękitu i słonecznikowej żółci, ściśnięte paskiem z zamszu, obrzeżonym złotym lub srebrnym metalem. Dwustronne wełniane marynarki, żakiety i spódnice, białe - czarne kostiumiki wykończone lamówkami ze złotej skóry. Potem, znów wracające do łask, spodniemy z krepdeszynu o mlecznej barwie, z jasnoniebieskimi bluzkami

w motywy chmurek na letnim niebie. W końcu owe słynne „szarlotki” - sukieneczki w kratkę, z tkaniny używanej na weekendowe obrusy, obrzeżone czarną lub białą lamówką. A na koniec pomysł szokujący nawet w Paryżu: bogato haftowany... kostium kąpielowy. Sara - Holenderka z Mauritiusa, wyglądała w nim nieprzyzwoicie sexy.

Teraz dopiero Karolina odetchnęła. Zdała sobie sprawę, że przez cały czas miała mocno zaciśnięte usta i palce, a w przetyku kulę, która wydawała się podchodzić do gardła.

- Gdzie... ta woda? - wyszeptała próbując nieudolnie rozprostować ścierpnięte palce.

Madelaine, pomocnica Marii, przyzwyczajona do podobnych reakcji projektantek podała jej szybko szklaneczkę whisky z wodą sodową. Pomogło.

- No i co? - spytała szorstko Maria, cały czas stojąca na uboczu i dokładnie lustrująca każdy szczegół.

- Genialne! - wysapała Karolina. - Z czego były te sukienki owocowe?

- Krepa, mleczny szantung, bawełniana satyna. Do tych twoich kratek dojdą jeszcze kapelusiki - kanotierki.

- Jak z obrazów Maneta?

- Dokładnie. Inni pokazali w sezonie same grochy. Już się przejadły. Szczególnie groszkowane spodnie i buty. Mamy jeszcze do zrobienia spodniom z delikatnej skórki. Nie znalazłam w hurtowni takiego koloru, jak chciałaś: dymu z papierosa. Co zrobimy?

- Trudno. Nie będzie go.

- Ives jeszcze poszuka. Obiecał. Teraz chodź do pracowni. Napijemy się kawy.

Karolina wstała czując miękkość kolan. To słynne: „Napijemy się kawy” - zawsze kończyło roboczy pokaz kolekcji. W zagraconej do nieprzytomności pracowni Marii, pomiędzy belami zadrukowanego jedwabiu, podszewek i



organdyń siadało się na zwykłych taboretach z obłazącymi płatami farby i piło kawę z grubych porcelanowych kubków. Kawę słodką i mocną jak Arabia, z której pochodziła.

- A propos twoich krutek obrusowych, Christa wróciła z Nowego Jorku z wiadomością, że kompletnie padły tam lansowane na jesień - zimę szkockie kraty. Ta nowojorska wyrocznia mody, jak jej tam...

- Brenda Landry. Właścicielka firmy Morgan Stanley.

- Tak. Próbowwała wyjaśnić powód tej klapy. Napisała, że wygląda się w tym jak koń pod derką!

Karolina parsknęła śmiechem. Dopiero teraz poczuła, że włada nogami i rękami. Piła smolisty napój małymi łyżkami, zapatrzona w szarą, gruzelkową wykładzinę. Elegancja frontonu firmy wcale nie pasowała do części zaplecza. I to nie z powodu skąpstwa właścicielki, lecz niezrozumiałej wprost fanaberii Marii.

- Pirania nie przyjdzie. Robi zestaw kosztów.

- Dużo to wyniesie?

- Czterdzieści pięć minut pokazu? Około czterdziestu modelek, tych najlepszych... ze trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków. „Ritz”, podesty, światła, nagłośnienie - z osiemset. Personel porządkowy, ze trzydzieści garderobianych, dwudziestu fryzjerów i speców od makijażu, cztery... no, może nawet pięć prasowaczek, dwóch własnych fotografów... ze cztery i pół miliona.

- Jezus Maria! - Karolina jęknęła wstrząśnięta.

- A co myślałaś? Zaproszenia, serwis fotograficzny, prasowy, reżyseria całości. To kupa forsy! I jeszcze rajstopy, pończochy? Fortuna!

- Czy to się Piranii opłaci?

- A jakże! Potrzebujemy rozgłosu jak ryba wody! Musi być nas widać na ekranach telewizji. Te modele będą bezbłędnie rozpoznawane na ulicy. Christa już od miesiąca

ustala z reżyserem sekwencję po sekwencji, jak w partyturze. Pokaz mody jest przedstawieniem. Pochłania szalone koszty, ale daje potem motywację do dalszej pracy... o tym się mówi! Taka Sonia Rykiel ma prawie trzysta punktów sprzedaży na całym świecie. To jej daje sukces finansowy. Christa na szczęście jest związana ze starym, dobrym kapitałem niemieckim.

- Niemieckim?

- Powiedzmy prawdę: niemiecko - żydowskim.

- Masz... coś przeciwko temu, Marie? - zdumiała się Karolina. Maria wzruszyła ramionami.

- No... nie żartuj! Ale dziś zaczyna się mówić w Paryżu, że zbyt duże są już wpływy „pewnego kapitału”.

- Jasne! - zaśmiała się Karolina. - Tak mówi wasz Le Pen!

Było jej przykro, że usłyszała to właśnie od Marii. Jedynej osoby, oprócz Christy naturalnie, która być może przyczyni się do jej przyszłej kariery. O ile taką robi. Przypomniała sobie, co matka zwykła była mówić w takich sytuacjach: „Nie martw się, zaraz znów wzejdzie słońce i wszystkie wampiry wrócą do swoich trumien”.

Czy aby na pewno?

Wsiadła do metra na stacji Tuileries. O tej porze dnia było w nim niewiele pasażerów. Za to na Chatelet kłębiły się tłumy cudzoziemców. Ruchomym chodnikiem dojechała do peronu, skąd inny pociąg zabrał ją na Cite. Wyszła na powierzchnię tuż obok kompleksu gmachów prefektury. Chciała parę wolnych chwil poświęcić na wizytę w Sainte Chapelle. Były dwa zabytki w Paryżu, które odwiedzała za każdym razem: Sainte Chapelle w Pałacu Sprawiedliwości i mały, stary kościółek Saint Pierre de Montmartre, gdzie paliła długą białą świeczkę w intencji następnego przyjazdu. Wchodząc z ulicy przez dziedziniec dostrzegła grupę mężczyzn dyskutujących o czymś zawzięcie. Musiała chwilę poczekać, aż ciemne

wnętrze kaplicy opuści spora grupa Japończyków trzaskających fleszami. Kiedy jej oczy przywykły już do mroku, wpatrzyła się zachłannie w cudowne witraże. Dopiero teraz poczuła, jak odpływa poranne napięcie, jak uspokaja się rytm krwi. Schodząc ostrożnie, wpatrywała się w czubki własnych pantofli. Gdy podniosła wzrok, dostrzegła męczyznę opartego swobodnie o mur.

- Jean Paul? Co pan... co tu robisz?

- Pracuję - roześmiał się niefrasobliwie. - Stałem w grupie adwokatów, kiedy wchodziłaś. Zauważyłem cię i już nie opuszczę.

- Nie przypuszczałam, że jesteś jedną z tych prawniczych hien wyrywających ludziom ostatniego franka!

Roześmiał się. Nie był jedną z tych, jak się wyraziła, hien. Ale nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Nie po to z wielkim trudem usadowił tu część swojego biura. Właśnie dlatego, by tak myślano.

- I hieny muszą żyć. Ale nie zawsze tu siedziałem. Byłem także kierowcą, bankierem, nawet pracowałem na planie zdjęciowym...

- Co grałeś?

- Zwłoki!

Karolina ujęła go pod ramię.

- Bym coś zjadła.

- Każdy szanujący się Francuz dawno już zjadł. Co właściwie o nas myślisz?

Karolina dała się prowadzić ulicą do niedbale zaparkowanego samochodu. Dziś to było czerwone renault.

- Myślę, że Bóg stworzył Francję. A że była zbyt piękna stworzył dla równowagi Francuzów.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Nie masz o mężczyznach najlepszego zdania.

- Nie myl mężczyzn z Francuzami!

Wsiadła obciągając nieco kusą spódniczkę. W brzoskwiowym kolorze było jej bardzo do twarzy. Rzuciła torebkę na tylne siedzenie.

- Gdzie?

- Zobaczysz!

Jean Paul zaparkował przy chodniku wąskiej ulicy Mouffetard. Karolina pamiętała z poprzedniego pobytu słynny targ warzywny i świetny sklep z butami, w którym kupiła, prawie za darmo, czerwone czółenka na srebrnym obcasie.

- Jest tu doskonały lokalik, w którym podają cudowną cielęcinę w cieście z pieczonymi karczochami.

- Znam tę dzielnicę. Wydaje mi się jednak, że się trochę zmieniła. Nie odgadnę, na czym to polega...

- Kiedyś były tu kabareciki egzystencjalistyczne... w latach pięćdziesiątych.

Dziś cały Place de la Contrescarpe i sąsiednia Mouffe są od kilku lat jednym z najmodniejszych rejonów Paryża. Ceny mieszkań skoczyły w górę. Domy się remontuje, unowocześnia. Sam chciałbym tu mieć studio.

- A gdzie mieszkasz?

Szedł przodem ciągnąc ją za rękę jak niesforną dziewczynkę, która wrzuciła piłkę pod auto.

- Na drugim końcu świata.

Trochę ją ubodło, że nie chce powiedzieć, ale nie za bardzo. Weszli do restauracyjki o miłym wnętrzu i ostrym, dominującym zapachu mięty. Jej wielkie suszone pęki zwisały pod sufitem.

- Pachnie jak w babcinej kuchni - powiedziała siadając na drewnianej ławie zarzuconej poduszkami.

- Opowiedz o swojej babci - uśmiechnął się kładąc dużą, kształtną dłoń na jej ręce.

Wzdrygnęła się nie cofając wszakże palców. Czowała przepływające ciepło. I spokój. Spojrzała mu w oczy. W tej

jednej chwili uwierzyłaby we wszystko, cokolwiek by powiedział. Nawet gdyby się oświadczył.

- Nie znam swojej babci. Żadnej. Żeby już więcej do tego nie wracać, powiem ci od razu: moja matka i ojciec przeżyli obóz w Oświęcimiu. Ich rodziny zginęły. Rodzice nigdy nie chcieli ze mną o nich mówić. Dlatego mam kompleks babci. Są jeszcze jakieś pytania?

- Tak - odparł poważnie. - Co będziesz jadła?

Zdumiewająca reakcja - pomyślała spłoszona. - Albo nic go to nie obchodzi, albo wprost przeciwnie: z delikatności nie chce drażnić tematu. Zresztą wszystko jedno.

Jedli popijając Bon - Pasteur rocznik osiemdziesiąty drugi. Mówili o pracy, projektach Karoliny, wyjątkowym szczęściu, które postawiło na jej drodze Piranię. O lękach i nadziejach. Patrzyli sobie badawczo w oczy tłumiąc to, co nadejść musiało.

- Co zrobisz, jak już podbijesz Paryż?

- Zacznę podbijać Mediolan. Poprosił o deser.

- Dostaniesz danie, które nazywa się tak jak ty: Charlotte.

- Znam. Sama piekę pyszną szarlotkę na kruchym spodzie. Oburzył się ściągając brwi.

- Przecież to wymyślił nasz mistrz Careme na cześć angielskiej księżniczki Charlotty! Tak jak „Coeur a la creme” - kremowe torciki serowe...

- W Polsce to się nazywa sernik. Z orzechami i rodzynkami! - przerwała oblizując łyżeczkę. To, co jadła, było pyszne.

- Dokąd cię odwieźć?

- Do hotelu. Mam przemożną ochotę na tusz.

- Dobrze. Po powrocie z łazienki zastaniesz coś pod poduszką.

- Co?

- Mnie!

\*\*\*

Było dobrze po szóstej, gdy otworzyła oczy. Pokój przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Od drzwi do łazienki aż po rozkopany tapczan poniewierały się części męskiej i damskiej garderoby zrzucone w ogromnym pośpiechu. Jedna z szarych skarpetek wisiała niczym abażur na nocnej lampce. Spojrzała na leżącego obok mężczyznę. Jego mocne, muskularne ciało wyglądało jak prądkowana zebra: to niezbyt dokładnie zamknięte żaluzje przepuszczały równomierne paski światła.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - wymruczała sennie.

- Rozumiem, że mer miasta wręczy mi medal za pożycie z tobą! - odparł nie otwierając oczu.

- Pożycie? - usiadła objąwszy kolana dłońmi. - Ty to nazywasz pożyciem?

Odwrócił się błyskawicznie, nakrywając ją swoim gorącym ciałem.

- Więc zaczynamy od nowa!

Chłód wdierał się przez półprzymknięte drzwi balkonowe. W kątach pokoju czaił się mrok.

- Zapal lampę - wymruczał z ustami przy jej piersi.

- Wykluczone. Nie wiem, o co ci chodzi.

- O lampę. Robią coś takiego w dwudziestym wieku. Słyszałaś o dwudziestym wieku?

- Nie.

Kiedy się ubierał, ukradkiem zerkając na zegarek, przyglądała mu się przez półprzymknięte powieki. Co teraz zrobi? Sto franków, że mnie pocałuje w czoło i rzuci: „zadzwoń!”

Usiadł na tapczanie. Odwrócił jej twarz, ujął w ciepłe dłonie i mocno pocałował w usta.

- Jesteś moja, Charlotta Stengert. Czy ci się to podoba, czy nie. Ale nie czekaj na telefon. Musisz wiedzieć, że czasem

znikam na długo. I nigdy nie mówię prawdy, gdzie byłem. Więc o nic nie pytaj. To ja będę pytał.

Uśmiechnęła się. A więc przegrałam sto franków! Wyjątkowy fart. I podoba mi się to, co mówi. Chociaż nie brzmi zachęcająco.

- Masz żonę i sześcioro dzieci? - kiedy to powiedziała, miała ochotę spalić się ze wstydu. - Przepraszam...

- Nie mam żony. Dzieci chyba też nie. Ale często zmieniałem kobiety. Czy to wszystko?

- Nie. Jeszcze chciałabym wiedzieć, dlaczego twój Le Pen wydaje płyty z przemówieniami marszałka Petaina i Hitlera.

Jean Paul zatrzymał się zaskoczony.

- On nie jest mój, Karolino! Zapamiętaj to sobie. Kiedyś porozmawiamy i na ten temat. Śpij dobrze.

Drzwi zatrząskują się cichutko. Karolinie nie chce się wstać. Jest zadowoloną kotką, która chętnie mruczałaby do ucha. Ale ucho właśnie wyszło i nie zostawiło adresu. Ani numeru telefonu. Mimo to czuła, że coś dopiero się zaczyna. I że ten mężczyzna może dać jej wiele szczęścia.

Krótkiego i ostrego. Jak sztylet.

\*\*\*

Konferencje prasowe przed wielkimi pokazami mody mają w Paryżu tak długą tradycję, jak sama haute couture.

Dziennikarki z magazynów adresowanych do kobiet i dziewcząt, ale także komentatorzy z „Le Figaro”, „Le Figaro - Magazine” i „Le Monde” tłumnie odwiedzają salę wynajętą na ten cel od tygodnika „Elle”. Stół konferencyjny tonie w bukietach kwiatów specjalnie dobranych. Gatunek nie jest ważny. Decyduje kolor: biały i fioletowy. We wszystkich odcieniach, od anemonów lilaróż aż po ciemny fiolet drobnych, wielokwiatowych ostróżek.

Karolina siedziała za stołem prezydialnym, sztywna z przerażenia. Od lat posługiwała się francuskim zupełnie

swobodnie, ale nigdy dotąd nie musiała w tym języku odpowiadać prawie czterdziestu pytającym. Konferencję, ze swadą, prowadziła Nicole.

- Dziś przedstawiam państwu nową gwiazdę w dziedzinie projektowania: Karolina Stengert z Polski.

Słabe oklaski nie dotarły do jej uszu. Czowała się jak człowiek głuchy, niemy i niedowidzący. Pot cieniutką strużką zaczął spływać zza ucha po szyi aż do dekoltu. Bała się, że wszyscy to zobaczą. Nicole wzrokiem dodawała jej odwagi.

Pierwsza zaatakowała stara i brzydka mademoiselle Clement:

- Czy sądzi pani, że Europa Wschodnia może stanowić jakąkolwiek inspirację dla projektanta?

- Nie stosowałabym tu kryteriów politycznych - Karolina usłyszała swój głos jak z oddali. - Przykładem, od lat, jest Sława Zajcew z Moskwy. A także Christian Lacroix, który zainspirowany krajobrazem syberyjskim zrobił znaną kolekcję futer. - Teraz brawa były silniejsze. - Nigdy Polska nie była odcięta od światowych kierunków. Nawet podczas stalinowskiej nocy. Przywożono wasze tygodniki, potem już można je było kupować. Szyto luksusową odzież prywatnie...

- Czy wzoruje się pani na modzie francuskiej? Karolina uśmiechnęła się wesoło.

- Nie ma czegoś takiego jak moda francuska. W Paryżu pracują Włosi i Japończycy, Chińczycy i Hiszpanie. Można mówić o centrach mody europejskiej jak Paryż czy Mediolan. Ale ostatnio ostro do przodu idą Niemcy. Pokazały to tegoroczne targi w Berlinie.

- Niemcy nigdy nie pobiją francuskiego szyku, esprit...

- Wcale nie jestem tego taka pewna. Proszę zauważyć, co stało się z francuskim filmem.

- Czy pani bardziej popiera Niemców? - spytał dziennikarz z „Der Spiegla”.



- Nie rozumiem pytania - stwierdziła ostro. - Jest pan przedstawicielem Wspólnoty Europejskiej, czy tak? A zatem skąd ten lokalny patriotyzm? Mówimy o sztuce, nie o polityce. Ale tak mówiąc między nami, powinien pan zamówić sobie nowy garnitur. Najlepiej u polskiego mistrza Hanaoki. Ten, który ma pan na sobie, łącznie z krawatem, wyszedł z mody około roku sześćdziesiątego.

Głośny śmiech zagłuszył protesty Niemca. Nicole biła brawo szczerze rozbawiona. Karolina jeszcze przez dziesięć minut mówiła o swoich kolorystycznych tęsknotach, zauroczeniu pejzażem, przyrodą. Nicole dała znak, że czas kończyć.

- Ostatnie pytanie do Karoliny!

Zgłosiła się dziennikarka tygodnika „Priscilla”:

- Czy polskie władze ostrzegały panią przed przyjazdem do Francji? Głośny śmiech osądził pytanie z zamierzchłych czasów.

- Widać magazyn „Priscilla” nie zauważył upadku komunizmu w Polsce - powiedziała Karolina złośliwie. - Ale owszem. Ostrzegali mnie Francuzi: „Nie mów niczego przez telefon, czego nie chciałabyś przeczytać w gazecie, nie rób niczego, czego nie chciałabyś obejrzeć w telewizji”.

Huczne brawa zakończyły jej wypowiedź. Bo Francuzi, co by o nich nie mówić, mają poczucie humoru. Nawet na własny temat.

W małym pokoiku redakcyjnym u Nicole piły mazagran i pojadały ciasteczka z wiśniami.

- Po tym twoim wystąpieniu zasłużyłaś na naszą reklamową plaketkę: BCBG.

- A co to takiego?

- Pierwsze litery paryskiej nagrody w dziedzinie: „Bon chic, bon genre”.

- O, to wielki zaszczyt - upiła łyk.

- A, żebyś wiedziała! Przed tobą wręczyłam ją samemu Armaniemu. Za Prostotę linii i brak wszelkich ozdób...

- Nicole - wyjęczała Karolina - ja już nie mogę. Nie da się żyć wyłącznie wielkością poduszek na ramionach!

- Jest dobry w łóżku?

Oczy Karoliny miały wielkość deserowych talerzyków.

- Kto?

- Jean Paul - odparła Nicole ze śmiechem. - Wiem o waszym romansie od Troya.

Karolina złapała się za głowę.

- Czy w tym mieście ciągle żyją szpiedzy ministra Fouche?

- Są przyjaciółmi, Charlotte. Razem pracują nad trudnymi sprawami. A tak naprawdę to wiesz, co on robi?

- Jean Paul? Mówił, że ma biuro w Pałacu Sprawiedliwości.

- Bzdura! Obaj siedzą po uszy w jakimś wywiadzie. Czy też kontrwywiadzie. Karolina szybko wypła szklanekę wody mineralnej.

- Jak to: w jakimś? Chcesz powiedzieć, że są na usługach Moskwy?

- Moskwy nie, ale głowy nie dam, czy nie pracują dla Amerykanów. W każdym razie Troy. Ma taki akcent jak człowiek, który całą młodość spędził wśród koniokradów w Teksasie.

- Wiesz... nic a nic mnie to nie obchodzi - Karolina odstawia mazagran. - Kocham się z nim w łóżku, a nie na stosie akt kontrwywiadu. To wszystko.

- Na razie - wymruczała Nicole wrzucając do szuflady zdjęcia do nowego numeru. - Ja też tak myślałam na początku. Ale dziś jeden dzień bez Troya strasznie mi się dłuży. Lubię, jak jest ze mną, jak łązi boso po dywanie i za nic nie pozwoli sobie kupić kapci, bo to go frustruje. Lubię, jak chlapie w

łazience i brudzi niezliczoną ilość talerzyków. Jak pozwala łaskawie się karmić i pić.

- A czego nie lubisz?

- Kiedy wychodzi. I nie dzwoni przez dwa dni. Jak teraz.

- Telefon odezwał się z cichym piskiem. - Troy? Gdzie byłeś? Co?

Karolina wstała zabierając torebkę. Cichutko zamknęła za sobą drzwi. Schodząc po schodach zdała sobie sprawę, jak jest zmęczona. Spadło całe napięcie psychiczne. Została fizyczna słabość tak wielka, że Karolina nie była w stanie dojść do stacji metra. Wzięła taksówkę i oparta głowę na szarym pokrowcu.

- Hotel „Victor Hugo”. Rue Copernic, s'il vous plait.

\*\*\*

Z ciemności wyłania się blask. Rozpościera się na szarej płaszczyźnie, rozlewa, ogarniając coraz większą połąć przestrzeni. Dziesiątki, tysiące nieruchomych istot stoją z twarzami skierowanymi na wschód. Do złudzenia przypominają Straż Cesarską, słynnych terakotowych żołnierzy z końmi, ulepionych w Xianie dwa tysiące dwieście lat temu, by strzegli grobu cesarza Quin - Szy - Huana. Karolina boi się i jednocześnie odczuwa szacunek dla ich karności i oddania. Zaraz zjawi się bóg światła. I wtedy Karolina dowie się, co ją czeka. Jeszcze tylko rozwieje się mgła spowijająca jarzące się szaty najwyższego... Telefon brzęczy jak nachalna mucha.

- Słucham... słucham? - jej głos jest schrypnięty.

- To ty, chérie? Mówisz jak zapijaczona ladacznica. Masz kaca?

- Nie. Śnił mi się ktoś najważniejszy...

- Ja? Siada na tapczanie, już całkowicie rozbudzona.

- To był bóg światła. Miał mi przepowiedzieć przyszłość.

Jean Paul milczy przez chwilę.

- Myślałem, że to ja jestem dla ciebie najważniejszy. Szkoda.

- Cholerny męski egoizm! - wścieka się. - Już kiedyś natrafiłam na coś podobnego. Miał na imię Krzysztof. I też myślał, że jest najważniejszy.

- I co się z nim stało?

- Zadzwoił kiedyś przed siódmą rano i ku swojemu zdumieniu usłyszał oprócz mojego inny głos, męski. Od tej pory mam święty spokój.

- Kim był ten... drugi?

- Komentatorem politycznym Radia Wolna Europa. Jego głosem... tylko. Miałam przy poduszce radio, którego słuchałam. Nadawali dziennik. To były burzliwe czasy w moim, i nie tylko, kraju. A ten dureń wziął radio za konkurenta... do mojej cnoty! Było to tak komiczne, że raz na zawsze uwolniło mnie od idioty. Od tego czasu bardzo uważam, z kim sypiam. Moim hasłem jest: „Nigdy więcej durnia na poduszce!”

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Chcę.

Kochali się w szumie deszczu, który spadł na spalony słońcem Paryż. Gdzieś daleko, w Anvers - sur - Oise albo Ecouen, na północy waliły pioruny i niebo przecinały lasery błyskawic. Na wewnętrzne patio hotelu „Victor Hugo” płynęły strugi deszczu wchłaniane przez zaskorupiałą ziemię. Zapach liści i mokrej trawy docierał zza otwartego okna.

- Chcę ciebie jeszcze - szeptała wtulając usta w szyję mężczyzny. - Mogłabym ci dać siebie na własność. No, chodź! Kocham cię dzisiaj. I może jutro. Albo zawsze...

Godzinę później pili szampana ze szklanek do mycia zębów. Chłodne, cudowne w kolorze rose z winnic Taittingera.

- Czy wiesz, że mi wyznałaś miłość? - powiedział Jean Paul z tym szczególnym wyrazem cechującym zadowolonego samca.

- Wszystko zmyśliłam!

- Zmyśliłaś? Nawet bracia Grimm nie wpadliby na taki pomysł! Powtórz to jeszcze raz!

Karolina przeczesła palcami włosy. Sterczały na wszystkie strony jak u zmoczonego gawrona.

- Chcesz, żebym zrobiła z siebie idiotkę?

- Już ci się to zdarzyło!

Skoczyła na równe nogi. Chciała się okręcić kocem, ale nie pozwolił.

- Będę na ciebie patrzył.

- Sadysta! - syknęła.

W łazience zmywała z siebie zmęczenie i zapach mężczyzny. Do diabła! Co ja zrobię, kiedy trzeba się będzie wreszcie stąd wynieść? Hotel zapłacony na następne cztery dni. A co potem? Finanse wyglądają na razie marnie. Trzeba znaleźć inne lokum. Ale nie przyjmę zaproszenia Piranii. Gdzie kochalibyśmy się tak jak tu?

Czekał na nią siedząc w jedynym fotelu, nagi jak go Pan Bóg stworzył.

- Nad czym myślałaś pod prysznicem?

- Nigdy ci nie powiem. Roześmiał się przyciągając ją do siebie.

- Ale ja ci powiem. Pojutrze spakujesz manatki i przeniesiesz się do innego mieszkania. Nie tak daleko stąd. Zgoda?

Karolina spojrzała na niego ze strachem.

- Jesteś... bogiem światła? Znasz moje myśli i przyszłość?

Nie odpowiedział. Całował jej piersi pachnące mydłem brzoskwiniowym.

\*\*\*

Wieżowiec „Klingenhoff” tonął w mlecznych oparach. Po tygodniu straszliwych upałów dochodzących do czterdziestu stopni spłynął wreszcie na środkowe Niemcy potężny wyż norweski z chłodnym powietrzem arktycznym. Zderzenie dwóch temperatur przyniosło istne tornado, wyrywające drzewa z korzeniami, zrywające sieć wysokiego napięcia, i ulewne deszcze powodujące dziesiątki kraks na autostradach nie licząc zalanych magazynów i piwnic. Po nocy grozy, potęgowanej jeszcze przez telewizyjne ekipy filmujące dla swych potrzeb sceny mrozące krew w żyłach, nastął ranek mglisty i parny.

Mecenas Willi Knopf podjechał na parking i oddał kluczyki od wozu młodemu pracownikowi.

- Co słyhać, Kurt?

- W porządku, panie mecenasie.

Helga siedziała przy komputerze sprawdzając dane firmy „Engusson i spółka”.

- Guten Tag, Helga. Jak przeżyłaś noc?

- Okropnie, panie mecenasie. Strasznie się bałam. W telewizji mówiono, że takich wyładowań atmosferycznych nie pamiętają najstarsi. Było mnóstwo pożarów.

Zadzwieczył telefon.

- Słucham, Knopf.

- Tu frankfurcki komisariat policji. Posterunkowy Ernst Kluge. Mamy tu zgłoszenie waszego pracownika w sprawie pożaru magazynu. Gasiło go pięć jednostek straży, ale na nic się to nie zdało. Dom spłonął razem z wszystkim, co było w środku. Z nadpalonych resztek wynika, że były to książki i broszury w języku polskim i ukraińskim. Wasz pracownik jest w szpitalu. Poparzenia. Chciałbym wyjaśnić...

- Jestem przedstawicielem spółki użytkującej ten magazyn. Muszę o fakcie zawiadomić właścicieli. O ile wiem, dom był ubezpieczony...

- Pan się tym zajmie, czy poda nam nazwisko właściciela?

- Moja kancelaria wszystkim się zajmie. Dziękuję, panie Kluge. Helga patrzy na mecenasa ze zmarszczonymi brwiami.

- Stało się coś z domem?

- Spłonął od uderzenia pioruna. To niepowetowana strata dla wydawnictwa Nothung.

- Dom należał do mojego wujka Fritza. Wie pan o tym, panie mecenasie? To ja doradziłam, żeby go wynająć. No, wolę nie myśleć o tym, co powie mama. I wujek...

Knopf zacisnął wargi. Co za pech! Naprzód kontenery na lotnisku, teraz cały magazyn! Co się za tym kryje? A może: kto? Nonsens! Na lotnisku wypadek spowodował nasz człowiek. A pożar? Tyle ich wczoraj szalało...

- Helgo, proszę, połącz mnie z panem Kusselem w Wiedniu. Będę w swoim gabinecie.

- Tak, panie mecenasie.

Helga czeka, aż zamkną się drzwi za szefem. Potem szybko wystukuje numer.

- Mama? Słuchaj, stała się straszna rzecz. Dostaliśmy telefon z Frankfurtu. Wczoraj w czasie tej okropnej burzy spalił się dom. Jaki? No ten, który wujek Fritz wynajął naszym klientom na magazyn. Nie wiesz, czy on był ubezpieczony? Jak to kto? Dom wujka! Mamo, zatelefonuj do Monachium, bo ja nie mogę... co? Mówię, że teraz nie mogę...

- przerywa, bo mecenas Knopf zagląda przez uchylone drzwi.

- Co z tym Wiedniem?

- Zajęte, panie mecenasie. Cały czas próbuję...

- Łącz do skutku!

\*\*\*

Gottfried Kussel z wściekłością szarpie zwinięty w spiralę drut telefonu. Właśnie dostał bulwersującą wiadomość z Bonn o pożarze największego magazynu z literaturą propagandową.

Dziesiątki tysięcy tomów, setki tysięcy kaset filmowych poszło z dymem.

- Jak to się stało? Nie wiem, do cholery! W całych Niemczech szalały burze. Telewizja austriacka ostrzegła, że ten niż, czy też wyż, idzie teraz w naszym kierunku...

Jorg Haider, po drugiej stronie drutu zaciskał i rozwierał palce lewej dłoni.

- Sabotaż! To już drugi wypadek!

- Nonsens - upierał się Kussel. - Kameleon jest fachowcem. Zorganizował doskonałą sieć. A ludzie, którzy tego pilnują, są nasi. Sprawdzeni od lat.

- Rozmawiałeś z którymś z nich?

- Tak. Naprzód zatelefonował Knopf, a potem ten mały Norbert. Przysięga, że pożar był od pioruna. Pół godziny wcześniej robił obchód. Woda zaczęła się dostawać do piwnic, więc przenosił paki z książkami. Był świadkiem, jak huknęło. Został poparzony przy próbie gaszenia ognia.

- W takim razie prześladuje nas pech, Gottfried, nie lubię tego!

- Ani ja. Co z przesyłką specjalną?

- Nie zdążymy zmikrofilmować. Nie ma czasu. Edmonds i Leloup są za wszystko odpowiedzialni. Niewykluczone, że wyrwą to w ostatniej sekundzie.

- To kłopot. Myślałem, że to będzie mała rolka filmu... którądy przetrzucimy? Haider przez chwilę milczy. Ma wątpliwości, czy mówić o sprawie przez telefon.

W końcu decyduje się.

- Przez Paryż. Leloup ma tam kontakty z korsykańskim podziemiem. To oni sprawdzali Kameleona.

- I co?

Haider śmieje się cichutko.



- Uciekł im. Zorientował się, że go śledzą. Mam tylko nadzieję, że nie wie, kto deptał mu po piętach. Gruss Gott, Kussel!

- Gruss.

\*\*\*

Willi Knopf siedzi w „Cafe am Rhein” nad filiżanką kawy. Wzrok ma utkwiony w najnowsze wydanie tygodnika „Der Spiegel”.

- Nie do wiary! - mruczy potrząsając głową. Jeszcze raz czyta tekst wydrukowany tłustą czcionką: Szczątki Adolfa Hitlera i jego żony Ewy Braun znajdują się w Moskwie. W siedemdziesiątym roku ówczesne władze radzieckie w obawie, że kiedyś szczątki wodza Trzeciej Rzeszy, znajdujące się wówczas w Magdeburgu, mogą dostać się w niepowołane ręce, przewiozły je do Moskwy. Prochy Hitlera pochowano w więzieniu Lefortowo. Obłąkany pomysł komunistów! Trzeba tę informację wykorzystać. Zrzucić Moskwę materiałami propagandowymi. Wy tłumaczyć narodowi, że skoro sami mają grób Stalina i mauzoleum Lenina, to my mamy niezaprzeczone prawo do prochów Hitlera! To może być doskonały temat dla Wilków Mengelego. Trzeba zadzwonić do Monachium, do Ewalda. Mieszka w jednym z tych youppie - apartamentów. Sam sobie niedawno wymyślił podróż „sondażową” do Moskwy. Niech się zajmie kośćmi Adolfa!

- Hans, płacę!

Kelner podsuwa talerzyk z komputerowym wydrukiem.

- Znów podrożało?

Hans wznosi wzrok do nieba.

- Wszystko drożeje, Herr Knopf. A to dlatego, że prezydent i parlament zdecydowali przenieść stolicę z Bonn do Berlina.

- Tak myślisz?

Kelner zręcznie ukrywa drobny napiwek.

- A jak inaczej, panie mecenasie? Ceny gruntów spadły, także mieszkań. Wiele firm już siedzi na walizkach. Teraz Berlin będzie korzystał z koniunktury. Ciekawe, co zrobią z tymi swoimi Gastarbeiternami? Tymi wszystkimi Turkami, Jugolami, Polaczkami! Powinniśmy ich odesłać, skąd przyszli. Natychmiast! Niedługo nie będzie Niemców w Niemczech!

- Jesteś nacjonalistą, Hans?

- Tak naprawdę nie wiem, co to znaczy. Czytam w gazetach, że obcokrajowcy wszystkiemu są winni. Też tak uważam. To jest nacjonalizm, panie mecenasie?

Knopf zapina teczkę na szyfrowy zamek.

- Nacjonalizm, drogi chłopcze, jest przede wszystkim zasadą polityczną, która głosi, że jednostki polityczne powinny pokrywać się z jednostkami narodowościowymi...

- Ale ja...

- Zasada ta - mecenas unosi w górę palec - pozwala natychmiast zdefiniować nacjonalizm jako sentyment i jako ruch.

Hans miętosi klapę kurtki.

- Ruch?

- Sentyment nacjonalistyczny to uczucie gniewu, wzbudzone przez naruszenie zasady, bądź uczucie satysfakcji, wzbudzone przez jej przestrzeganie. Ruch nacjonalistyczny to ten, który został wywołany tego rodzaju sentymentem. Zrozumiałeś?

- Nic a nic, panie mecenasie. Ale chciałbym, żeby Niemcy były dla Niemców! Willi Knopf zarzuca płaszcz na ramiona. Wziął go na prośbę Zofii. Tak się

Wczoraj o niego martwiła podczas strasznej ulewy.

- Do widzenia, Hans.

- Prosimy znowu, panie mecenasie.

Knopf wsiada do audi zaparkowanego przed sklepem z bronią myśliwską. Jak wytłumaczyć chłopakowi, że ma

absolutną rację, nie precyzując własnych przemyśleń na ten temat, zastanawia się włączając kierunkowskaz. Wszystkie wozy poruszają się we mgle wolniej niż zwykle. Jeśli wyjazd do Paryża dojdzie do skutku, zabiorę Zofię ze sobą. Niech zwiedzi Luwr i wieżę Eiffla, póki ją to jeszcze interesuje. Myśl o żonie ociepla serce. Tak, Zofia jest wspaniała. Choć wolałbym, by nie sprowadziła tu córki z zięciem. Poświęca im stanowczo zbyt wiele czasu. Szczególnie małej Magdzie. Dlaczego młodzi Polacy mają taki niezrozumiały zwyczaj obarczania swoich matek pielęgnowaniem własnych dzieci? Jak można podrzucać bachora idąc do kina? Od tego są odpowiednie opiekunki. Trzeba płacić za osobistą wolność. Muszę to z Zofią omówić. Delikatnie, ale stanowczo. Audi z zapalonymi światłami włącza się do ruchu.

\*\*\*

Dzwonek u drzwi dzwoni ostro, niecierpliwie. Zofia zamyka szafę. Porządek zrobiony, suknie odświeżone, bielizna poukładana.

- Mamo, to ja!

- Marynia? Co tu robisz? Nie jesteś w klinice?

Maria wpada do pokoju zrzucając cienki płaszcz deszczowy z kapturem.

- Zdawałam dodatkowy egzamin u kardiologa Wolfa. To okropny człowiek! Uważa, że Niemcom nie potrzeba lekarzy z Polski. Z żadnych „obcych” krajów. Cholerny nacjonalista!

Zofia wyciąga płaszcz do przedpokoju. Wiesza go starannie. Czy Maria nigdy się nie nauczy, że nie należy rozrzucać swoich rzeczy po całym mieszkaniu? Ma taki okropny zwyczaj.

- Ale zdałaś?

- Zdałam. Pewnie, że zdałam. Profesor Witterhof jest wspaniały. Przygotował mnie na najważniejsze pytania. On zna tego...

- Maryniu, nie pozwalam! - Zofia zwraca się stanowczo do córki. - Nie życzę sobie, abyś tak mówiła o człowieku, od którego zależy, czy będziesz miała pracę.

- O tym akurat decyduje profesor Witterhof, a nie nacjonalista Wolf. Jak w ogóle można się nazywać Wolf?

- Twoje polskie nazwisko jest dla Niemców nie do wymówienia. W każdym razie tak twierdzi Willi. On uważa...

- Mamo, naprawdę nie interesuje mnie to, co uważa Willi. Nie zamierzamy zmieniać nazwiska tylko dlatego, żeby ułatwić Niemcom życie. Jesteśmy Europejczykami. I będziemy się nazywać tak, jak chcemy. A propos: rozmawiałam z ojcem...

- Dzwoniłaś do Warszawy?

- Tak. Chciałam, żeby mi coś załatwił w Krakowie.

- I co? - ton Zofii jest sceptyczny. Zbyt dobrze zna swojego byłego męża.

- Nic. Odmówił.

- Spodziewałam się. Nigdy ci nie wybaczy wyjazdu do Niemiec. Wiesz, jaki jest stosunek ojca do tego kraju...

- Wszystkiemu winien jest dziadek! To on był w głównym sztabie AK. Mamo, czy ci starcy nigdy nie zapomną wojny światowej, Armii Krajowej, powstania w Warszawie?

- Wiesz dobrze, że nigdy. - Zofia wyjmuje filiżanki. Napiją się kawy. Z dzbanka. Jak prawdziwe Niemki z dziada, pradziada. - Dopóki żyje moje pokolenie.

- Ojciec twierdzi, że mówię po polsku z niemieckim akcentem.

- To możliwe. Ja tego, oczywiście, nie słyszę. Zjesz coś?

- Chętnie. Jakąś kanapkę z szynką... może ogórka?

Zofia spogląda na córkę z niepokojem. Coś ją gryzie. Ale co? Jest nadmiernie podekscytowana. I nie z powodu egzaminu.

- Zaraz przyniosę, posiedź w fotelu.

Ale Maria nie chce siedzieć w fotelu. Ani na ogromnej kanapie osłoniętej pokrowcem w duże stylizowane kwiaty. Podąża za matką do przestronnej, zalanej słońcem kuchni.

- Muszę ci coś powiedzieć, mamó.

- Czułam, że masz coś w zanadrzu. O co chodzi? Pieniądze?

Maria krzywi się. Wygląda palcami nienagannie czystą ceratę w słonecznikowy wzór. Firanki w oknie też mają ten sam motyw. Jest modny w tym roku: kuchenny van Gogh! - Są ważniejsze sprawy od pieniędzy.

- Na przykład? - Zofia włącza kafetierę. Jednak nie naparzy w dzbanku, jak przystało dobrej Niemce. Poda kawę z małego ekspresu. Podejrzliwie przygląda się córce. Zmizerniała? Przepracowana?

- Darek przeczytał coś o Willim. W angielskim „Daily Telegraph”. To bardzo konserwatywne pismo. Nie jakaś socjal - komunistyczna makulatura.

- I co? - palce Zofii zaciskają się na szklanym uchwycie.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, mamó.

- Zwyczajnie. Słodzisz?

- Tak, Dziękuję - Maria miesza srebrną łyżeczką w cieniutkiej porcelanie rodem z Chin. - Oni tam piszą... to znaczy jeden dziennikarz brytyjski, że Willi Knopf zajmuje się obroną faszystowskiego ugrupowania. Jako prawnik służy im swoją wiedzą i radą...

Zofia podnosi filiżankę do ust. Jest spokojna.

- Willi pracuje dla firmy „Grossner und Sohn”. Bardzo możliwe, że część klienteli wywodzi się z jakichś dawnych niemieckich rodzin. Cóż, wojna dawno minęła. Pora zapomnieć. Sama twierdzisz, że żyjemy w Europie.

Maria nabija na widelec plasterek salami.

- Ale w tym artykule mówi się o nowych hitlerowskich ugrupowaniach. O ludziach, którzy chcą powrotu tamtej ideologii.

Zofia wzrusza ramionami.

- Maryniu, to w ogóle nie ma znaczenia. Nie zajmuję się polityką. Dostyc mnie to zmęczyło w Polsce. Sądziłam ludzi z gangów pietruszkowych, afer mięsnych i tak zwanych „wrogów ludu”. Byłam członkiem partii nie mając nic wspólnego z komunizmem. Robiłam to wszystko, by zarobić na nasze życie. Twój tatuś wyniósł się z Krakowa i mało go obchodziłyśmy. Dla niego liczyła się tylko przeszłość: miał kompleks niższości w stosunku do swojego ojca. Że był kimś. Przerażający kompleks męzczyzny, który nie ma dla siebie pola do popisu. I nigdy nie zrobił kariery. Najwyżej małe pieniądze. Z mojego punktu widzenia to grosze...

- Tak, to prawda, że ojciec nigdy nie miał jasnej opcji politycznej. W końcu pracował dla faszyzującego Saddama i brał jego pieniądze!

Zofia przygląda się rzędomi szafek lakierowanych na zielono. Ta lewa chyba nie jest dość wypucowana...

- Czy ty aby nie przesadzasz? Pracował dla siebie. A któż tam nie był, Maryniu? Niemcy, Francuzi, Belgowie. Wszyscy włązili w tyłek Saddamowi, gdy był jeszcze „dobrze widziany”.

- Ojciec nie powinien był pomnażać dóbr tego zacofanego kraju!

- Tatuś twierdził, że pracował dla Polski. Maria chrupie już trzeciego ogórka.

- Trele - morele. Polska handlowała bronią. A praca ojca była tylko przykrywką dla komunistów. Będę się upierała, że pomnażał dobra tyrana. Tato przywoził te sztabki złota i ładował brudne dolary na koncie w banku!

Zofia miała już szczerze dość rozmowy. Córka czasem denerwowała ją swoim bezkompromisowym widzeniem świata.

- Z tych dolarów kupił ci w Krakowie mieszkanie, które sprzedałaś.

- Bo to był jego obowiązek. A teraz wyśmiewa się z mojego akcentu. I pyta, czy moje dziecko będzie się nazywało Kurt, czy Berta!

Zofia gwałtownie odstawia filiżankę. Kawa chluzzcze na czystą, błyszczącą ceratę.

- Co?

Maria podnosi na nią orzechowe oczy. Takie same miał Krzysztof. I tak samo patrzył, gdy dowiedział się, że będzie ojcem.

- Będę miała dziecko, mamó. Drugie. Darek ma nadzieję na syna.

Zofia ściera plamę wilgotną gąbką. Podchodzi do córki wzruszona.

- To cudownie, maleńka. Cieszę się. Tu, w Niemczech nie musicie bać się ani o brak odpowiedniego mieszkania, ani o zarobki. Jeśli będzie trzeba, pomożemy wam. Ja i Willi. Mój mąż jest wspaniałym człowiekiem. Mimo tych głupot, które niepotrzebnie powtarzasz. Wierz mi...

Maria przytula się do matki. Trwają tak chwilę.

- Muszę już lecieć! - Maria w biegu dopija kawę. - Odebrać Magdę z przedszkola. Czy wiesz, że papele już po niemiecku? Przedszkolanki są nią zachwycone. Ma wyższy od innych dzieci iloraz inteligencji. Słuchaj... przepraszam za to, co mówiłam o Willim, ale Darek był taki wstrząśnięty...

- Zapomnijmy o tym. Jesteś samochodem?

- Tak.

- Uważaj w tej mgle. Teraz nie powinnaś prowadzić. Maria wkłada płaszczyk.

- Bzdura. Jestem dopiero w drugim miesiącu. A w naszym mieście ludzie jeżdżą kulturalnie. Nie to, co w Krakowie.

Zofia uśmiecha się zatraskując drzwi. Powiedziała „w naszym mieście”. To zabawne, jak ci młodzi łatwo się aklimatyzują. Szczególnie, gdy im się powiedzie. A wszystko dzięki Williemu. Gdyby nie on, siedziałabym dalej w twardej ławie krakowskiego sądu wdychając powietrze śmierdzące sportami i uryną z brudnych klozetów. Boże, cokolwiek on robi, nic mnie to nie obchodzi! Nawet gdyby chciał przywrócić rządy Hitlera. Tylko nie pozwól mu na to, szczęśliwie, zważywszy Kohla!

Znow zadzwieczył dzwonek. Zofia pospieszyła sądząc, że Maria czegoś zapomniała. W drzwiach stał posłaniec z pudłem zawiązanym szeroką purpurową kokardą.

- Frau Sophie Knopf?

- Ja.

- Przesyłka z firmy „Berg und Berg”. Proszę pokwitować. Danke schon, auf Wiedersehen...

Zofia stawia pudło na kanapie. Powoli rozwiązuje wstążkę. Z dziesiątków cieniuteńkich bibulek, jakimi najelegantsze firmy wykładają pudła, wyłania się błyszczący, miękki w dotyku kołnierz. Futro. Ogarnia ją podniecenie. O Boże! Norki! Prawdziwe ciemnobrunatne norki! Sztywny kartonik z zamaszystym pismem Williego: Mojej kochanej żonie - Willi. Zofia zarzuca futro, wbiega po dwa stopnie schodami do sypialni. Staje przed lustrem. Czuje dziwną miękkość w kolanach. Krew uderza do głowy. Zrzuca futro, domową suknię i bieliznę. Naga pada na posłany tapczan. Dłoń machinalnie zbliża się do podbrzusza. Czuje najwyższe podniecenie. Tapczan cichutko poskrzypuje. Wstrząs ciała i błogi, leniwy spokój. Osiągnęła orgazm. Odwraca się na plecy, rytm oddechu powoli wyrównuje się.



- Boże - szepcze. - Jaka ja jestem szczęśliwa.

Tym razem nie pamięta, co mówiła niegdyś matka: „Nic tak nie postarza jak szczęście”.

Zofii to jest zupełnie obojętne. Zasypia z podkulonymi stopami.

\*\*\*

Julia postanowiła zrobić pranie. W Warszawie ma dobrą pralkę i sporo czasu, by jej to zbytnio nie męczyło. Dawniej Krzysztof sam sobie prał koszule i bieliznę. Długo nie potrafiła tego przewyciężyć. „Kiedy mężczyzna chce koło siebie wszystko robić sam - mawiała doktor Lipowska uciskając bolące ramię Julii - oznacza to z punktu widzenia psychologii tylko jedno: jest egocentrykiem wierzącym, że nikt nie jest w stanie zrobić tego lepiej. I że nie chce być od nikogo zależny. Nawet w tak drobnej sprawie jak brudne gacie”. Julia sceptycznie kiwała głową, aż wreszcie, po przejściu na wcześniejszą emeryturę, udało jej się przekonać Krzysztofa, że skoro jest w domu, może razem ze swoją bielizną uprać i jego koszule.

Teraz doszła do wniosku, że to samo trzeba zrobić z zapuszczoną już garderobą i pościelą ciotki Stefanii.

Francuską „Prestige” włączyła jej sąsiadka wytłumaczywszy na migi, co oznacza który klawisz. Patrząc na wirujące prześcieradła Julia poddała się złowrogim myślom. Co mam dalej robić? Ciotka albo czyta, albo śpi. Co czeka staruszkę, jeśli nie kompletna demencja? Głuchota zapewne jeszcze się pogorszy. Zabranie jej do Polski wydaje się być jedynym wyjściem. Zamieszka w trzecim pokoju, który i tak przeważnie stoi pusty. Będzie mi przypominała mamę albo babcię - piastunkę. Szkoda tylko, że wymieniliśmy meble i pokój, dawniej sypialny, przekształcony został w jadalnię z dużym stołem i odpowiednią ilością krzeseł. Tak chciał Krzyś. Mówił, że imieninowi goście muszą siedzieć, a

nie stać, jak na przyjęciu w ambasadzie. Krzyś jest taki tradycyjalista. I z wiekiem to się pogłębia.

W odległym pokoju zabrzączał telefon. Z powodu postępującej głuchoty Stefanii miał wyjątkowo donośny dźwięk. Julia przypadła do słuchawki.

- No, co tam u was? - usłyszała i serce jej podeszło do gardła.

- Krzysiu! - wykrzyknęła. - Ja już nie wiem, co robić! Ciotka nie chce słyszeć o opuszczeniu Paryża!

- Musisz ją przekonać - głos Krzysztofa zanikał w szumie i trzaskach. - Nie ma innego wyjścia.

- Ale jak? Jak ją przekonać? Wiesz, chciałabym...

- Cokolwiek to jest, moja odpowiedź brzmi: nie!

Julia ma łzy w oczach. Dlaczego nie chce mnie zrozumieć? Dlaczego jest taki zasadniczy? Nie przyjeżdża, nie pomaga...

- Może jednak mógłbyś...

- Julio, proszę cię, nie wracajmy do tego tematu! Wsiadajcie w samolot. Odbiorę was na lotnisku. Tylko nie w najbliższy wtorek, bo wyjeżdżam do Wilna. Na tydzień. Zadzwoń, jak wrócę. Trzymaj się, cześć!

- Cześć - mruczy Julia ocierając łzy rękawem szlafroka.

W pokoju Stefanii Bonerskiej panował mrok pomimo słonecznego dnia. Zaciągnięte żaluzje ukrywały starość mebli i ludzi. Wypłowiałe aksamitne pokrycia foteli, zakurzone, dawno nie myte porcelanowe bibeloty. Stary zegar nie nakręcany od śmierci Michała. Wskazówki stały nie poruszone ukazując, jak w filmowym horrorze, za pięć dwunastą. Julia odczuwała jakiś irracjonalny lęk, gdy tylko jej wzrok padał na zszarzałą tarczę i czarne, duże wskazówki. Miała wrażenie, że to jej życie dobiega końca. Jej, nie Stefanii. Że zza drewnianej obudowy wyjrzy zjawa z kosą i na nią, nie na Stefanię, skieruje puste oczodoły. Jej pokiwa

wyschniętymi piszczelami zapraszając do innego, lepszego świata.

- Jeśli uda mi się przekonać ciotkę, w podzięce pojedę do Ziemi Świętej! - mruczy zbliżając się do fotela. - Ciociu, robię pranie. Potem chciałabym cię zaprowadzić do łazienki. Trzeba się wykąpać.

Starcze oczy lśnią niespotykanym czystym błękitem.

- Podaj mi jogurt, kochanie. Ten z ananasek.

Julia idzie do kuchni. Cieszy się, że już po paru dniach nauczyła się kupować to, co ciotka lubi najbardziej: półlitrowe kubki słodkiego jogurtu z różnymi owocami. Drogie, lecz rzeczywiście bardzo smaczne. W lodówce są jeszcze tylko dwa.

Stefania je łapczywie. Gęste białe krople padają na oparcie fotela.

- Ciociu, porozmawiajmy - prosi Julia przysiadając na niskim podnóżku. Oczy staruszki już nie są tak błękitne. Zaciąga je szarawa mgła.

- Nie chcę jechać do Warszawy.

- Tylko na trochę - Julia postanowiła chwycić się podstępku. - Krzysztof telefonował. Chce ciocię zobaczyć. Bardzo prosi...

- Niech tu przyjedzie. Dlaczego nie macie dzieci?

Julia ciężko wzdycha. Ileż razy w życiu musiała znajdować odpowiedź na tak prosto postawione pytanie.

- Krzysztof ma córkę z pierwszego małżeństwa. Teraz mieszka w Niemczech.

Staruszka wyskrobuje łyżeczką resztki jogurtu. Plastikowy kubek cichutko poskrzypuje.

- Ty powinnaś mieć dzieci, Julio. Twoja matka, a moja nieboszczka siostra, nie dopilnowała! Wy młodzi jesteście egoistami.

- A ty, ciociu? Dlaczego ty nie urodziłaś dziecka Michałowi? Kiedy wojna się skończyła, byłaś jeszcze dostatecznie młoda.

Stefania odstawia kubek. Jej dłoń wykonuje jakieś dziwnie nieopanowane ruchy.

- Na złość. Za tamtą.

Julia głaszcze pomarszczoną rękę z pięknym pierścieniem na serdecznym palcu. Brylant rzuca błękitnawe błyski. Stefania nigdy go nie zdejmuje. Nawet w wannie.

- Jaką: tamtą, ciociu?

Staruszka palcem wskazuje metalową kasetkę stojącą na komodzie. Kasetka jest zamknięta na klucz. Julia próbowała ją otworzyć, szukając testamentu Michała. Na darmo. Stefania twierdziła, że są tam tylko jej osobiste drobiazgi.

- Daj.

Julia z trudem podnosi się z niskiego stołeczka. Jak na pięćdziesięciodwuletnią kobietę jest bardzo ociężała. Z chorób, otyłości i braku ruchu.

- Jest zamknięta, ciociu. Nie wiem, gdzie jest kluczyk.

Staruszka grzebie w załomie fotela, pomiędzy siedzeniem przykrytym dodatkową poduszką a oparciem. Wyciąga długą, co najmniej metrową, tasiemkę z zielonego aksamitu. Na jej końcu dynda mały, srebrny kluczyk.

Julia kręci głową z niedowierzaniem.

- Przed kim chowałaś ten klucz, ciociu? Przede mną?

Stefania nie odpowiada. Z otwartej kasetki wysypują się stare, pożółkłe zdjęcia, listy przewiązane czerwonym jedwabiem, gruby zwitek banknotów pięćsetfrankowych i oprawna w tanie, ciemne ramki fotografia.

- To ona - mówi Stefania Bonerska pukając paznokciem w ramkę. - Z jej powodu nie chciałam mieć dziecka.

- Dlaczego? - Julia zręcznie wyławia zrzucony zwitek banknotów. Będzie znów mogła kupić ciotce to wszystko, co lubi.

- Michał zrobił jej dziecko. Nazywała się Ivette. Miała szesnaście lat. Tu jest napisane, przeczytasz?

Julia bierze do ręki fotografię. Dziewczyna ma miłą, dziecienną twarz. Jest w szerokiej spódniczce, spod której wystają długie, zgrabne nogi. Chłopiec, który ją obejmuje w pól, jest niewiele starszy. Ma twarz Michała Karata. Jego uśmiech.

- Michał... był żonaty? - wyszeptuje zdumiona. Stefania ma zaciśnięte usta.

- Przeczytaj - prosi.

Julia odwraca fotografię. Pożółkłe i wypłowiałe litery. Charakterystyczne pismo: Ivette i Michał. W brzuszku Antoine albo Nanette. Le Havre 1942 rok.

- Czy dziecko się urodziło, ciociu? Co o nim wiesz?

Staruszka zgarnia listy. Część z nich wysypała się na podłogę.

- Nie wiem. Od kiedy zamieszkałam z Michałem, nie wolno mu było wspominać Ivette. Taki był mój warunek. Zgodził się. Nigdy więcej o niej nie słyszałam. Bał się, że odejdę. Wiedział, że to zrobię.

- Przecież go kochałaś, ciociu?

Stefania uśmiecha się.

- Niespecjalnie. Bawił mnie. Był mi bardzo potrzebny.

\*\*\*

- Muszę zamieścić ogłoszenie w prasie - Julia podaje kawę. Upiekła też ciasto. Halina Stępień siedzi w fotelu założywszy nogę na nogę. - Tylko nie wiem w jakiej. Czy pani mogłaby...

- Oczywiście. Żaden problem. Proszę tylko napisać tekst. Ja przetłumaczę. Ale takie ogłoszenie kosztuje.

- Wiem. Ciotka, na szczęście, zachomikowała kilkanaście tysięcy franków. Nie mam pojęcia, czy ktoś się zgłosi. W końcu znam tylko imię tej kobiety: Ivette. I miasto Hawr. Czy po pięćdziesięciu latach ktoś jeszcze pamięta Michała?

Halina bierze do ust kęs ciasta. Ładnie pachnie wanilią.

- Jeśli nawet Ivette już nie żyje, to może dziecko nosi jego nazwisko. Czy on był mężem Ivette?

- Nie mam pojęcia - Julia ociera spoconą twarz. W mieszkaniu jest potwornie gorąco. Nawet żaluzje niewiele pomagają. - Od ciotki trudno jest się czegoś dowiedzieć. Może dlatego Michał się z nią nie ożenił, bo już był żonaty? Czy w Hawrze też można by dać ogłoszenie? W lokalnej prasie?

- To jest pomysł - mówi wolno Halina. - Zorientuję się, co można zrobić. Dam pani znać. Czy... proszę wybaczyć pytanie... długo tu pani jeszcze zostanie?

Julia wzrusza ramionami.

- Mąż mówił przez telefon, że przekazał dla mnie pieniądze. Do polskiego banku na rue Taitbout. Od tego i od rozwoju wypadków zależy, czy wrócę sama, czy z ciotką. Jeśli na początku była skłonna przenieść się do Polski, to teraz nie chce o tym słyszeć. Nie wiem, co się stało. Czuję się taka bezradna...

Halina uśmiecha się znad filiżanki.

- Proszę się nie martwić. Wspólnie jakoś zapanujemy nad sytuacją. Teraz już muszę iść. Dziękuję za domowe ciasto. W Paryżu na ogół kupuje się gotowe. Lub półprodukty. Do widzenia, pani Julio. I głowa do góry!

Trzy dni później w „France - Soir” ukazało się właściwe ogłoszenie. W tydzień później takie samo zamieściła lokalna prasa w wielkim porcie handlowym na prawym brzegu ujścia Sekwany. W miasteczku Boulogne - sur - Mer ogłoszenie wywołało małą sensację. Dyskutowano o nim przy winie w portowej knajpce „Pod obwisłym żaglem” i w suchym doku

przy tamie Carnot. Na placu Godefroy de Bouillon, wodza pierwszej wyprawy krzyżowej, który pochodził z Boulogne - sur - Mer, dwie stare kobiety z koszykiem świeżych ryb kiwały głowami rozprawiając w miejscowym argot:

- Nie na darmo modliła się do cudownego posągu Matki Bożej.

- Bien. Wysłuchała jej łez. Co zrobi Franchine?

- Ano... pojedzie. Zostawi wnuki pod opieką Louise.

- Matko Boska Cudowna... ainsi soit - il.

\*\*\*

W Monachium ogłoszenie z „France - Soir” wywołało szczere zdumienie u dwóch tylko osób. Jedna z nich, mieszając kostki lodu w grubej szklaneczce z whisky, kręciła z niedowierzaniem głową:

- Byłem pewien, że jest sam na świecie! No... poza tą kobietą, z którą mieszkał. A raczej, którą od pięćdziesięciu lat utrzymywał. Co na to nasze służby specjalne? Breitkopf powinien podać się do dymisji! Takie niedopatrzenie!

- Nasze służby specjalne, jak je łaskawie nazywasz - odezwał się drugi wydmuchując dym z dunhilla - zajmują się pałacem księcia Maksymiliana, hotelem „Sheraton” i zdobywaniem dwunastu kilogramów szparagów dla prezydenta Busha. No i właściwym rozstawieniem dziesięciu tysięcy policjantów, którzy go strzegą!

- Rząd powinien coś z tym zrobić. Myślę o nedoróbkach komputerowych danych. Michał Karat był trzy razy sprawdzany!

Dym z dunhilla wije się niebieską smużką.

- Rząd ma inne zajęcia. Ostatnio zakazał browarowi Heilman produkcji nowego piwa Power - Master, gdyż, jak twierdzi minister, nazwa zbyt wyraźnie sugerowała jego charakter. Power - Master zawierał pięć i dziewięć dziesiątych

procent alkoholu, czyli dużo więcej niż normalne mocne piwa, które są czteroprocentowe...

- Przestań, to idiotyczne. Ale sprawą Karata trzeba się zająć. Kto podpisał to ogłoszenie?

- Jakaś Polka. Julia Suli... kowska... cholerne są te słowiańskie nazwiska. Nie mam pojęcia, kto to. U nas nie notowana.

- Mam nadzieję - kostki lodu prawie się już rozpuściły - że nie przeczytał tego nikt w Bonn. Myślę o wiadomych środowiskach. Jeśli tylko złapią koniec nitki...

- Nie złapią. Aha, wyjeżdżam do Paryża. Turystycznie. Mężczyzna gasi papierosa.

- Sam?

- Nie. Z przyjaciółką. Ona jeszcze o tym nie wie.

- Doskonale. Ponaprawiasz nasze nadszarpnięte stosunki. Ostatnią wizytę kanclerza Kohla w Paryżu rzecznik Pałacu Elizejskiego określił jako: „nieprotokolarną, ale przyjacielską”. Jak znam język dyplomatyczny, oznacza to nie mniej, nie więcej, tylko: „przyjechał, pomądrzył się, wypił parę piw i odjechał”.

- Nie przesadzaj. To był tylko „roboczy obiad” z Mitterrandem.

- A jego minister gospodarki, stary Pierre Berezgouy, solidnie skrytykował niemiecką politykę walutową. Szczególnie podniesienie stopy procentowej! A jeszcze uznanie Chorwacji i uwagi kanclerza, że nie ma mowy, by wspólna waluta europejska nazywała się „ecu”!

Szklaneczka whisky jest prawie pusta.

- Ecu podoba się nad Sekwaną, bo jest nazwą starej francuskiej monety, która na dodatek nigdy w historii nie była dewaluowana. Mitterrand twierdzi, że nazwa, jaką najchętniej zasugerowałby nasz Kohl, to... euro - marka! Nie wiem, czy to on, czy ktoś inny jest również autorem słynnego powiedzenia:



„Amerykanów trzeba trzymać przy sobie, Sowietów na dystans, a Niemców na smyczy!”

Mężczyzna tłumi śmiech. Papierośnica z resztą dunhilli lekko trzaska.

- To wszystko?

- Tak. Rozumiem, że mogę zacząć działać? - Oczywiście.

Na ulicy, z parkingu na tyłach kościoła, dwa zielone BMW ruszają każdy w innym kierunku.

Nad miastem zapada zmierzch.

\*\*\*

Zmierzcha się również w Bonn. Wieżowiec „Klingenhoff” jarzy się światłami. Tylko na nielicznych piętrach czarne kwadraty okien oznaczają bezruch. W kancelarii „Grossner und Sohn” mecenas Willi Knopf czeka na późnego gościa. Zgasił światła w sekretariacie, zwolnił Helgę do domu, sam zasiadł w głębokim fotelu z brunatnej skóry, przy lśniącem idealnie biurku, na którym nie wała się najmniejszy papierek. Skóra pachnie pastą. Mecenas odchylił głowę na oparcie. Transakcja powinna jemu i firmie przynieść miliony. Wtedy mógłby się wycofać. Jak wielu przed nim. Kupić dom z ogrodem, gdzieś przy francuskiej granicy, zapełnić piwniczkę winami reńskimi i mozelskimi i żyć z Zofią spokojnie, uprawiając róże i bazylię. Maria i jej dzieci zostałyby w Bonn. Jeśli się uda, naturalnie. Jest zbyt zaangażowany w sprawy Wilków Mengelego, by tak łatwo odpaść. Jeśli nawet zgodzą się główni patroni, to zawsze jeszcze zostaje podejrzliwy korsykański szaleniec. Z nim nigdy nic nie wiadomo! Ostatnio wymyślił, że zwerbuje i zawiezie najemników do Chorwacji. Jest niestety tyleż głupi, co niebezpieczny.

Brzęczek przy elektronicznym zamku odezwał się cicho. Knopf wcisnął klawisz wideo. Ukazała się zmęczona twarz z charakterystyczną bródką.

- To pan?

- Ja.

Knopf odblokował zamek. Usłyszał cichy trzask. Kameleon wszedł, rzucając na poręcz krzesła cienki trencz w kolorze kawy z mlekiem.

- Co się stało? - Willi Knopf wstał z za biurka i ruszył powitać niecodziennego gościa. - Mieliśmy się już nigdy więcej nie widzieć. To był pański warunek.

Przybyły wyciągnął wąską wypielegnowaną dłoń. Na serdecznym palcu załśnił złoty sygnet z czarnym onyksem.

- Sytuacja wymaga osobistego kontaktu. Nie dotrzymujecie umowy. Parę zajść...

- Proszę usiąść - Knopf wskazuje fotel. - Zapali pan?

- Nie palę.

- A szklaneczkę czegoś chłodnego?

Kameleon utonął w skórzanych poduchach. Skrzywił się poczuwszy zapach pasty. Był uczulony na terpentynę, lizol, pastę do podłogi i eter.

- Proszę o mineralną.

Willi wyjął z lodówki perriera. Na szczęście Helga kupiła parę butelek.

- O co chodzi, co się takiego stało?

Kameleon obrzucił mecenasa zimnym wzrokiem. Nie zamierzał prowadzić rozmowy w formule dyplomatycznej. To, co miał do powiedzenia, było zabójcze:

- Wasi ludzie nie nadają się do tej roboty. Nie zamierzam owijać w bawełnę. Proszę mnie wysłuchać nie przerywając. Nie mam zbyt wiele czasu. Za dwie godziny startuje mój samolot. Ludzie w Argentynie potrzebują mojej pomocy. Ale do rzeczy. Na lotnisku wasz człowiek wyrządził sprawie niepowetowane straty. Chodzi o gigantyczną wpadkę, po której lotnisko stało się nie do użycia. Drugi, śpiąc, nie zawiadomił na czas straży pożarnej. Magazyn wraz z zawartością spalił się doszczętnie. Czy to był sabotaż, czy nie,

wasi ludzie są za to wszystko odpowiedzialni. Nie interesuje mnie już więcej organizowanie nowej siatki przerzutu literatury propagandowej. Zorganizowałem ją wielkim nakładem sił. Nie wiem, czy teraz będzie to jeszcze miało sens. Jestem tu...

- Przepraszam - przerwał Knopf - co pan ma na myśli mówiąc o braku sensu?

- To chyba jasne - błękitne oczy Kameleona zwężają się w szparki - prasa narobiła takiego hałasu, doszczętnie kompromitując całą literaturę neofaszystowską. Została wyśmiana od Europy po Izrael.

- Ci pismacy! Nie liczą się! Nazwali Hitlera „nudnym autorem”. Kameleon przyjrzał się kryształowej szklaneczce do połowy napełnionej wodą.

- Es gibt kein Paradies für langweilige Autoren! - Wie pan, kto to powiedział? Isaac Singer.

Willi Knopf pochylił głowę.

- Nie ma rajów dla nudnych autorów? A wie pan, że to dobre? To bardzo dobre! - roześmiał się. Brzmiało to dość wymuszenie.

- Jak już powiedziałem, nie zajmę się więcej siecią przerzutową prasy. Ale, zgodnie z umową, mogę dostarczyć w najbezpieczniejszy sposób plany „głębokiego uderzenia”, o ile już je macie.

Mecenas upił łyk burbona. Mniej mu smakował bez lodu. Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Prawdę? Ten człowiek jest niebezpieczny.

- Moi klienci chcą przerzucić plan sami. Kameleon zaśmiał się cicho.

- To znaczy, że go jeszcze nie macie. I kto to robi? Korsykanin uważający się za fachowca? Czy pan wie, mecenasie, że Leloup jest notowany w FBI?

- To nie moja sprawa.

Knopf uważał na każde wypowiedziane słowo. Wilki Mengelego miały długie łapy. I prawie wszyscy byli gdzieś notowani.

- Jeśli zechcą to przerzucić przez Niemcy lub Austrię, wpadną! Ja to panu mówię. A nigdy nie ostrzegam na darmo.

- Tak pan sądzi? Dlaczego? - mecenas wyraźnie chciał wyciągnąć ze swego gościa jak najwięcej szczegółów.

Kameleon nie mrugnął nawet powieką. Jeśli ten chytrusek sądzi, że go nie rozszyfrowałem, to nie jest wart pieniędzy, które w niego inwestują!

- Jest tylko jeden względnie czysty kanał: Paryż.

- Po ostatnim oświadczeniu Le Pena? - mecenas upił łyk.

- A cóż on powiedział takiego, czego rząd francuski nie zna? Willi Knopf rozwinął gazetę. Chwilę przeszukiwał strony.

- O, tu: Socjaliści to zbieranina złodziei, szantażystów i gangsterów! O tym wie od lat każdy Francuz. Pan premier uznał to za znieważenie instytucji państwowej, a nie, jak sugeruje prasa, wynik zapędzenia się w wiecowym zapale. W piątek, w Marsylii, przywódca „prawicy narodowej” mówił wyraźnie o rządzie i to spowodowało decyzję, by sprawę podać do sądu.

Kameleon zmrużył oczy.

- Należy mu tylko przyklasnąć. Socjaliści długo nie wytrwają. Ale wróćmy do sprawy. Le Pen nie jest i nigdy nie był żadną przeszkodą w przerzuceniu odpisów „głębokiego uderzenia”. Jest już bardzo niewiele czasu. A chodzi o niebagatelną kwotę na potrzeby ruchu.

Mecenas kiwnął głową. Sam bardzo denerwował się powolnością Wilków. Miał w tych pieniądzech swój spory udział. To właśnie, a nie błękitne oczy Kameleona, sprawiło, że zgodził się na bezpośrednią z nim rozmowę, nie powiadomiwszy uprzednio Kussela w Wiedniu.

Kameleon doskonale o tym wiedział. I dlatego przyszedł do gmachu „Klingenhoffa” o tak późnej porze.

- Tak, przyznaję panu rację. Ciągłe tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego forsuje pan kanał paryski?

- Paryż to najlepszy kanał, stamtąd o wiele łatwiej przerzucić przesyłkę do którejś ze stolic dawnych krajów komunistycznych. Do Pragi, Budapesztu czy Warszawy. Tam bowiem ani policja, ani Urząd Ochrony Państwa niczego nie przyłapią. To ciągle służby w powijakach, kompletnie rozbite.

- Ale nie śpią byli rezydenci GRU!

Kameleon przygląda się mecenasowi spod oka. A jednak zasiałem ziarno w twoim umyśle, mecenasie! I jestem pewien, że przekażesz dalej. Bo Paryż jest naprawdę jedynym miastem, gdzie taka akcja może przynieść rezultat.

- Proszę nie zapominać, że większość z nich znamy z imienia, „otczestwa” i nazwiska. Nawet jeśli je chwilowo zmienili. Ja w każdym razie jestem w stanie zagwarantować, że plany NATO nie dostaną się w ręce Moskwy. Chodzi również o moje pieniądze. I pańskie.

- Zgoda - decyduje się Knopf. - Zawiadomię Kussela w Wiedniu. On się skontaktuje z resztą. Nie możemy zbyt często zwoływać „Koleżeńskich spotkań” w hotelu „Hilton”. Jeśli Paryż okaże się aktualny, pojedę tam. Najlepiej z żoną. To będzie wyglądać na zwykłą podróż sentymentalną.

Kameleon bierze płaszcz. Zarzuca go na ramię. Jego oczy błyszczą wesoło.

- Żegnam, mecenasie. Żałuję, że nie udało wam się jeszcze zdobyć planów. Jestem pod znanym panu telefonem. To automatyczna sekretarka. Bardzo sobie cenię własne bezpieczeństwo. O wiele bardziej niż pieniądze.

Mecenas skłania głowę. Cóż może powiedzieć? Dobrze wie, że czas ucieka. Drzwi zamykają się za gościem z cichym trzaskiem.

\*\*\*

- Helga, natychmiast sprawdź, kiedy startuje najbliższy samolot do Wiednia!

Knopf rzuca kapelusz na krzesło. Jest niewyspany i zły. W środku nocy postanowił polecieć do Gottfrieda. Zbudził go i umówił się na rozmowę w cztery oczy.

- O jedenastej dwadzieścia, szefie. Zarezerwowałam bilet. Jest do odebrania na lotnisku. Pojedzie pan własnym wozem?

- Nie. Zamów taksówkę!

Już w powietrzu obmyśla strategię. Dokładnie i precyzyjnie. Ma tego wszystkiego po dziurki w nosie. Przerazona twarz Zofii, jej zdenerwowanie jego całonocną wędrówką po mieszkaniu, to się udziela. Nie ma zamiaru niszczyć swojego małżeństwa. Nie wie, jak zareagowałyby Polka, gdyby wiedziała, w co zamieszany jest jej mąż. Stara się, aby w domu nie było niewłaściwych gazet. Ale czuje, że jest obserwowany przez młodych: Marię i jej męża. A nuż jakiś artykuł trafi do ich rąk? Z opowiadań Marii wie, że cała rodzina żyła przez lata w głęboko zakorzenionych przekonaniach antyniemieckich. No, to się musi skończyć. Tak, zabierze Zofię do Paryża. Kameleon go przekonał.

Taksówka wiezie go z lotniska na Weinburggasse do tajnego lokalu Wilków w Wiedniu. Cztery pokoje, doskonała wiedeńska kuchnia i właścicielka o nieskazitelnej reputacji i nazwisku: Kirche.

Gottfried czeka w saloniku. Służąca i kucharka mają dziś wolne. Wita Williego w rozsuniętych szklanych drzwiach.

- Siadaj. Zaraz nam dadzą kawę. Zjesz coś?

- Może później - odpowiada Knopf.

Czuje lekki ucisk nad prawym okiem. Niechybna oznaka zbliżającego się bólu. Miewa takie okresowe newralgie. Niby nic wielkiego, ale nieprzyjemne. Relacjonuje swoją wieczorną rozmowę z Kameleonem.

Kussel popija małymi łykami. Dolewa śmietanki. W całym saloniku czuć zapach świeżo zmielonej kawy. Z radia cicho płyną melodie z sześćdziesiątych lat.

- Powiem ci, co wiem, Willi. Nasza koncepcja nie jest zła. Ale tamci mają inną. Bardzo się spieszą, to zrozumiałe, boję się tylko, żeby nie popełnili błędu. Głównie Leloup. To, czego chcą, czyli RKPKL, jest w Wojskowym Ośrodku Badawczym w Monachium.

- Rozszyfruj skrót. Nie znam go.

- Oznacza: Radar + Komputer + Program + Kod laserowy. To jest owa osławiona „Strategia głębokich uderzeń”. Cały komputer jest małą płytką krzemową. Rakieta odbiera sygnały odbite od przedmiotów ruchomych. Na przykład: czołg, ciężarówka. Każdy sygnał jest inny. Najskuteczniejsze są rakiety samonaprowadzające. Pocisk leci torem poziomym, w czołgu są miejsca szczególnie wrażliwe. Choćby podwozie. Pocisk lecąc rozpada się w całą gamę pocisków małego kalibru. Same sobie wyszukują cel promieniami podczerwieni. Te pociski zostają wprowadzone w ruch obrotowy wyrzucając jeszcze mniejsze...

- Jezus Maria, Gottfried! To niesamowite!

- Słuchaj dalej. Taki, nazwijmy go, „podpocisk” nie ma skrzydeł, tylko mikroprocesory: podczerwień plus „mózg”. Czujniki pocisku odnajdują gorące części maszyn, które mają zniszczyć: silnik, gaśnice... I nie przeszkodzi niczemu zasłona dymna wypuszczona przez czołg, ponieważ promienie podczerwone przenikają przez dym. Żaden „inteligentny” pocisk nie da się oszukać. A mikrokamera rozpoznaje długość fal. Można tak zniszczyć całą kompanię czołgów. Jeśli, przykładowo, armia pancerna liczy ich tysiąc, trzeba raptem stu pocisków. Rozumiesz?

- Jeden wystarczy na kompanię? Fantastyczne! Nie dziwię się, że kraje pustynne marzą o czymś takim.

- Tak. Ale, jak się sam domyślasz, nie możemy przesłać naszym przyjaciołom fizycznych pocisków, bo są one dopiero w trakcie dopracowywania. Na poligonach. Możliwe jest dostarczenie dokładnych danych technicznych, opis materiałowy, inaczej mówiąc. Na pustyniach Bliskiego Wschodu jest dostatecznie dużo miejsc na zrobienie poligonów. A stopy metalu dostaną z Rosji. Bez problemu.

- Czy będzie czas na zrobienie mikrofilmów? I kto to zrobi? Gottfried odstawia filiżankę.

- I tu jest szkopuł. Nie będzie czasu. Dwudziesty sierpnia się zbliża z prędkością ponaddźwiękową. Trzeba przerzucić kupę papieru. Arabowie mają pewien pomysł. Nasza rada musi go tylko zaakceptować. W tej sytuacji przesyłka musiałaby przejść przez Paryż.

- Jednak Kameleon?

- Nie. Coś się w tej jego pracy nie udało. Zbyt wiele przypadków. W sprawie pożaru we Frankfurcie... przesłuchiwaliśmy chłopaka. Płacze się w zeznaniach. Twierdzi, że nie spał ani minuty. Pamięta huk i pożar. A to nie musiał być piorun. Grubera z nowego lotniska w Monachium nie udało się przesłuchać. Idiota, ze strachu popełnił samobójstwo. Powiesił się w łazience na drugi dzień po wypadku.

Mecenas tłumy ziewanie. Czuje zmęczenie po nieprzespanej nocy.

- Co mam odpowiedzieć Kameleonowi?

- Że swoją pracę wykonał. Więcej forsy nie dostanie.

\*\*\*

Świt rozjaśnia kwadrat okna. Świeże powietrze wydyma białą firankę. Z ulicy dochodzi łoskot śmieciarki. Zaraz nadjedzie samochód dostawczy do sklepu spożywczego. Liliana przeciąga się w łóżku.



Od czasu, gdy zamieszkała przy Kirchengasse, jej życie zmieniło się diametralnie. Achim przynosił teksty do tłumaczenia. Siedziała przy maszynie wściekła na bzdury, które przyszło jej przepisywać: przemówienia Adolfa Hitlera, listy dialogowe ohydnych, antysemitowskich filmów, skrawki pamiętników generałów Trzeciej Rzeszy, odezwy do Polaków. Pracowała sumiennie, chcąc jak najlepiej wywiązać się z podjętego zadania. Nie miała już żadnych kłopotów finansowych. Czasem, wspólnie z Achimem, zjadali obiad, który przygotowywała z całym namaszczeniem. Pili czerwone wino lub po szklaneczce piwa, kochali się bez słów, potem on wychodził. Lilka czuła, że jest potrzebna. Że ktoś ceni jej pracę. Nie miała większych skrupułów w korzystaniu z książeczki czekowej. Kupiła trochę bielizny, parę niezłych sukienek, wygodne obuwie. Zaczęła egzystencję osoby lepszej kategorii. Bo dotychczas, choć od przyjazdu upłynęło dwanaście lat, czuła się zawsze jak turecka Gastarbeiterka. I tak ją przeważnie traktowano. Teraz, mając oparcie w Achimie, w tym co sobą reprezentował, czuła się psychicznie wyzwolona. Dużo rozmawiali na temat Niemiec i Polski. O wszystkich słowiańskich fobiach i pruskim drylu. O napadach na Polaków i azylantów. O zdumiewającej bezkarności sprawców i wyjątkowo niechętniej policji. O nowych ekscesach antysemitów i sondzie przeprowadzonej na ulicach Monachium, gdzie ponad połowa pytanych Niemców twierdziła, że „Hitler bez wojny i prześladowania narodów byłby jednym z największych niemieckich mężów stanu”. Część ze złością mówiła o nowym zagrożeniu „żydokomuną”.

- Co o tym myślisz? - pytał Achim. Lilka przystanąła w pół drogi do kuchni.

- O kim? O Żydach? - zamyśliła się. - Powiem ci. Kiedyś popełniłam coś obrzydliwego. Z zemsty, zawiści, zazdrości. To było w sześćdziesiątym ósmym. Tak zwani „Partyzanci”

zrobili pogrom intelektualistów żydowskiego pochodzenia. Pretekstem były rozruchy na uniwersytetach.

- Wiem. Znam sprawę - Achim oparł brodę na dłoni.

- To dobrze. Nie muszę wszystkiego tłumaczyć. Miałam koleżankę, w której zakochał się mój dawny narzeczony. Gwoli sprawiedliwości, już od wieków nie był moim narzeczonym. Miał żonę i dziecko, które chciał opuścić dla tej „trzeciej”.

Powiedziałam jej wówczas: „Nie uda ci się go złapać. Jesteś Żydówką, której nie wolno rozbijać katolickiego małżeństwa!” Achim szeroko otworzył oczy.

- Wierzyłaś w to?

- Ale skąd! Jestem ochrzczona. Nawet bierzmowana. Ale nie mam nic przeciwko rozwodom. Chciałam tylko jednego: żeby nie dostała Krzysztofa!

- I co? Nie dostała?

- Ano nie - Lilka ciągle trzyma sztywno tacę z brudnymi talerzami. - Nigdy w swoim życiu nie widziałam takiego wzroku, jakim popatrzyła na mnie Karolina. Zniknęła z naszego życia, i życia Krzysztofa. Nigdy już jej więcej nie widziałam. Wiem z plotek, że po kilku latach spotkali się z Krzysiem. Nawet sypiał z nią. Ale był już wtedy żonaty po raz drugi. Wstyd mi dzisiaj, gdy sobie pomyślę, co ona musiała przeżywać. Wtedy, w tych latach, okropność!

Achim wstał. Wyjął tacę ze zdrewniałych rąk Lilki. Odniósł bez słowa do kuchni. Poszła za nim. Ujął tej twarz w swoje dłonie.

- Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Dziękuję. Uśmiechnęła się smutno.

- Od tamtych lat wiele się w życiu nauczyłam. Chciałabym... - zamilkła na moment. - Chciałabym móc jej to kiedyś wynagrodzić.

- Co by to dało? Jesteście dziś starsze o dwadzieścia cztery lata. Może wyemigrowała do Izraela... ma dzieci, wnuki?

Lilka pokręciła głową.

- Jest... była w Polsce. Nie uciekła. Czytałam o niej w gazecie. Maluje, wystawia...

- To dobrze, Li. Znaczy, że nie przyczyniłaś się do jej bezsensownej ucieczki. - Ale ona kochała Krzysztofa. Bardziej niż ja kochałam go niegdyś. A w końcu dostała go na własność głupia gęś.

Achim roześmiał się głośno.

- Jakie to kobiece! Czy nie sądzisz, że na to zasłużył? Są mężczyźni, dla których najwyższą zdobyczą jest bezwzględnie podporządkowana kura domowa.

- Może małżeństwo Karoliny z Krzysztofem stałoby się piekłem?

Achim objął ją w pól.

- Niewykluczone. A teraz zostaw zmywanie. Mam ochotę na coś ciekawszego. - Jego dłonie rozpinały bluzkę. Odwrócił ją przytulając twarz do nagich piersi. - Chodź!

Dwie godziny później brał prysznic w nie domkniętej łazience. Wszedł do sypialni owinięty w prześcieradło kąpielowe. Przyglądała mu się, gdy się ubierał. Miał ciało szczupłe, trochę żylaste. I gęsty zarost na piersiach.

- Pojedziesz ze mną do Paryża? Usiadła z rozmachem.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Muszę pobyc w Paryżu przez jakiś czas. Nie pytaj o szczegóły, bo sam nie wiem, jak to długo potrwa. Chcę się tam przyjrzeć temu i owemu. Dla ciebie też mam pewną propozycję...

- Mogę się domyślić: żebym sobie kupiła futro z norek? Achim rzucił w nią jaśkiem.

- Nigdy nie będzie mnie stać na futro z norek. Może... imitacja? Za to chcę cię poznać z kimś, kto kupuje norki własnej żonie.

- Są jeszcze tacy? Na tym najpiękniejszym ze światów?

- A jakże. Nazywa się Willi Knopf. Mieszka w Bonn z żoną - Polką. Na imię jej Zofia.

Liliana naciąga kołdrę na ramiona. Zrobiło się chłodno.

- Trafiła jelenia? Jak jej się to udało?

- Nie wiem. I przyznam, że mało mnie to obchodzi. Ale zależy mi na tym, byś ją poznała. I spróbowała może coś z niej wyciągnąć.

- Co?

- To dłuższa historia. Dziś już nie mam czasu. Ale pomysł jest przedni: dwie Polki zamieszkałe w Republice Federalnej poznają się gdzieś tam, przypadkowo.

I gadają, gadają...

Lilka skrzywiła się.

- Od jakiegoś czasu żyję jak w bajce. Może tylko nie w tej, co trzeba? Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Mści się u was, Polaków, jedna z tez Marksa: chcecie szybciej zmienić świat niż go tłumaczyć!

\*\*\*

- Karolino Stengert, jesteś wspaniała! - Jean Paul obwąchiwał tortownicę.

- Nie przeszkadzaj. Piekę ciasto.

- Co z nim zrobimy? Wygląda jak krowi placek. Zjemy, czy wybijemy nim okno? Karolina unosi zaróżowioną twarz. Bardzo szybko zaakceptowała nowe lokum przy rue Valery pomiędzy Avenue Victor Hugo i Avenue Foch. Może dlatego, że znajdowało się w doskonałej dzielnicy. Cztery duże pokoje z oszkloną werandą, przestronna kuchnia i okropnie błękitna łazienka. Znalazłszy tam rzeczy Jean Paula sądziła, że to jego mieszkanie. On nie wyprowadzał jej z błędu. W

rzeczywistości apartament należał do służb specjalnych, a sprzątaczką Anette, przychodząca dwa razy w tygodniu, była wieloletnią pracownicą wywiadu, choć jak sama twierdziła, wolała sprzątać.

- Co by było, gdybym przygotowała ci kolację?

- Kolację?

- Tak. To taki posiłek, który się je, gdy jest ciemno. Jean Paul wydłubuje spieczony agrest z kruchego placka.

- Myślałem... że gdzieś wyjdziemy. Co jest? Taka cisza, że słyhać tylko szelest zwojów mózgowych... o co chodzi? Chcę znać prawdę, do diabła! Karolina tłumi złość.

- Dobrze. Powiem: łysiejesz!

Jean Paul wytrzeszcza oczy. Scukrzony owoc utyka w przełyku.

- No... - nie może wykrztusić. Wypija duszkiem szklanke soku. - To nie było fair play.

Karolina posypuje placek cukrem.

- Bo i ty nie grasz czysto. Kiedy idziemy gdzieś razem wieczorem, przeważnie potem się gubisz. I pojawiaasz się nad ranem. Albo wcale.

Jean Paul już wrócił do równowagi. Gładzi dłonią siwiejącą czuprynę. Nie ma mowy o żadnym łysieniu.

- Wiedziałem, że tak będzie, miła. I uprzedzałem. Nie wszystko, co robię, jest do wytłumaczenia. Proszę cię, Charlotte, nie komplikuj.

Karolina uśmiecha się jadowicie.

- A zatem: zjesz deser tu, czy zapakować?

Jean Paul jest łasuchem. Bardzo mu smakuje placek a la maniere polonaise.

- To pewien ekspedient pytał zachwyconą klientkę w salonie samochodowym: „Zapakować, czy zje go pani na miejscu?” Ale masz rację, mała. Dziś nie będę nocował z tobą. Sorry.

- Nie sądź, że z tego powodu zburzę Bastylię!

- A propos, czy wiesz, że kiedy czternastego lipca lud Paryża wtargnął do Bastylii, zobaczył tam tylko siedmiu więźniów, w tym dwóch obłąkanych, jednego nienormalnego młodzieńca trzymanego pod kluczem przez swoją rodzinę, która łożyła na koszty jego utrzymania, oraz czterech wyrostków oskarżonych o fałszerstwo!

- Wiedziałam, że historia Francji to jedna wielka megalomania!

- I nie pomyliłaś się. A teraz przyjdź tu i daj mi buzi.

Karolina chętnie spełniła prośbę. Uwielbiała, gdy Jean Paul ją całował. I wiedziała, że na tym się nie skończy.

\*\*\*

W pracowni Christy panował nieopisany rozgardiasz. Na siedem dni przed wielkim show wszystko wyglądało tak, jakby czas stanął w miejscu. Maria miała sine worki pod oczami, dziewczyny padały z nóg, a reżyser, z płachtami papieru, na których rozrysowywał cały spektakl, zmienił salon w śmietnisko. Jeśli dodać do tego dostawców tkanin, koronek, piór i sztucznej biżuterii, ich nie zapłacone wciąż rachunki, ból głowy Piranii i odwiedziny najbogatszej kobiety świata - wizja końca ziemskiego globu materializowała się coraz wyraźniej.

- Co to za baba? - pytała Karolina, ale nikt nie miał czasu jej odpowiedzieć. - Królowa gumy do żucia czy właścicielka koncernu Coca - Cola?

- Ukochana żona króla nafty. Przestań nudzić, Charlotte, weź się do pracy! Na szczęście pojawiła się Nicole wprowadzając trochę spokoju.

- Hanum Abi - Khan. Pierwsza dama Zatoki i okolic. Zamówiła ślubną suknię dla swojej ulubionej wychowanki, córki radcy handlowego w Warszawie.

Karolina przysiadła na beli białego atłasu.

- O rety! Jaka szkoda, że nie zobaczę wesela!

- Niewykluczone, że zobaczysz! - Pirania weszła postukując wysokimi obcasami. - Tę suknię sama zawieziesz do Warszawy. Jako przesyłkę specjalną. Nikomu innemu jej nie powierzę. Mam nadzieję, że spełnisz moją prośbę. Hanum Abi - Khan pokrywa wszelkie koszty. Pudło z suknią weźmiesz do kabiny. Wiem, że to kłopot, ale jesteś mi coś winna, Karolino.

Nicole słuchała z rosnącym zdziwieniem.

- Dziwny warunek tej Arabki. Powinna wynająć prywatny samolot. Karolina nie powiedziała ani słowa. Jasne, że nie może odmówić Piranii, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ma jednak żal, że Christa nie pomyślała o trudnościach, na jakie naraża cudzoziemkę. Polakom wolno przebywać we Francji najwyżej trzy miesiące. Od jej przyjazdu upłynęło dopiero sześć tygodni. I nagle, bez uprzedzenia, trzeba wracać. Co powie Jean Paul? Najgorsze są takie gwałtowne rozstania. Nikt nigdy nie może przewidzieć, czy ewentualny powrót będzie miał jeszcze jakiś sens.

- Oczywiście, Christa. Kiedy jest ten ślub?

- Za tydzień wypada nasz „Big - Bac” i, mam nadzieję, twój tryumf. W piątek. Suknię trzeba odwieźć najpóźniej w poniedziałek.

Jakie to proste - myśli Karolina unosząc się z miękkiego siedziska. Bela materiału okazała się potrzebna dekoratorom. - Christa o wszystkim zadecydowała. Taka jest. Bezwzględna i perfekcyjna. Żaden dom mody nie odmawia wykonania ślubnej sukni za pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Czy panna młoda jest chociaż ładna? - zapytała melancholijnie. Jej nigdy nie udało się stanąć na ślubnym kobiercu w białym welonie.

- Ma szesnaście lat, osiemdziesiąt centymetrów obwodu w pasie i wzrost siedzącego buldoga - mruknęła Maria przechodząc. Sześć par nożyczek pobrzękiwało u jej paska.

- To nie oblubienica, lecz beczułka z piwem! - jęknęła Nicole.

Christa wzruszyła ramionami. Nie takie cuda widywano w tej pracowni. Odpowiedni fason, materiał, całe morze tiulu i kwiatów potrafi przemienić gąsienicę w barwnego motyla. Wszystko jest tylko kwestią umiejętności. Za to właśnie bierze bajeczne pieniądze.

- Bywało gorzej. Wnuczka Rockefellera brała ślub w ósmym miesiącu ciąży. A na zdjęciach wyglądała jak filigranowa pastereczka z miśnieńskiej porcelany. No, Karolino! Do roboty! Musisz zdecydować, które wstążki pójdą do kanotierek. Ja tego za ciebie nie zrobię. Aha, zapomniałam dodać: polecisz Air France w klasie bussines. Nafta płaci! Na lotnisku w Warszawie zgłosi się ktoś z ambasady i odbierze pudło. Jasne?

\*\*\*

Przed lunchem, o dwunastej, pojawił się w pracowni Troy. Razem z nim wtoczył się jakiś amerykański grubas o uroczym uśmiechu.

- To znany nowojorski pisarz, Jerry Baker. Przywłókł się ze mną, bo nigdy nie widział z bliska paryskiej haute couture. Nicole, Charlotte, pokażcie mu parę nie ubranych modelek, co?

Christa zagryzła wargi. Nie znosiła, by ktoś wydawał polecenia w jej pracowni.

- Zechce pan zabrać monsieur Bakera na Pigalle. Tu nie maisonclose! Nie ogląda się golizny!

Troy wraz z przyjacielem jak zdmuchnięci wynieśli się do pobliskiej „La meduse” na frutti di mare. Amerykanin śmiał



się, aż mu podskakiwał brzuch. Miał twarz teksańskiego poganiacza bydła.

- Ale baba! Z piekła rodem!

- Co on pisze, Troy? - Karolina nie знаła angielskiego. Tyle że język, którym paplał pisarz z Bostonu, mało przypominał klasyczną mowę Shakespeare'a.

- Jest dobry w tym, co robi. Właśnie dostał Pulitzera za tom opowiadań amerykańskich. Doceniają go krytycy.

Jerry uśmiechnął się. Słabo rozumiał po francusku.

- Docenili mnie, bo w społecznościach analfabetów skrybów uważa się za świętych! Ale dołożyło mi żydowskie lobby. Porównałem statek z Żydami pływający po morzu w czasie holocaustu, którego nikt, żaden kraj nie chciał przyjąć, do barki z odpadami, śmieciami, której dziś też nie chce żaden kontynent.

- Dość okrutne porównanie - uśmiech Nicole zgasł.

- Ale prawdziwe.

Karolina postanowiła zmienić temat. Z doświadczenia wiedziała, że nie wszyscy ludzie chcą ranić. Po prostu są sobą. Mówią, co myślą. Nie można wciąż mieć pretensji do świata. Do diabła! Historia Żydów nie kończy się i nie zaczyna na holocaustie, pogromie kieleckim i sześćdziesiątym ósmym roku.

- Co pana sprowadziło do Paryża?

- Raczej do Europy. My, Amerykanie, traktujemy stary kontynent jako całość. Ale na serio: wsiadłem do samolotu lecącego do Paryża, bo był o cztery godziny wcześniejszy niż ten do Rzymu.

- To oryginalne - wtrąciła Nicole. - Rozumiem, że na kolacji będzie już pan pod Koloseum?

Amerykanin pochłaniał krewetki w sosie własnym pomagając sobie dużym kawałkiem bułki.

- Interesuje mnie pewna sprawa. Otóż KGB miało w Watykanie szpiega na wysokim stanowisku. Wyjawiał to dwa dni temu były generał KGB Borys Sołomiatin w wywiadzie dla włoskiej „Panoramy”. Powiedział dosłownie: „Nie dalibyśmy sobie bez tego rady. Watykan trzeba obserwować nieomal jak supermocarstwo”. Jutro jest konferencja prasowa z tym facetem. Uznałem, że to dla mnie niepowtarzalna gratka. Watykan mnie inspiruje już od dawna. Mam mnóstwo ciekawego materiału. Ale chcę zadać Rosjaninowi parę pytań.

- Zapewne jest już zmęczony władzą, którą miał? - spytała Karolina. Troy wybuchnął śmiechem.

- Władza męczy tylko tych, którzy jej nie sprawują. To powiedział nasz najlepszy szef policji: Fouche.

\*\*\*

- No, co tam u was? Julia wzięła głęboki oddech.

- Sensacja, Krzysiu! Okazało się, że Michał miał jakąś żonę albo narzeczoną w ciąży.

- Nie rozumiem.

- A co tu jest do rozumienia? Być może miał dziecko.

Julia ociera twarz chusteczką. Strasznie się poci. I nie tylko z upału. Źle znosi swoje pięćdziesiąt dwa lata, babskie klimakterium. Krzysztof wyraźnie nie kojarzy.

- Co to znaczy: być może? Zgłosiła się ta... żona?

Julia stara się wyswobodzić z rękawa szlafroka. Znów jest jej za gorąco.

- Przez telefon ci tego wszystkiego nie wyjaśnię. Dałam ogłoszenie do prasy, może się zgłosi...

- Po co? Co cię to obchodzi? Nie mieszaj się do prywatnych spraw! Julia jest zdumiona. Sądziła, że ją pochwalą za szybkość działania.

- Ale ta rodzina... powinni wiedzieć, że Michał... bo policja... Głos Krzysztofa brzmi histerycznie. Zaraz zaczną wrzeszczeć.

- Zakazuję ci mieszać się w sprawę śmierci Michała!  
Zrozumiałaś?

Julia buntuje się. Nie pozwoli, by na nią krzyczał. Zamiast tu przyjechać, pomóc...

- Nic nie rozumiesz! - też podnosi głos. Zdarza jej się to rzadko. Ale się zdarza. - Rola ciotki w tym wszystkim wcale nie jest taka świetlana.

- Zabierz ją i wracaj. Jest możliwość kupna mieszkania po naszych sąsiadach. Miałabyś ją tuż pod bokiem. Zadzwoń znowu, cześć!

Dzwonek u drzwi brzęczy ciszej niż zwykle. Jakby ten, kto go dotyka bał się pobrudzić palca.

- Qui est là? - tyle się nauczyła po francusku. A i to niezbyt poprawnie.

- Francine Drouot. Votre annonce dans le journal...

Drzwi w mieszkaniu Stefanii nie mają wizjera. Ani łańcucha. Julia otwiera zostawiając szparę. Widzi miłą choć zniszczoną twarz kobiety koło pięćdziesiątki. W czarnych, zaczesanych do góry włosach prześwitują srebrne pasma. Jest średniego wzrostu, krępa, ubrana z charakterystyczną małomiasteczkową elegancją.

- Jestem Julia Sulikowska. Nie mówię po francusku.

Kobieta otwiera starą, zniszczoną plastikową torebkę. Wyjmuje wycinek z gazety.

- Cest moi. Francine Karat - mówi stukając się palcem w okolicę serca. - La fille de Michał.

Julia rozumie. Trudno byłoby się nie domyślić. Wpuszcza kobietę, nie bardzo wiedząc jak się zachować.

- Ja zaraz... ciotka... ona zna francuski. Proszę...

Kobieta wchodzi. Nie ma żadnego bagażu. Rozgląda się po mieszczańskim wnętrzu z uwagą i wyraźną ciekawością. Julia otwiera drzwi do pokoju ciotki.

- Ciociu, przyjechała pani. Mówi, że jest córką Michała...

Staruszka zaciska wargi.

- Niech wejdzie.

Dwie obce kobiety patrzą sobie uważnie w oczy.

\*\*\*

Halina Stępień słucha opowieści Julii, raz po raz spoglądając na szczelnie zamknięte drzwi. Jeśli cokolwiek słyhać, to raczej głos ciotki. Od przyjazdu Francine upłynęły już ponad dwie godziny. Chciały podać kawę lub herbatę, ale Stefania wypłoszyła je wysoko uniesioną dłonią.

- Ciekawe, co te kobiety mają sobie do powiedzenia?

Julia wzrusza ramionami.

- Jak z amerykańskiej opery mydlanej. Oglądam coś takiego w Warszawie. Czasem siedzimy z sąsiadką, jemy coś dobrego i umieramy ze śmiechu!

Nie mówi prawdy. Wcale się nie śmieje. A jeśli tak, to tylko dlatego, że wstydzi się przyznać do nieopanowanej ciekawości, co nowego zdarzyło się w rodzinie Carringtonów z Denver.

Halina pociąga usta pomadką. Chciałaby już pójść do domu, ale jak tu zostawić zdesperowaną Polkę?

Wreszcie gość wychodzi. Ma zapłakane oczy, mokrą chustkę w garści i nisko opuszczoną głowę. Prawą dłoń ukrywa za plecami, jakby miała w niej coś parzącego.

- Odprowadzę panią do drzwi - mówi Halina.

Francine kiwa głową. A potem mówi coś, co spowoduje, że Julia nie będzie mogła zmrużyć oka aż do białego rana.

- Zabiorę ją do Boulogne - sur - Mer. Niech dokona żywota przy prawnukach Michała.

Halina Stępień patrzy na Julię osłupiała. Powtarza słowa, które z trudem przechodzą jej przez usta.

- Coś nieprawdopodobnego! Widziała pani ten pierścionek? Na środkowym palcu! Brylant niczym kostka cukru!

Julia mruga rzęsami. Zna ten pierścień. Ciotka nigdy się z nim nie rozstawała. Mówiła, że nie schodzi z palca. Może bała się, że ona, Julia, ma na niego ochotę? Bzdura! Ma dość własnej biżuterii. Lubi od czasu do czasu, przy specjalnej okazji, błysnąć klejnotem. Krzyś mawiał zawsze: jak chcesz coś ze złota, to kup sobie! Ja się na tym nie znam. Ale czasami obiecywał „ładny brylancik” z podróży na Litwę. Z reguły jednak wracał z maszynką do robienia pierogów.

- Ciotka jej dała. Pewnie to jedyna pamiątka po Michale.

Stefania Bonerska weszła do jadalni wyprostowana, w brązowej sukni z koronkowym kołnierzem. Te brabanckie koronki w kolorze ecru znakomicie podkreślały siwą głowę.

- No, cóż, Julio. A, widzę, że i pani tu jest, mademoiselle Stępień. Postanowione. Przenoszę się do Boulogne - sur - Mer. Będę mieszkała z Francine. Jest wdową po rybaku Drouot. Ma syna i trójkę wnucząt. To prawdziwa córka Michała. Tylko dlaczego nazywa się Francine? Miało być inaczej...

Julia patrzy z niechęcią na starą kobietę. Ta niechęć narastała w niej już od paru dni. Dokładnie od chwili, gdy otworzyła kasetkę z listami i zdjęciem.

- A nie sądzi ciocia, że gdy Michał tak nagle zniknął, jego żona...

- To nie ma żadnego znaczenia! - przerywa ostro. - Wtedy była wojna. Młodzi chłopcy znikali na zawsze. Miejsca ich grobów do dziś nie są znane. Michał był w Forces Francaises de l'Interieur!

- Przepraszam - Halina jest zafascynowana tyleż staruszką, co i jej brabanckimi koronkami. - Czy pan Karat... nigdy już potem nie widział swojej żony? Wiedział, że spodziewała się dziecka...

Stefania uśmiecha się.

- Są różne kobiety - mówi lekceważąco, masując czerwony ślad po pierścionku. - Kiedy Michał przespał się ze mną, już nie chciał wracać do Hawru. Potrzebował matki i kochanki. Nie żony - dziecka. Byłam jedną i drugą. I jeszcze mużką. Tak mówił. Kiedy jechał załatwiać jakieś trudne, niecierpiące zwłoki sprawy, zawsze przychodził do mnie do pokoju. Siadał na podnóżku, głowę kładł na moich kolanach i mruzczał miłe słowa. On mnie kochał ponad wszystko na świecie...

Julia i Halina wstydziły się podnieść głowy. Stara kobieta mówiła prawdę z całą bezwzględnością. Z taką samą, z jaką usidliła niegdyś młodego chłopaka. Amoralna i zarazem wielka w swoich tajemnych umiejętnościach. Odpychająca i wspaniała.

- Dziś już nie ma takich kobiet! - powiedziała cicho Halina po wyjściu ciotki.

- Ani takich uczuć - westchnęła Julia.

- Jak to? Przecież pani jest szczęśliwa w małżeństwie?

Tak. Jest szczęśliwa. Wie, że Krzysztof nigdy jej nie opuści. Choć zdradza ją od wieków. Wśród przyjaciół uważani są za bardzo dobre, wprost modelowe „stare małżeństwo”. Z dobrze urządzonego mieszczańskiego domu, realistycznymi obrazami, psem i kotem. Tylko dlaczego do niej nigdy nie podejdzie, nie przytuli? Cóż, jest szczęśliwa.

- Och, mam dobrego męża - mówi Julia powoli. Znowu boli ją bark. Ten przeklęty bark złamany, gdy się pośliznęła w zimie na środku jezdni. - Bardzo mnie kocha.

Halina Stępień milknie.

- Już pójdę. Musi pani uzgodnić z ciotką sprawę przeprowadzki. To jednak szalona decyzja. - Zatrzymuje się w pół kroku. - Coś sobie przypomniałam! Mam propozycję. Dla lepszego samopoczucia. Zapraszam panią na pokaz mody w hotelu „Ritz”. W piątek o dwudziestej drugiej. Co pani na to?

Julia uśmiecha się.

- Naprawdę? Do „Ritza”? Widziałam go tylko z zewnątrz. Halina macha dłonią.

- I tym razem będzie to „tylko z zewnątrz"! Pokaz właściwie odbywa się na placu przed hotelem. Modelki schodzą po specjalnie przygotowanych pomostach z wysokości pierwszego piętra. A główną projektantką jest, proszę sobie wyobrazić, nasza rodaczka. Polka! Dlatego dostałam zaproszenie. Ktoś z polskiej ambasady nie może przyjść. Jak to zwykle u nich... no? Jak?

- Chętnie. Dziękuję. Należy mi się chwila relaksu. I dobrze jest wiedzieć, co się nosi w Paryżu.

- Więc do piątku!

\*\*\*

Kret parkuje volkswagena przy bocznej uliczce. Sprawdza kartę z numerem konta. Wszystko się zgadza. Bayerische Bank jest ponurym szarym gmazyskiem, naszpikowanym elektroniką od podziemi po dach. Próbować włamania - to tak, jakby spacerować po własnej łazience z odbezpieczonym granatem w wewnętrznej kieszeni piżamy. Wydział Czwarty na pierwszym piętrze obsługuje konta specjalne. Siwowłosy dystyngowany urzędnik uprzejmie podaje blankiet.

- Szanowny pan podejmuje gotówkę? Kret przecząco kręci głową.

- Przelewam całą sumę do Credit Lyonnais w Boulogne - sur - Mer.

- Całą sumę? - urzędnik musi się upewnić.

Na koncie jest trzysta tysięcy marek. Gdyby nie dokument, który przedstawia współwłaściciela, musiałby zameldować o tym dyrektorowi Blumenfeldowi z Wydziału Operacyjnego. Jednakże identyfikator rozprasza wszelkie wątpliwości. Wydział Czwarty dysponuje pewną niezależnością. Po to został stworzony. Nie wiadomo, co

będzie, gdy Bundesrepublik przystąpi do wspólnej waluty EWG. Ale na razie takie przelewy pomiędzy bankami dwunastki są dopuszczalne, gdy nie przekraczają sumy pięciu milionów.

- Dziękuję, to wszystko - mówi uprzejmie.

- Kiedy mogę je podjąć we Francji?

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli zbyt późno, to...

- Nie, dziękuję - Kret obdarza wytwornego pana miłym uśmiechem. - W zupełności wystarczy.

\*\*\*

Lilka siedzi w piwiarni „Pod Starym Słoniem”. Fritz wpatrzony w jej dekolt miętosi papierową serwetkę.

- Dostanę... olbrzymie odszkodowanie za spalony dom. Na razie jeszcze policja prowadzi tam śledztwo. Czy... ten twój znajomy wiedział, że to się stanie?

Liliana uśmiecha się łagodnie.

- Nonsens, Fritz. Prosił cię, żebyś go ubezpieczył. Tak postępuje każdy rozsądny człowiek.

- Ale on mówił, żeby wysoko... no, żeby ubezpieczenie było na wysoką sumę. Jakby coś przeczuwał...

- Każdemu by tak poradził. Szczególnie, że ci ludzie... - ściszyła głos - ci z tatuażem na nadgarstku są bardzo niebezpieczni. Ale to tylko burza, Fritz. Wiesz, co się w tym dniu działo w całych Niemczech. Prawie apokalipsa.

- I tu, w Monachium, zalało kilka piwnic.

- Widzisz. Czy... któryś z tych... panów był tu, u ciebie, po tym wszystkim?

- Tak. Jeden. Niemiec. Wypytywał mnie - zaśmiał się ponuro - taki krzyżowy ogień pytań. Jak na przesłuchaniu.

- Odpowiedziałeś na wszystko? - Liliana nie daje po sobie poznać niepokoju. Pyta, bo ją o to prosił Achim.



- Tak. Nie mam żadnych tajemnic. Jedynie ty jesteś moją tajemnicą...

- O mnie też pytał?

Fritz nakrywa jej rękę swoją dużą dłonią.

- Masz mnie za głupca, Lili?

- Nie gniewaj się, Fritz - Liliana krzywi usta. Jest jej przykro. - Przecież mogli wypytywać Karla albo...

- Niczego by się nie dowiedzieli. Moi pracownicy wiedzą, co im wolno, a czego nie. Jeśli chcą u mnie pracować. Już nieraz miałem dowody ich lojalności. W sprawach podatkowych także. W każdym razie podziękuj temu... panu - Fritzowi z trudem słowa przechodzą przez gardło - za umiejętność przewidywania. Zyskam dużo pieniędzy. A dom i tak był trudny do sprzedania. Niewiele inwestuje się na terenach byłej NRD. Ale ja tu o swoich sprawach. Co u ciebie? Wiem, że pracujesz, zmieniłaś mieszkanie.

- Tak. Dobrze zarabiam. Tłumaczę różne książki z polskiego.

Liliana nigdy by nie pisnęła słowem, jakie to są książki. Lubi Fritza, jest mu za wszystko szczerze wdzięczna, ale opowieść o swastyce w laurowym wieńcu, którą nosił również jego ojciec, podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Za dużo w tym krwi, za wiele krzywd. Może kiedyś inne pokolenia zniwelują tereny obozów koncentracyjnych, zapomną o przeszłości. Ale dopóki żyje chociaż jeden człowiek pamiętający wojnę - strach wciąż będzie zżerał dusze.

- Wyjeżdżam do Francji. Na krótko.

- Z nim? Z Achimem?

Liliana patrzy mu głęboko w oczy.

- Nie chcę cię okłamywać, Fritz. Żyję z nim. Ale nigdy nie będę jego żoną.

Lindmacher ma na ustach gorzki cień uśmiechu. Bardzo chce, żeby to wyglądało naturalnie.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - duża, ciepła dłoń obejmuje jej wąskie palce. - I wpadnij tu do mnie czasami.

Lilka jest szczerze wzruszona. Nie wie, jak zareagować. Ma łzy w oczach. Fritz nie zamierza jej w tym pomóc. Już teraz nie.

- Dziękuję, wpadnę. Obydwoje wiedzą, że to nieprawda.

\*\*\*

W mieszkaniu na Kirchengasse panuje lekki bałagan. Pod nieobecność właścicielki Achim pakuje do dużej torby wszystkie książki, druki i maszynopisy. Muszą stąd zniknąć, zanim on i Liliana zamkną za sobą drzwi na cztery szyfrowe zamki. Pierwotnie zaplanowana podróż samolotem do Paryża uległa zmianie. A wszystkiemu winne drobne ogłoszenie w gazecie o poszukiwanych ewentualnych spadkobiercach Michała Karata.

Taki przyjaciel - myśli Kret - a nie przyznał się do córki! I był dokładnie sprawdzany. Przez wszystkich. Nie wyłączając Komitetu Połączonych Służb Wywiadu, osławionego w EWG - Joint Intelligence Committee. I nic! Zakamuflował dwa lata swojego życia. A przecież przejęli, po wojnie, całą dokumentację dotyczącą Francuskiego Ruchu Oporu oraz FFI, łącznie z wszystkimi cudzoziemcami wówczas współpracującymi. W tym i Karata. Dlatego też Biuro Zadań Specjalnych - amerykańskie Office of Special Projects, zwróciło się do Michała, w swoim czasie, o pomoc. Dlatego on, Kret, był Karata szefem i opiekunem na terenie Niemiec. Aż do czasu, gdy go dorwały te neonazistowskie hieny! Michał nie naruszył pieniędzy składanych na tajnym koncie w Bayerische Bank. Do którego identyfikator spoczywał w biurze Achima: najtajniejszej komórce niemieckiego wywiadu. Teraz przyszedł czas, aby zrobić to, co kiedyś obiecał: że w razie czego pieniądze przekaże na szczytny cel.

Tym „celem” stała się córka Michała. Odkryta przez przypadek Francine Drouot, wdowa po rybaku.

Wejście Liliany przerwało rozmyślenia.

- Co się tu dzieje? - spytała zdziwiona.

- Likwidujemy się.

Potrząsnęła głową, ale o nic więcej nie zapytała.

- Daj, pomogę. Inaczej pomieszasz strony.

- Zrób raczej jakieś befsztyki z sałatą. Wyjeżdżamy jutro o świcie.

- Do Paryża?

- Nie. Ominiemy chwilowo Paryż. Pojedziemy samochodem przez Gandawę, Lille do Boulogne - sur - Mer.

- Wspaniale! Dla mnie cudowna podróż. Nigdy nie byłam ani w Belgii, ani we Francji. Całe moje zakichane pokolenie niełatwo dostawało paszporty. A jeszcze trudniej dewizy - wyglądała na szczerze ucieszoną.

Przygotowywała obiad tak podniecona, że zapomniała o oliwie do sałaty.

- Mamy gdzieś jeszcze butelkę reńskiego? - spytał. Skinęła głową.

- Czy powinieneś pić przed podróżą? Wytrzeszczył na nią oczy.

- Na miłość boską! Przecież nie piję wódki. A poza tym do wyjazdu mamy mnóstwo czasu. Daj kieliszki.

Po winie był jeszcze czas na miłość.

\*\*\*

Pakowano się również w Bonn. Mecenas Knopf osobiście dobierał krawaty. Zofia stała, z rękoma na plecach, wpatrzona we wnętrze głębokiej, dwumetrowej garderoby. Wisiały tam jej suknie, płaszcze i od niedawna futro z norek, w ochronnym antymolowym worku.

- Słowo daję, nie wiem co zabrać.

Willi uśmiechnął się. Wiedział, co to znaczy dla kobiety. Jego poprzednia żona dała mu się w tym względzie nieźle we znaki. ; - Nie bierz zbyt dużo, Sophie. Coś sobie przecież zechcesz kupić w Paryżu. Odwróciła się zarumieniona.

- Naprawdę? Będę mogła pójść do Galerie Lafayette? Podobno tam jest dosyć drogo.

- Naprzód zobaczymy pewien pokaz mody. Wielki show na placu Vendome. Zostawili mi dwa zaproszenia.

- Zaproszenia? Kto?

Willi wrzucił do otwartej walizki cztery pary nowych skarpetek. Nie powie żonie kto. Nie powinno mieć dla niej żadnego znaczenia, że pewien pracownik francuskiego wywiadu, zwerbowany do współpracy przez Wilki Mengelego trzy lata temu, ma tak dobre kontakty z haute couture w Paryżu. Willi Knopf tak naprawdę nie wiedział, po co ma iść na ten pokaz, ale skoro zależało na tym „człowiekowi Leloupa”, to widocznie miał jakiś zamysł.

- Prawnicy niemieccy mają swoich przyjaciół wśród palestry francuskiej - odparł miękko. - Prosiłem ich, aby nam umilili pobyt. Zamieszkamy w niezłym hotelu na rue Rivoli. Mnie też należy się chwila wytchnienia.

- Sadziłam, że będziesz wolał operę...

Knopf skrzywił się. Z oper wytrzymał jedynie muzykę Wagnera. A i to raczej z kaset niż na scenie.

- Wybrałem pokaz myśląc o tobie, kochanie. Wielka gala z czterdziestoma modelkami. Potem ognie sztuczne i noc pod gwiazdami Paryża!

- Mam nadzieję, że nie lunie deszcz! - zatroskała się Zofia.

Wszyscy, ale to wszyscy, modlili się o pogodę. Ci z Monachium, Bonn, z dalekiej pustyni, gdzie nigdy nie lało, z Warszawy i Paryża. Przede wszystkim z Paryża!

\*\*\*

- Mówiłeś, że to blisko, Troy! Zdziwię się, jeśli tubylcy będą jeszcze mówić po francusku!

Troy prowadził szybko. Zielone BMW wyskoczyło z miasta przez Porte de Pantin do drogi numer trzy.

- Gdyby Hannibal miał twój zmysł orientacji, pod Paryżem pasłyby się słonie. Jean Paul przymknął oczy. Rozgrywka zbliżała się do końca. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie złapali jedynie ostatniego tropu. Kret nie dowiedział się niczego, czego nie wiedzieliby sami. Wilki Mengelego i ich tajemniczy opiekun Kameleon trzymały wszelkie sznurki prowadzące do pajacyka, jeśli tak można określić pewne pustynne państwo, które obiecało zwrócić miliardy w złocie w zamian za najtajniejsze dane techniczne NATO. Pod warunkiem utrzymania terminu: dwudziestego sierpnia. Dziś był trzeci. Zostało siedemnaście dni!

Stado krów pasących się na łące stanowiło idylliczny obrazek. Jean Paul nastawił aparat z długim obiektywem.

- Jakiej rasy są te krowy? - spytał Troy ze śmiechem.

- Nie wiem - odparł poważnie zapytany. - Nie widzę ich tablic rejestracyjnych.

- Idiota! Co widzisz?

- Krowie oko - odparł Jean Paul zgodnie z prawdą. - Ma piękne długie rzęsy. Jak kobieta.

- Mówiłem, że to dobry sprzęt. Japończycy są niezawodni. Mam nadzieję, że potrafisz wykonać zadanie. Będziesz miał około pięciuset metrów.

- Wystarczy. Co to za miasteczko?

- Meaux. Leży sobie ślicznie nad Marną. To, co widzisz, to wieża katedry Saint - Etienne z końca dwunastego wieku.

- Gdzie się spotkają? Wyrwałeś mnie tak nagle, że nie zdążyłem zapoznać się z materiałem.

- W dawnym pałacu biskupim, w parku. Nie martw się. Będziesz ich miał jak na dłoni. A propos, czy wiesz, że to

właśnie tutaj rozegrała się w czasie pierwszej wojny światowej owa słynna bitwa nad Marną?

- Zdaje mi się, że kiedyś chodziłem do szkoły. Masz wątpliwości?

Troy uśmiechnął się. Nie powiedział, że czasem Jean Paul miewa trudności z przypomnieniem sobie podstawowych wiadomości z historii Francji.

Zaparkowali w centrum miasteczka. Jean Paul ostentacyjnie robił zdjęcia wszystkim napotykanym obiektom. Nawet jeśli nie były zabytkami. W letnich białych spodniach, kolorowej koszuli i głęboko nasadzonym płóciennym kapeluszu robił wrażenie zwykłego turysty.

Wypili kawę na tarasie, w cieniu kolorowego parasola. Troy rozprawiał głośno, z wyraźnym amerykańskim akcentem. Spod nisko nasuniętego zielonego daszka jego bystre oczy obserwowały podjazd.

- Jest - mruknął.

Jasnoszary mercedes bezszelestnie przystanął. Szofer uprzejmie otworzył drzwiczki. Z głębi klimatyzowanego pomieszczenia wysiadł niski, przysadzisty mężczyzna w szarym tropiku. W słońcu zaśniły jego błyszczące od pomady czarne włosy. Oliwkowa cera wskazywała bezbłędnie na miejsce urodzenia: gdzieś pomiędzy Eufratem, Tygrysem albo wzdłuż Magrebu.

- Mustafa Rachid, drugi sekretarz. Wysoko mierzy nasz przyjaciel. Jesteś pewny, że nie musimy się kryć?

- Nasz przyjaciel przyjedzie za pół godziny. Zapłać, idziemy do parku.

- Dlaczego ja mam płacić?

Jean Paul rzucił banknot na stolik. Zawsze się tak droczyli. Pracowali ze sobą od czterech lat. Każdy w innym wydziale, przy innych dokumentach, ale nad tą samą sprawą. Dziś załatwiali coś, co powinni byli zrobić ludzie dużo

niższego szczebla. Ale Troy, nauczony doświadczeniem, uparł się, że w sprawie Wilków nikogo nie dopuści.

Szli wolno, fotografując od czasu do czasu. Troyowi też dyndał na szyi Bell and Hovell. Złapał w agencji pierwszy lepszy. Teraz czuł na piersi ciężar doskonałej, ale kompletnie tu nieprzydatnej „maszyny”.

- Mam pewność, że ich dorwiemy. To będzie dla centrali ostatni brakujący dowód.

- Pewność czasem zawodzi.

- Kolumbowi się udało! Patrz, jest!

Ścieżką w kierunku pałacowego tarasu szedł, lekko utykając, człowiek, na którego czekali. Za chwilę podążył tam również Mustafa Rachid.

Jean Paul nastawił obiektyw. Nawet gęste krzewy rododendronów nie były w stanie zasłonić widoku. Panowie kordialnie uścisnęli sobie dłonie. Rozmawiali krótko.

Aparat pracował cichutko. Szybkie trzaski rejestrowały kadr po kadrze. Jak na taśmie wideo.

- Żegnaj, kolego z Wydziału Korsykańskiego - szepnął Troy. - Kiedy go zwiną?

- Zaraz, jak tylko oddamy ten materiał. Może trzeba było wziąć służbowy wóz z radiotelefonem?

- Nie wygłupiaj się. Napatrzyłeś się na amerykańskie seriale! Tu nie piekarnia. Wszystko w swoim czasie. Więcej spokoju, więcej luzu. - Troy zdjął aparat z szyi. Nieludzki ciężar. - No, załatwione. Teraz ty jedziesz do firmy, a ja do Nicole. Mam zamiar się upić!

Jean Paul zgrzytnął zębami.

- Tylko nie puść pawia w technikolorze! Troy roześmiał się.

- Stary, nie zapominaj, że twoja polska zdobycz ma swój wielki dzień w przyszły piątek. Nicole, a ja jej wierzę,

twierdzi, że to będzie wielki tryumf. Jeśli tylko wygłosi dobry speech.

Jean Paul zerknął spod oka na przyjaciela.

- Myślisz, że jej się to uda z tym akcentem?

- Tak, jeśli nie będzie nic mówić!

- Powiemy, że pochodzi z odległej wsi.

- Najlepiej spod Pekinu!

Obaj wybuchnęli śmiechem. Ale Jean Paul uczuł miłe ciepło koło serca. Dawno mu się to nie zdarzyło. Nawet bardzo dawno! Karolina stawała się z każdym dniem, z każdą nocą najbliższą mu osobą. Myślał o tym z troską, bo znał swoje życie. Zastanawiał się nad tym podczas drogi powrotnej i w laboratorium, gdzie oddawał Valerie film do wywołania. Nawet wtedy, gdy zdawał krótką relację dyrektorowi.

W łazience Karolina płukała gardło solą. Dziwne odgłosy, jakie przy tym wydawała, rozlegały się w całym mieszkaniu.

- Czy to, co robisz, ma sens? - przeraził się Jean Paul. Skinęła głową.

- Od dziecka mam skłonności do angin. Szczególnie po zjedzeniu trzech porcji lodów pistacjowych. Czuję, że coś drapie mnie w gardle. Muszę być zdrowa, bo jutro Christa zaprosiła na kolację jakiegoś ważnego polityka z Pałacu Elizejskiego. Zostanę mu przedstawiona.

- Każdy, kto zaraża anginą polityka, powinien zostać odznaczony orderem za zasługi dla kraju.

- Ale to jest twój polityk. I twój kraj! Jean Paul wyjął jej z ręki kubek ze słoną wodą.

- Masz tu wrócić. Zaraz. Zrozumiałaś? Uśmiechnęła się dziecinnie.

- Skąd wiesz, że wyjeżdżam?

Zmarszczył brwi. Rzeczywiście. Skąd wiedział?

- Troy usłyszał od Nicole. Czy Pirania ma prawo wydawać ci takie polecenia? Karolina skinęła głową.



- Gdyby nie Christa, nie byłoby mnie tutaj. Ani mojej kolekcji. Zresztą Słodka Francja pozwala mi być tutaj tylko przez trzy miesiące. Gdybym je przekroczyła, policja odstawi mnie w kajdankach do granicy.

Jean Paul szukał w myślach jakiegoś wyjścia z sytuacji, która najwyraźniej go przerosła. Nie spodziewał się, że psotny los wrzuci mu do łóżka cudzoziemkę. Dobry Boże - myślał popijając zimne mleko z lodówki - dlaczego nie mogę jej powiedzieć, kim jestem. I co robię. Dlaczego ten cholerny biały telefon w mieszkaniu na rue des Accacias jest i będzie najważniejszy pod słońcem? Do końca życia?

- Spróbuję ci załatwić na policji dłuższy pobyt, jak już oddasz tę ślubną suknię. Nie, to bez sensu...

- Co jest bez sensu? Mój pobyt? Czy ja i ty?

Jej szare oczy patrzyły uważnie. Jean Paul czuł się jak szczur złapany w potrzask. Bez możliwości ruchu, bez przyszłości.

- Charlotte, nie mogę dać ci teraz odpowiedzi. Nie zrozum mnie źle. Jestem z tobą, nie mam nikogo innego: żadnej żony na antypodach, żadnej kochanki. Ale mam pracę niepodobną do innych. Nieporównywalną. Wiem, że to wszystko brzmi kretyńsko, ale nic nie mogę na to poradzić. Jeszcze nie teraz.

- Wiem - odparła spokojnie. - Wpadłam ci jak mucha do zupy. Ani wyłowić, ani zjeść. Ale nie martw się. Raczej życz mi szczęśliwego piątku - podeszła i objęła go ramionami. - Dla mnie jesteś mężczyzną z „Casablanki”, który mówi najśłynniejsze zdanie świata: „Zagraj to jeszcze raz, Sam!”

Przywarł ustami do jej włosów. Nienawidził tego, co robi. Nie cierpiał tej wiecznej pogoni za uciekającymi ludźmi, sprawami, dniami. Miał czterdzieści dwa lata, za sobą dzieciństwo i młodość, jakiej nikt nie mógłby mu pozazdrościć. Do tego strach, spryt i konieczność uważania na

każde wypowiedziane słowo. Bo czasem może ono przynieść śmierć. Pod poduszką broń i najgorsze ze wszystkiego: biały telefon, który milczy. Na szczęście. Bo gdyby się odezwał, trzeba by rzucić wszystko i wszystkich. I lecieć na kraj świata, jeśli niski baryton tego zażąda.

- Charlotte, spróbujmy być szczęśliwi.

- Dobrze.

Powiedziała to prosto i zwyczajnie. Nie żądała od losu niemożliwego. Choć jedno „niemożliwe” już się ziściło: piątkowy pokaz mody w hotelu „Ritz”. Czyż mogła marzyć o czymś więcej? Do chwili poznania Jean Paula wydawało jej się, że jest wybranką losu. Teraz przytulając się do miękkiej marynarki chciała więcej. Bo kobieta jest nienasycona. Uważa, że wszystko jej się należy od życia, niezależnie od własnego wkładu. Tak reagowała pramatka Ewa, do tego popędza biologia.

- A teraz idziemy na wino! - powiedziała szcztokując włosy.

- Na wino czy do łóżka?

- A może być jedno i drugie?

\*\*\*

- Ależ, madame Drouot - Achim uśmiechał się jak człowiek, który ma do zakomunikowania najuczciwszy na świecie interes. - Karat, pani ojciec, miał pewne... dochody. Przez czterdzieści ostatnich lat współpracował z niemiecką firmą, której jestem współwłaścicielem. Zostawił w banku dyspozycję, aby w przypadku jego śmierci przekazać sumę spadkobiercom.

Kobieta wpatrywała się w niego twardym, upartym wzrokiem.

- On nie wiedział, że ma córkę, monsieur le directeur. Mama nigdy nie zdołała go odnaleźć. Ale też i nie szukała specjalnie. Nasze kobiety są silne. I honorowe. Prawdziwe

rybaczki. Nigdy nie biegniemy za chłopem, który nas porzuca w ciąży. Matka też taka była. On nie wiedział, że przyszedłem na świat.

- Te pieniądze są pani. W banku w Boulogne - sur - Mer.  
- Achim chwilami tracił cierpliwość. - Może je pani wydać, przekazać na Fundusz dla Marynarskich Wdów, przepić lub wrzucić do morza. Ja tylko informuję. I na tym kończy się moja rola.

- Dziękuję - wyciągnęła do niego twardą, dziwnie małą, prawie dziecienną dłoń, na której lśnił złoty pierścionek z brylantem. - To mi jednak spada jak z nieba. Ale myślę... że jej też się coś należy...

- Komu? - Achim czuł ciężki upał wiszący w powietrzu. Zanosilo się na burzę. Przetarł czoło wilgotną chusteczką.

- Starej damie z Paryża. Madame Boner...

- Decyzja należy do pani, madame Drouot. I do całej rodziny.

- Tak postanowiliśmy. Wszyscy tutaj. Pytałam ludzi. My cenimy naszych - zawahała się - starych rybaków. Wiele przeżyli, wszystko rozumieją. Taki tu zwyczaj. Miejscowy. Powiedzieli, żeby jej dać u nas „czas na przeżycie”. Żeby tu dokonała swoich dni. Nie wolno starego człowieka wyrywać z korzeniami z ziemi, w którą wrósł. A ona tu wrosła. Po co ma wracać na Wschód. Co ją tam czeka?

Achim pochylił głowę. Zafascynowała go ta prosta kobieta wychowana od dziecka w trudnych warunkach, których nie znał.

- Piękna decyzja, pani Drouot. Dziękuję za wino. Pójdę już.

- Czy on... to znaczy ojciec, te pieniądze... uczciwie? - kobieta ma łzy w oczach. Suma przeszła wszelkie jej wyobrażenia.

Achim potwierdza skinieniem głowy.

- Uczciwą, ciężką pracą. Au revoir, madame.

\*\*\*

- I co? - Liliana dopija kawę. Siedziała w tej nadmorskiej kawiarni dwie godziny. Przeczytała całą zabraną ze sobą niemiecką prasę. - Pełnia szczęścia?

Achim opadł na krzeselko, ocierając twarz. Wypite wino uderzyło mu do głowy. Był to sikacz normandzki, jednoroczne czerwone o smaku głogu. Nie znosił złych trunków. Ale Francine podała to, co sama miała najlepszego.

- Królestwo za mocną kawę! Jeszcze to do niej nie dotarto. Zbyt duże pieniądze. To bardzo ciężko pracująca kobieta. Wiesz, że chcą starą panią zabrać tu, nad morze?

- Tę... Bonerską? Pamiętam, że opowiadałeś o niej same pozytywne historie. Podobno dzielnie sobie poczynała w czasie wojny. Jej powrót do Polski nie miałby żadnego sensu. Stary człowiek źle się aklimatyzuje w nieznanym warunkach.

- To samo powiedziała Francine. A wiesz? Jest trochę podobna do Michała. Ten sam zarys podbródka, oprawa oczu... zostajemy tu na noc czy jedziemy dalej?

Liliana podniosła się z krzesła.

- Jeśli kawa cię otrzeźwiła, to jedziemy. Przez Abbeville, Amiens.

- Widzę, że przestudiowałaś mapę.

Czerwony volkswagen golf rusza powoli z nadmorskiego parkingu. Niebo wciąż ma kolor czystego lazuru, a chmary rybitw wrzeszczą rozrywając resztki ryb wyrzucanych przez fale. Gdzieś tam, daleko, szarosiwą kreską odcina się brytyjski brzeg. I angielski port Dover.

Samolot Lufthansy ląduje na Roissy o dziewiątej pięćdziesiąt. O dwunastej jedenaście państwo Knopf meldują się w hotelu „Prince” przy rue Rivoli, vis - a - vis ogrodów Tuileries. Boy odziany w brązową, starannie odprasowaną liberię wiezie ich na trzecie piętro. Duży, słoneczny pokój ma

balkonowe okno i kamienny daszek, po którym spacerują senne gołębie.

- Zostawię cię teraz, muszę zadzwonić - Willi wiesza płaszcz w przestronnej szafie.

Zofia spogląda na niego ze zdumieniem.

- Przecież za tobą jest telefon, Willi! Knopf uśmiecha się zażenowany.

- Wybacz, ale są rozmowy, których nie mogę prowadzić z hotelowego telefonu.

Zofia zrzuca żakiet. Pogoda wymarzona na letnią, lekką sukienkę.

- Sądzisz, że jest na podsłuchu? To jakaś aberracja! Ja też przez całe swoje życie w Krakowie wierzyłam święcie, że telefony są na podsłuchu. Wszyscy Polacy dzwoniąc mówili: „To nie na telefon"! Umawiali się w domach, kawiarniach, parkach, byle tylko nie tkwić z uchem przy słuchawce. Mieli wrażenie, że pośrodku kabla siedzi komunista i nagrywa opowieści o imieninach u cioci Mani.

Willi Knopf nie zamierzał dyskutować o komunizmie. W każdym razie nie w Paryżu. Przyjechał, żeby załatwić najtrudniejszy i najintratniejszy interes swego życia: odzyskać dla organizacji dwadzieścia miliardów w złocie, zanim upłynie termin.

- Sophie, póki nie załatwię sprawy klienta, a to on płaci za nasz pobyt w Paryżu, nie będę mógł poświęcić ci tyle czasu, ile bym chciał. Proponuję, byś rozpakowała nasze rzeczy, zeszła do holu po plan miasta i ostrożnie, niezbyt daleko, udała się na przechadzkę. Pieniądze albo wymień w hotelu, albo korzystaj z kart kredytowych. Spotkamy się po południu. Zjedz jakiś obiad...

- Poradzę sobie. - Zofia jest leciutko zawiedziona, ale nie daje tego po sobie poznać. Wiedziała, że dla męża ta podróż

jest niesłuchanie ważna. Miała wszelako nadzieję, że pierwszy wypad do miasta zrobią razem.

Willi Knopf bierze prysznic i przebiera się w letnie spodnie i granatową marynarkę z cienkiej chińskiej czesuczy. Wygląda w tym jak aktor z amerykańskiego serialu o życiu bogatych próżniaków z okolic Santa Barbary. Ale Knopf o tym nie wie. Jest Niemcem i ma niemiecki gust. Spogląda na zegarek. Zdąży, jeśli weźmie taksówkę.

Portier przywołuje ją sprawnie.

- Bitte, Cite, rue des Deux Ponts. Danke.

Taksówkarz nie rozumie silnego niemieckiego akcentu. Prosi o powolne powtórzenie. Wreszcie kiwa wełnistą głową. Jest czarny jak piekło i szczęśliwy. Właśnie urodził mu się siódmy syn.

Knopf nie patrzy przez okno na Paryż w słońcu. Grzebie w cienkiej czarnej aktówce. Murzyn z uśmiechem rozciągającym grube wargi wiezie go okrężną drogą, byle więcej zarobić. Wie, że taki gość nie będzie się kłócił o parę franków. O czternastej zero trzy Niemiec skręca w rue St - Louis - en - Ille. Tu, obok kościółka Świętego Ludwika, zatrzymuje się na dłuższą chwilę. Podziwiając fronton siedemnastowiecznej świątyni rozgląda się uważnie dookoła. Spotkanie, na które został zaproszony, odbędzie się w prywatnym mieszkaniu w jednej z sąsiednich kamienic. Wyspa Świętego Ludwika, szczęśliwie leżąca z dala od głównych arterii komunikacyjnych Paryża, jest od wielu już lat oazą przede wszystkim zamożnej burżuazji. Mieszka tu też sporo cudzoziemców pracujących w licznych ambasadach i konsulatach.

Dzwonek brzmi głęboko i zbyt donośnie jak na potrzeby konspiracji. Ciemna, oliwkowa cera mężczyzny, który otworzył, nabiera nikłego rumieńca.

- Guten Tag, Herr Knopf. Proszę do środka. Czego się pan napije?

\*\*\*

- No, co tam u was?

- Ciotka zdrowa. Pakuje się. Krzysiu, ona naprawdę przenosi się nad morze!

Głos mężczyzny jest dziś wyjątkowo dobrze słyszalny.

- Nad jakie morze? Czy wyście oszalały? W sierpniu nad morze? Strasznie drogo!

Julia przymyka oczy. Już sądziła, że mąż wszystko zrozumiał. Widać nie wszystko.

- Wyjeżdża z Paryża. Przecież ci mówiłam, że się odnalazła córka Michała Karata. Ciotka podarowała jej swój pierścień z brylantem. I ona ją zabiera do siebie. Do takiego małego rybackiego portu na północy. Zapomniałam, jak się nazywa.

Mężczyzna milczy przez moment. W końcu mówi powoli, z przerwami. Widocznie wydmuchuje dym z papierosa.

- Róbcie, co chcecie. Nie wtrącam się. Kiedy wracasz?

- Nie wiem, Krzysiu. Pomogę jej się spakować. Nie mam pojęcia, co zrobić z meblami, lodówką...

Mężczyzna zaczyna się złościć.

- Co cię to obchodzi! Niech to załatwią same. Jeśli córka Michała ją zabiera, to niech zadba o sprawy administracyjne. A ty wracaj, bo mnie szykuje się wyjazd i nie wiedziałbym, co zrobić ze zwierzętami. Tonia z Łukaszem wyjeżdżają do Władysławowa. Nikt nie weźmie na urlop cudzego kota i psa.

- Dobrze, Krzysiu - Julia mówi cichym, zmęczonym głosem. Też by chciała do Warszawy, do własnej kuchni, gdzie nie śmierdzi starym tłuszczem, do miękkich kudłów suczki i białych kocich skarpetek. - Tylko jeszcze pójdę na pokaz mody do „Ritza”. Dostałam zaproszenie na wielką galę.

Podobno projektantką jest jakaś Polka... Karolina... zapomniałam nazwiska...

Mężczyzna milczy. Trwa to chwilę.

- Karolina? Dobrze... opowiesz mi po powrocie.

Julia z ulgą odkłada słuchawkę. Zastanawia się, w czym pójść na taką galę skupiającą całą francuską śmietankę. Cokolwiek włożę i tak nikt na to nie zwróci uwagi. Może granatową sukienkę w margerytki? Jest chłodna, przewiewna i nie wyglądam w niej tak grubo. Tak, granatowa będzie najlepsza. I białe sandały. Nadśluchuje hałasów dobiegających z pokoju ciotki. Jezus Maria, staruszka znów coś zrzuci sobie na głowę!

\*\*\*

- Kret przekroczył granicę w Roubaix, wczoraj - melduje Troy lekko podnieconym głosem. - Nasz Willi też przyleciał. Z żoną Zofią. Mieszkają w „Prince” przy Rivoli. „Opiekunowie” siedzą mu cały czas na karku. Przed chwilą przyjechał taksówką na Wyspę Świętego Ludwika.

- No, no - mruczy Jean Paul. - Sieć się zacieśnia. Pan mecenas najwyraźniej chce zarobić swoje dziesięć procent. Załatwiłeś wejściówki na pokaz?

- Tak. Choć Pirania była nieugięta. Swoje zaproszenia rozesłała już dawno. Liczy na tak zwany „cały Paryż”. Ale Nicole postarała się wcisnąć jeszcze cztery krzesła. Nawet w dobrym, czwartym rzędzie. Będą siedzieć razem, jak chciał Kret. On, jego przyjaciółka, z którą podróżuje, i Knopfowie.

- Dlaczego mu zależało, żeby siedzieć obok mecenasu?

- Nie wiem. Jedno jest pewne. Wilki Mengelego zdają sobie sprawę, że są obserwowani. A teraz, po zdjęciu Lafarda z Wydziału Korsykańskiego, nie mają już żadnych złudzeń. Leloup telefonował do Wiednia. Był wstrząśnięty wpadką swojego człowieka. Sądził, że skoro Lafard pracował dla nich



od czterech lat, to nikt w naszym kontrwywiadzie się nie połapał. Słowo daję, ci Korsykanie już mnie wkurzają.

- Trudno, stary. Nie mogliśmy czekać. Chciałbym mieć dziś wolną noc. Troy roześmiał się głośno.

- Charlotta? Korzystaj, póki jeszcze tu jest.

- To bardzo źle zabrzmiało, Troy.

- Daj spokój - mruknął zdawszy sobie sprawę z własnej niezręczności. - Zbliżamy się do końca. Nie pękaj. A Karolina pewnie znów przyjedzie z Polski. Na jakiś czas...

Oczy Jean Paula zabłyśły niebezpiecznie.

- Na jakiś czas - szepnął. - O to właśnie chodzi, Troy! Wszystko dla mnie jest tylko „na jakiś czas”. Zauważyłeś to?

\*\*\*

- Czego się napijesz? Ricard, cassis czy cinquante - et - un?

- Un panache - Karolina powoli przyzwyczajała się do piwa z lemoniadą.

W pracowni „Christa” na rue de Castiglione panował nieopisany bałagan. W tym wszystkim doskonale czuła się tylko Pirania, rzucając rozkazy dziesiątkom biegających ludzi. Tu trzeba było coś przyszyć, tam odpruć, furczały maszyny, szczękały nożyce. W powietrzu unosił się zapach szminek, pudru, lakieru do paznokci, a przede wszystkim całej gamy perfum. Od Lancome'a, St. Ivesa po Palomę Picasso. Christa na początku walczyła, by modelki używały tych samych kosmetyków, lecz po latach praktyki, dziesiątkach pokazów zrozumiała, że czym innym musi pachnieć skóra czarna jak sadza, a czym innym różowa jak prosiak. „Ciemne” zapachy dodawały uroku dziewczynom z Togo, Maroka, Hiszpanii. „Jasne” były przeznaczone dla Norweżek, Dunek i tych cudownych biało - rudych Irlandek. Słynny niegdyś Mech wydawał intensywną woń tylko, gdy przetarła nim płatek ucha Laona z Fidżi, zaś Kurara działała jak trucizna, gdy zaledwie

parę kropel wpuściła za dekolt brązowożłota Aida, królowa modelek spod piramid. Czterdzieści starannie dobranych dziewczyn pracowało ciężko od ósmej rano. Nawet klimatyzacja zaczęła wysiadać w trzydziestostopniowym upale.

- Zjesz coś?

Karolina potrząsnęła głową. Mimo upału zimny pot od czasu do czasu zraszał brwi i górną wargę.

- Cholernie się boję.

- To dobrze. Kiedy projektantka jest zbyt pewna siebie, pokaz z reguły się nie udaje. Tak było u Guy de Roschasa ubiegłej jesieni.

- Kto projektował?

- Chinka. Yu Van Ming. Nawet ciekawa... ale czegoś brakowało. Pomysłu na całość.

Żółtawa łysina monsieur Trichota lśni od potu.

- Przyniesiono, madame. W wielkim pudle!

Pirania odstawiła szklaneczkę z lodem i gorzkawym Ricardem.

- Z pracowni Leonie? Tę suknię ślubną? Karolina wyciągnęła szyję.

- Co ty? - zdziwiła się. - To nie Maria ja. kroić? Ktoś inny? Suknię za pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Christa położyła palec na ustach.

- Cicho, chérie. Nie teraz. Potem ci wszystko wytłumaczę...

Do saloniku, w którym siedziały, weszła drobna, ciemna, najwyżej piętnastoletnia dziewczyna, ubrana w zabawne kolorowe bermudy i cienką, czarną koszulkę na ramiączkach. Przed sobą trzymała ogromne błyszczące pudło, przewiązane karminową szeroką wstążką.

- Co to? - jęknęła Christa. - Tort weselny? Dziewczyna ukazała drobne, szczurze ząbki.

- Madame Leonie też się nie podoba. Ale pan z bogatego kraju powiedział... ten, co oglądał suknię... że taki u nich zwyczaj. Znaczący, w jego kraju. Kolorowe pudło i szeroka kokarda. I bibułka. To już mogę odejść?

Christa sięgnęła do torebki. Banknot błyskawicznie zniknął w drobnej, chudej dłoni.

Karolina siedziała wstrząśnięta.

- Nie powiesz mi... no, nie powiesz...

- Powiem - odburknęła Pirania wychylając do końca koktajl. - Niestety, skarbie, będziesz musiała to tak zabrać. Ale nic się nie martw. Na lotnisko odwiezie cię Nicole i ona załatwi, żebyś to mogła zabrać do kabiny.

- Wyobrażam sobie, co powiedzą warszawscy celnicy! - westchnęła Karolina, widząc oczyma duszy przerażone spojrzenia lotniskowych „panienek w zielonych mundurkach”.

- Niech zaglądną! - wzruszyła ramionami Christa. - Weźmiesz na wszelki wypadek dodatkową wstążkę. Zresztą... po przesyłkę zgłosi się na lotnisku ktoś z ambasady. Już o tym mówiłyśmy, prawda?

To „prawda” brzmiało jak niemy wyrzut.

Karolina z westchnieniem upiła łyk panache. Miało przyjemny smak chmielu i cytryny.

- Czy mogłabym jednak to cudo zobaczyć? Muszę na własne oczy sprawdzić, że jest tam suknia, a nie, na przykład, dziesięć paczek heroiny!

Pirania wydała rozdzierający krzyk:

- Jezus Maria, Charlotte, co ty mówisz? Odile! Odile! - wrzasnęła otwierając szeroko drzwi.

Przerażona podręczna wpadła potykając się w progu.

- Stało się coś, madame? Christa uspokoiła się.

- Nic, nic. Droga moja, rozpakuj ostrożnie to pudło. Chcemy zobaczyć, jak Leonie dała sobie radę. Widzisz - zwróciła się do Karoliny - Maria tylko skroiła model. Resztę

musiała wykonać konkurencyjna, choć zaprzyjaźniona pracownia. My nie zdążyłybyśmy tuż przed pokazem. Zamówienie spadło w najgorętszym czasie, ale...

- Ale nie mogłaś odmówić najbogatszej kobiecie świata arabskiego, co? Obie pochyliły się nad otwartym pudłem. Wśród delikatnych płatków błękitnej, żyłkowanej bibułki leżała suknia - cudo: mleczna organdyna obsypana białosrebrzystymi pająkami. Szeroka falbana z cieniuteńkiej jak mgła nylonowej gazy, obszyta płaskimi kameliami z błyszczącej, sztywnej tafty. Taka sama szarfa pod biustem. I osobno, w przegrodzie do tego dostosowanej, gęsty welon upięty na diademie z takich samych jak na sukni płaskich kwiatów kamelii.

- Dama kameliowa! - roześmiała się Karolina. Christa miała zaciśnięte wargi.

- Odile, sprawdź dokładnie, czy pomiędzy tymi bibułkami nie ma czegoś... no... niestosownego.

Odile delikatnie i niezwykle sprawnie, nie naruszając ułożonej tkaniny, przekopała pudło aż do samego dna.

- Niczego tu nie ma, madame. Słowo daję.

- Dziękuję ci, dziecko. Możesz odejść.

Gdy za podręczną zamknęły się drzwi, Christa wybuchnęła śmiechem.

- Czy wiesz... że ona była... sekserką? Karolina szeroko otworzyła oczy.

- Czym?

- Sekserką. Tak się nazywa ktoś, kto potrafi odróżnić płęć u maleńkich, świeżo wyklutych piskląt. Odile w dzieciństwie pracowała na kurzej farmie. U Japończyków. Zatrudnili ją, bo ma niezwykle delikatne opuszki palców. Jeśli mówi, że w pudle niczego więcej nie ma, to możesz wierzyć. Zresztą każdy pies na lotnisku wyczułby, gdyby Pierwsza Dama Pustyni chciała coś przemycić.

Karolina nachmurzyła się.

- Ale to mnie wsadzono by za kratki. A nie Pierwszą Damę! U nas tyle się pisze o różnych aferach przemytniczych. No... nasi są uczuleni. Oczywiście, że nikt o zdrowych zmysłach nie prześle kokainy w załogach ślubnej sukni, ale w pluszowym misiu już była. I w lalkach, które tuliły do siebie nieświadome niczego dzieciaczki rodem z Tajlandii.

Christa pokiwała głową.

- No, to w porządku. Która godzina?

- Szósta.

- Idziemy, chérie. Czy pan Adamis telefonował? - pytanie rzuciła w biegu. Colette, która postępowała krok w krok za szefową, przytaknęła:

- Oui, madame.

- Kim jest pan Adamis? - Karolina wciąż ocierała spocone brwi.

- Dekorator. Ten, który robi wybiegi dla modelek, z okien pierwszego piętra hotelu „Ritz”. Obłąkany pomysł, ale oryginalny. Jeszcze czegoś takiego nie widziano na placu Vendome. Mam nadzieję, że faceci z Ministerstwa Sprawiedliwości nie wezwą policji.

- Myślisz, że taka konstrukcja może zagrażać tajemnicom państwowym? Są, jak by nie było, sąsiadami hotelu.

Pirania ostrożnie schodziła ze schodów. Pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach powodowały, że była wzrostem równa szefowi policji tego dystryktu: A miał, niebagatelnie, metr osiemdziesiąt trzy.

- Dobrze, że nie zrobiłam tego pod którymś z banków. A miałam tu do wyboru: Westminster, Montrealski i Rotszyldów!

Karolina wybuchnęła śmiechem.

\*\*\*

- Co zrobisz, Jean Paul?

Pytanie milknie w szumie ulewy. Burza, jaka późnym wieczorem przeszła przez miasto, cichła gdzieś na południu, w okolicach Fontainebleau. Gałęzie platanów tańczą w świetle elektrycznych latarni. Szeroki tapczan jest jedyną oazą ciszy i spokoju. Na małym stoliku tyka budzik nastawiony na dwudziestą czwartą. Lub, jak chce Jean Paul, „godzinę zero”. Fatalna pora do wyjścia w zadeszczony, wilgotny świat. Zielone, fosforyzujące wskazówki przesuwają się dyskretnie, acz nieodwołalnie.

- Z czym? - pyta leniwie. Jego duże, silne ciało wygniata dołek w zmiętym prześcieradle.

- Jeśli Le Pen nie wpuści mnie do Paryża!

- Będę protestował pod jego ukochanym pomnikiem: złotą Joanną d'Arc. Z dużym transparentem: „Oddajcie mi Karolinę”. Jesteś mi potrzebna. - Obejmuje ją mocno. - Wiesz, że jesteś mi potrzebna?

- Wszyscy moi mężczyźni tak mówili. A potem znikali. Jean Paul nie wie, czy się złościć, czy śmiać.

- Wszyscy, to znaczy ilu? - nie rozluźnił uścisku. Chce słowa obrócić w żart. Choć żaden samiec nie znosi, gdy się przy nim mówi o innych.

Karolina rozcapierza palce obu rąk. Potem unosi w górę stopy. Liczy zawzięcie.

- Zgubiłam się. Nie potrafię. Poproszę o kalkulatorkę. - Milknie, bo usta mężczyzny miażdżą jej wargi. - Zagraj to jeszcze raz, Sam - mruczy, gdy krótko ostrzyżone włosy łaskoczą jej piersi.

\*\*\*

Czerwony volkswagen golf zbierając wycieraczkami spływającą wodę, wjeżdża na rue Bonaparte, tuż za kościołem Saint Germain des Pres. Pod hotelem „L'Avenir” stoją głębokie kałuże. Biały napis na błękitnym tle z daleka zapowiada ciepłą i suchą przystań.

- Jesteśmy - mówi Achim zaciągając hamulec.

- I bardzo dobrze - mruczy rozespana Lilka. Burza złapała ich dwadzieścia kilometrów przed Paryżem. I nie puściła aż dotąd. - Gdzie jesteśmy?

- W sercu Dzielnicy Łacińskiej. Ta czarna bryła to kościół z jedenastego stulecia. Stąd, z opactwa Saint Germain wywodzi się Gall Anonim.

- Chcę spać - Liliana gramoli się szukając torby. - Jutro mi opowiesz. Co oznacza nazwa hotelu?

- „Przyszłość” - Kret wyciąga walizki i torebkę z niedużego bagażnika.

- To dobrze, że mamy jakąś przyszłość - Lilka otwiera drzwi. Za charakterystycznym kontuarem tkwi gruba jejmość w zakręconych lokówkach.

- Pan i pani Glanz - mówi Achim wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki dwa niemieckie paszporty, których Lilka nigdy przedtem nie widziała na oczy. - Mam tu zamówiony apartament.

Tłuste oblicze rozpromienia się. Książka meldunkowa łąduje przed nosem Achima.

- Wpisz się, kochanie - mówi czule po niemiecku. - I niczemu się nie dziw. Jesteśmy świeżo poślubionym małżeństwem. Jeszcze się, biedulko, nie przyzwyczaiłaś do nowego nazwiska.

- Mogłeś mnie uprzedzić - syczy biorąc długopis przyczepiony do lady niezbyt długim łańcuszkiem. - To się pisze przez „z” czy „c”?

- Nie chciałem cię budzić. Przez „z”, chérie. Przespałaś całą burzę.

- Zawsze przesypiam burze - Lilka z niepokojem patrzy na ich znikające w szufladzie paszporty. - Nawet nie wiem, jak mam na imię. Ani ten mój mąż!

Pokój jest duży i potwornie duszny. Widać okna nie były otwierane co najmniej od trzech dni. Kret podciąga żaluzje i walczy chwilę z mosiężnym zamkiem. Wreszcie chłód wpada wydymając firankę. Nie jest specjalnie dobrze dobrana do tapet, ale czysta.

- Co to za mistyfikacja! - wybucha Liliana, gdy już walizki zostały wniesione i ustawione na stelażu.

- Wybacz - Achim ma minę uczniaka, który splątał figla profesorowi i boi się skutków. - W ostatniej chwili tak postanowiono.

- To znaczy kto? - Lilka potrząsa własnym, polskim paszportem, którym posługiwała się przez wszystkie lata.

- Wiesz przecież, że nie jesteśmy tu na wakacjach. Wybrałem ci ładne imię: Kinga.

- A ty? - Lilce chce się śmiać. Cały gniew zniknął. Tak łatwo zapomnieć, jak żyła bez Achima. Gastarbeiterka z Polski. Obywatelka czwartej kategorii, po Turkach, Jugosłowianach i Hindusach.

- Ja? Wolfgang. Jak Amadeusz Mozart. Odpowiada? Wzrusza ramionami.

- Od jutra mogę być panią Glanz. Choć wolałabym: Frau Mozart. Ale teraz prysznic, bulka z szynką, szklanka gorącego mleka i jogurt z czereśniami. Idę do łazienki. Jak wrócę, wszystko to ma stać na stole. Aha, mleko bez kożucha!

Kret otworzył usta i długo nie mógł ich zamknąć.

- Skąd ja jej, zum Teufel, wezmę teraz jogurt z czereśniami?

\*\*\*

- Witaj. Co słyhać w Niemczech?

Achim Schroder uśmiecha się. Siedzą w mieszkaniu przy rue du Renard, a stara pani parzy w kuchni herbatę.



- W Dusseldorfie odkopano w zeszłym tygodniu prezerwatywę z pierwszej połowy siedemnastego wieku! Jest zrobiona z rybiego pęcherza.

- Bredzisz! - Jean Paul wybucha śmiechem.

- Jak Boga kocham! - Kret wali się pięścią w pierś. - Cały kraj tym się zachwyca. Twierdzą, że mamy najwspanialszych archeologów na świecie. A inni, że najgłupszych.

- Niemiecka megalomania - krzywi się Troy.

- Raczej niewdzięczność - prostuje Jean Paul. Kret rozkłada ręce.

- Niewdzięczność wobec swoich wielkich jest przywilejem silnych narodów.

- Sam to wymyśliłeś? - Troy odbiera filiżankę z rąk madame.

- Nie. Plutarch.

Jean Paul podchodzi do brzęczącego telefonu. Chwilę słucha w milczeniu, potem odkłada słuchawkę.

- Załatwili go. Cholera, nie spodziewałem się, że to zrobią!

- Kogo? - Troy parzy się wrzątkiem.

- Lafarda. Znalezione go w celi martwego. Dostał kawę z migdałowym zapachem.

- Cyjanek?

Jean Paul skinął głową. Kret pił herbatę małymi łykami.

- Mają długie łapy, Korsykanie. Żeby załatwić świadka w celi, w gmachu policji?

- Skąd o tym wiesz? No, że był na policji, a nie w więzieniu? Achim wzruszył ramionami.

- Nasz wywiad nie jest gorszy od waszego. A ja siedzę w tym po uszy. I pilotuję mecenasa Knopfa. To Niemiec, Troy. Należy do mnie.

Jean Paul podniósł dłoń.

- Przestańcie, do cholery! Najgorsze, że nikt już z nieboszczyka nie wycisnie ani słowa. Jestem pewien, że wiedział, jak zostaną przekazane materiały. Co teraz?

- Trzeba mu wyprawić pogrzeb - wymruczał Achim. - Normalny pogrzeb, na który przyjdą koledzy zmarłego. Jak gdyby nigdy nic. To powinno poruszyć paru panów z Korsyki.

- I paru dyplomatów - dorzucił Troy.

\*\*\*

Godzinę później dwaj Francuzi zamawiali elegancki pogrzeb w zakładzie monsieur Roncarda na ulicy de Turenne, przy skrzyżowaniu z rue Charlot. Tak się złożyło, że w trzeciej dzielnicy mieszka sporo Francuzów urodzonych między Ajaccio a Bastią.

- Proponuję uchwyty z brązu. Są bardziej trwałe.

- Po co? - zdumiał się Troy. - Przecież nie będziemy go wyciągali! Monsieur Roncard leciuteńko skrzywił wargi. Nie lubił czarnego humoru. Prowadził poważny interes. Jego dębowe trumny cieszyły się dużym powodzeniem.

Jean Paul rzucił przyjacielowi wściekle spojrzenie. Załatwienie pogrzebu, jak zawsze, spadało na nich. Zbyt mocno byli związani ze sprawą, żeby wciągać w to innych ludzi z wydziału. Zresztą Lafard był ich kolegą. A że okazał się zdrajcą? To się zdarza w każdym, nawet najlepszym wywiadzie.

- Jedna wielka farsa - odezwał się Troy, gdy już wsiedli do zielonego BMW. - Amerykanie ucharakteryzowaliby trupa. Po cyjanku ma się twarz w kolorze bakłażanów.

- W Paryżu tego się nie robi - Jean Paul prowadził szybko i pewnie. Na ulicach zaczynały się tworzyć korki. - Nigdy nie byłem w USA, ale cały ten wielki kraj przypomina mi Euro Disneyland.

Troy oburzył się, ale wybuchnął śmiechem.

- Dokładnie coś pomiędzy Andym Warholem a Waltem Disneyem. Dokąd teraz?

- Ja do biura. A ty?

- Podrzucić mnie w okolice Opery. Mam jeszcze coś do załatwienia.

Tym czymś był befsztyk z sałatą i z kieliszkiem beaujolais w małej knajpcie przy rue Mogador.

\*\*\*

- Un calva - poprosił Achim przysiadając na wysokim barowym stołku w bistro niedaleko „rafinerii”.

Lilka sama zwiedzała wnętrza Beaubourgu. Tu się umówili. Nie wtajemniczał jej ani w to, gdzie był, ani z kim. Sącył kieliszek jabłecznika zastanawiając się nad własną przyszłością. Jeśli nie wpadnie teraz, to już nic złego nie powinno się przydarzyć. Rozpracowanie Wilków Mengelego było jego sprawą największą. W żadną dotąd nie wszedł tak głęboko. Nie zakonspirował się tak niebezpiecznie. Nikt inny już nie mógł go zastąpić. Dopóki nie znajdzie człowieka, mającego za zadanie przekazanie planów NATO. Liczył na pomoc Francuzów, ale przede wszystkim na siebie. A co potem? Nigdy dotąd nie zadawał sobie podobnych pytań. Ale też nigdy dotąd nie był tak blisko związany z kobietą. Bardzo pilnował, by się nie angażować. Z Lilianą było inaczej. Imigrantka, w razie wpadki groziła jej deportacja. A on nie chciał, by wracała do Polski. Bo i po co? Spaliła za sobą mosty, straciła mieszkanie i pracę, o co w szarpanym strajkami i bezrobociem kraju nie było wcale łatwo. Może się z nią ożenić? Zyska obywatelstwo, nie będzie człowiekiem marginesu. Ale czy zechce? Jest honorowa. Jak oni wszyscy, Polacy.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał, gdy stanęła obok. Spojrzała przerażona.

- Upiłeś się? Sam? Beze mnie?

Potrząsnął głową. Nie był pijany. Nigdy nie bywał pijany. Od dobrych dwudziestu lat.

- Pytam poważnie. Odpowiedz tak lub nie. Ale nie śmieję się, bo nie ma z czego.

Liliana przygryzła wargi. Zmartwiła się, że ją źle zrozumiał. Chciała tylko żartem rozładować stres, w jakim tkwią od paru dni. Nie mogła przecież przyjąć za dobrą monetę oświadczeń złożonych przed najważniejszą akcją. Bo, że dla niego jest najważniejsza, wyczuła już w Monachium.

- Posłuchaj, Achim - zaczęła ugodowo.

- To ty mnie posłuchaj - ujął ją mocno za łokieć, jakby bojąc się, że mu nagle ucieknie przez szeroko otwarte szklane drzwi. - Chcę ci dać obywatelstwo i nazwisko. Może nie najlepsze, ale takie, z którym w Niemczech łatwiej żyć. Nie myślę, naturalnie, o nazwisku Mozart, tylko Schroder. Nie musisz mnie wcale kochać ani pracować moich koszul. Jedno, czego chcę, to żebyś ze mną spała.

Kobieta mieniła się na twarzy. Wreszcie wydukała:

- Szkoda. Bo ja cię kocham, Achim. Nie wiem, jak i kiedy to się stało. Ciągłe myślę, że swoje uczucia ulokowałam niewłaściwie. Niczego nie chcę. Mogę cię kochać bezwarunkowo.

- Encore un calva! - rzucił w stronę kelnera, który wycierając bar przysłuchiwał się rozmowie prowadzonej po niemiecku.

- Bitte - odparł stawiając nową szklaneczkę.

Achim wybuchnął śmiechem, zaś Lilka zaczerwieniła się po uszy.

- Un cafe creme, s'il vous plait - mruczała z okropnym akcentem. - Może skończmy tę rozmowę!

- Nie - upierał się. - Kocham cię i już! Ślub w Monachium po powrocie. Masz metrykę?

Skinęła głową. Wyjeżdżając z kraju zabrała ze sobą wszystkie papiery: metryki, stare świadectwa szkolne, dyplom ukończenia Liceum Sztuk Pięknych i fotografie z ostatnich dwudziestu lat.

- Nie jestem młoda, Achim.

- Ja też nie. Nie wracajmy do tego. Pamiętaj, jutro musisz mi pomóc. Liczę na ciebie.

- Mówisz o pokazie mody? Mamy zaproszenia. Leżały w recepcji. Knopfowie przyjechali?

- Tak. Będziesz musiała z nią porozmawiać. Siedzą obok nas. I pamiętaj: chcę, żebyś była czujna jak przejście na lotnisku!

- Dobrze. Odegram największy spektakl od czasów premiery „Lady Makbet”. - Pochyliła się w jego stronę i mocno pocałowała go w usta.

Barman cicho zaklaskał. Podobała mu się ta niemiecka para. Była taka... mało pruska. Jakaś inna.

\*\*\*

- Willi? - spytała Zofia wciągając suknię przez głowę. Drzwi skrzypiały.

- Ja.

- Załatwiłeś wszystko?

- Tak. Pójdziemy coś zjeść? Jestem strasznie głodny. Ca to? - wziął w palce elegancką kopertę z nadrukiem Dom Mody „Christa”.

- Zaproszenia na jutro. Do „Ritza”.

- Ach, tak. Na którą?

Zofia przepchnęła wreszcie głowę przez zbyt wąski otwór sukni. Kupiła ją przed chwilą w butik na Rivoli.

- Na dziesiątą. Podoba ci się?

Mecenas obejrzał żonę ze wszystkich stron. Nie przepadał za kolorem trawy, a ten był ostrzejszy: trawa po dużym deszczu.

- Czy nie za krótka, kochanie?

Otworzyła drzwi szafy, by się przejrzeć w wiszącym tam lustrze.

- Nonsens. Teraz tak się chodzi. Przyzwyczyłaś się do niemieckiej mody typu: Frau Anne Burda!

- Możliwe. Niezbyt się na tym znam. Jutro zobaczę, co noszą Francuzki. Christa von Oxenberg - przeczytał druk na sztywnym kartoniku. - Baronowa.

- Baronowa?

- Tak.

Rozwiązywał krawat. Miał zamiar zmienić koszulę. Rozmowa na Cite wprawiła go w lepszy nastrój. Wszystko było dograne. I zależało właściwie od jednej jedynej osoby, której nie znał. Jego genialny plan powinien się udać. A potem już tylko zainkasuje dużą sumę. I może nic nie robić do końca życia. Spojrzał z ukosa na żonę. Kręciła się przed lustrem uradowana nowym zakupem. Za tydzień będzie sobie mogła sprawić sto takich sukien. I naszyjnik z pereł, jaki miała moja świętej pamięci matka Brygida, której młodość upłynęła w Hitlerjugend. Za tydzień, Sophie!

\*\*\*

Piątek to dobry dzień. Przed weekendem myśli się już tylko o przyjemnościach. Nikt o zdrowych zmysłach niczego nie zaczyna w piątek. Karolinę martwiło jedno: poniedziałkowy start do Warszawy, razem z tą cholerną ślubną suknią potrzebną na środę. Kto, u diabła, planuje zamążpójście w samym środku sierpniowego tygodnia? Jakaś Arabka o osiemdziesięciosześcioletniej talii! Nic to. I tak nie mogłabym tu siedzieć w nieskończoność. La Belle France nie życzy sobie obcych dłużej jak trzy miesiące. Święta Karolino, patronko moja, spraw, by dziś wszystko poszło dobrze!

Wyszła spod kołdry naga, jak ją Pan Bóg stworzył. Jean Paul oduczył ją wkładania piżam i nocnych koszul. Zostało po nim wygniecione prześcieradło i nieuchwytny zapach wody kolońskiej na kremowym jaśku. Zdziwiło ją, że nie sypia wzorem wszystkich Francuzów na wąskim wałku, tylko używa normalnej poduszki. Wzięła tusz i owinięta włochatym ręcznikiem zrobiła sobie kawę i grzanki z masłem. Potem odczytała z kartki kilka zdań. Z przymkniętymi oczyma, chrupiąc bułkę, uczyła się na pamięć przemówienia, jakie wygłosi dziś wieczorem do tłumów zgromadzonych przed hotelem „Ritz”. O ile, oczywiście, głos nie uwięźnie jej w gardle lub nie padnie zemdlona u stóp mikrofonu ukrytego w wielkim bukietach żółtych i fioletowych mieczyków.

- Niech się uda! - zaklinała na zmianę siebie i swego anioła stróża, który powinien przecież stać gdzieś za jej plecami. O ile, naturalnie, nie zajmował się akurat czym innym.

Plac Vendome dziś nie przypominał pustawego przeważnie kręgu, zamkniętego z czterech stron klasycystycznymi budynkami, o podcieniach skrywających wszelkie bogactwa tego świata. Każdy przechodzień, wylaniający się z rue de la Paix, stawał oszołomiony, rzucając niedowierzające spojrzenia na prawo, gdzie zamiast frontonu hotelu oglądał coś w rodzaju głębokiej sceny teatralnej z dwoma szerokimi podestami prowadzącymi łagodnymi łukami ku oknom pierwszego piętra. Dwadzieścia rzędów białych, lakierowanych krzesełek ustawiono półkolem plecami do żelaznych łańcuchów ogradzających płaską podstawę kolumny. Wszystko tonęło w bukietach sztucznych i prawdziwych kwiatów, stwarzając niezwykłą atmosferę bajkowości. Doskonale ukryte punktowce czekały, aż zapadnie zmrok, by rzucić strumienie światła na czterdzieści najpiękniejszych modelek Paryża. Sam hol hotelowy

zamieniono dziś na garderoby, przebieralnie, magazyn sukien, płaszczy i kostiumów wiszących na ponumerowanych wieszakach. Każda z dziewczyn wiedziała, gdzie ma się znaleźć, każda garderobiana obsługiwała najwyżej pięć czarnoskórych i białych piękności. Wszystko było dokładnie przemyślane, drogi powrotne wyznaczone kolorowymi taśmami, nikt nie miał prawa się pomylić. Dyskretnie ukryta orkiestra stroiła instrumenty, w powietrzu unosił się zapach perfum, szminki i obłoki pudru.

Pirania była w swoim żywiole. Spowita cała w fiolety, aż po turban ciasno obejmujący doskonale zrobioną twarz. Dwa wypite martele dodały blasku czarnym oczom. Rzucała rozkazy na prawo i lewo, jak generał przed decydującą bitwą.

- Dlaczego nie ma metalowych barierek oddzielających krzesła od reszty placu?

- Policja dostarczy je o szóstej. Nie chcą na razie blokować przejścia.

- Kto pilnuje zaproszeń? Żeby mi się tu mysz nie wśliznęła! Reszta niech sobie stoi. Dziennikarze i telewizja na lewo! Wcale nie muszą siedzieć. Dobrze, że cię widzę, Charlotte, powiedz Marii, żeby dodała do teeshirtów aplikacje w kolorze kwiatów. Przyniesiono je przed chwilą.

Karolina skulona na jednym z białych foteli, wyrzuconych z holu do przestronnego baru, dziś nieczynnego i przypominającego skład lub graciarnię, uniosła głowę, jakby nie całkiem rozumiejąc, gdzie się znajduje, i po co.

- Maria? - spytała bezbrzeżnie zdumiona. - Jaka Maria?

Christa pokiwała głową. Z tacy stojącej na chybotliwym stoliku zdjęła kieliszek ze złotawym płynem.

- Wypij to i oprzytomniej. Inaczej zwariujesz ze strachu! Karolino Stengert, mówię do ciebie!

Martel pomógł. Dźwignęła swoje dziwnie miękkie i rozchybotane ciało. Okazało się, że jednak umie stać pionowo.



- Nie przypuszczałam, że tak mnie weźmie! - jej zęby zaszczekały na szkło. - Muszę przeżyć ten dzień!

Zmrok pomału spływał na zmęczone słońcem miasto. Zapaliły się latarnie, na Avenue de l'Opera połyskiwały białe i żółte światła reklam. Z cichym szumem śmigały rzędy aut. Rozbłysły punktowce ukryte w kwiatach. Plac załśnił niczym cyrkowy namiot. Rzesze gapiów gromadziły się na nie ogrodzonej przestrzeni, pod przeciwległymi podcieniami. Pomału zaczęli nadciągać ci, dla których zrobiono ten wielki show: bardzo wytworne starsze panie z lśniącoymi brylantowymi bufonami w uszach, panowie w towarzystwie młodych dziewczyn o długich nogach i krótkich spódniczkach, twarze znane z kina, telewizji, politycy i biznesmeni. Właściciele banków, wielcy jubilerzy o znanych nazwiskach i niepozorni, drobni Azjaci - szefowie międzynarodowych koncernów samochodowych i elektronicznych. Christa zaprosiła „kogo trzeba”. Nauka o tym, kto jest kim w Paryżu, trudniejsza jest dla nie wtajemniczonych od teorii względności.

\*\*\*

Jean Paul z Troyem stali z daleka od ludzkiego strumyka wlewającego się na plac. Choć Nicole obiecała, że dorzuci jeszcze dwa krzeselka, nie chcieli dać się zamknąć w snobistycznym kręgu. Mieli swoje zadania do spełnienia i mogli przyglądać się rewii jedynie ze swych z góry upatrzonych miejsc.

- Powiedziałeś w firmie, gdzie nas szukać?

- Mam przy sobie swój osobisty „brzączek”. Zapiszczy, gdy będę potrzebny. Myślisz, że ona się nie sypnie?

- Karolina? - Troy uśmiechnął się z pobłażaniem. Nigdy jeszcze nie widział Jean Paula tak podnieconego. - Wejdz na ten cholerny wybieg świeża i piękna jak poranek.

- Tak myślisz? - Jean Paul rzucił przyjacielowi ukradkowe spojrzenie.

- One wszystkie są takie. Zlane potem ze strachu, rozdygotane, na miękkich kolanach. Ale jak przyjdzie godzina zero, sprężają się i nie mrugnawszy rzesą robią entree, że mózg staje z zachwytu. Ty, spójrz, zasuwa nasz przyjaciel Kret.

- Z damą. Niezbyt urodziwa, ale ma spokojną twarz. I niezłą figurę. Coś nam obrodziło Polkami!

Jean Paul oderwał od oczu lornetkę.

- Czwarty rząd. Siedzi tam nasz mecenas z żoną w trawiastej sukni. Spójrz! Troy zmrużył oczy. Prawy profil Williego Knopfa był dobrze oświetlony. Jego

żona miała na szyi niemodną biżuterię z bursztynu.

- Kret zachodzi ich od tyłu... jego towarzyszka nagle zatrzymała się, widzisz?

\*\*\*

- Achim - szepnęła Liliana tarמושząc rękaw jedyne go względnie eleganckiego garnituru Schrodera. - Achim... to jest Zośka!

- Kto? - nie zrozumiał.

- Jezus Maria, Zośka Olechowska! No... ta twoja Knopfowa! Ja ją znam z Krakowa...

Achim odsunął się na bok pociągając za sobą Lilianę.

- Czekaj, nie tarasujmy przejścia. To się świetnie składa, że znasz Knopfową!

- Nigdy nie myślałam, że się jeszcze spotkamy. Widzisz...  
- mówiła spłoszona sytuacją, powrotem do lat, o których już dawno chciała zapomnieć. - Miałam narzeczonego... to były późne lata sześćdziesiąte. Nazywał się Krzysztof Sulikowski. Nie pilnowałam go specjalnie... jak się ma osiemnaście lat, wierzy się w wierność chłopaków. Ona mi go odbiła. Zośka.

Ożenił się z nią. Urodziła mu córkę. Ale sama też go nie utrzymała. Zjawiała się następna... Karolina...

Kret słucha uważnie.

- Czy ty masz na myśli tę... Karolinę Stengert?

- Wyobraź sobie, tak! Krzyś oszalał na jej punkcie. Tylko, że Karolina była... no... jest...

- Żydówką, tak? To o niej mi opowiadałaś? Zrobiłyście ten sąd kapturowy? To wszystko brzmi jak melodramat rodem z Hollywoodu! I teraz właśnie spotkałyście się...

\*\*\*

Ba, gdybyż wiedzieli, że w siedemnastym rzędzie, tuż przy metalowej policyjnej barierce siada właśnie Julia Sulikowska, czwarta z fraucymeru Krzysztofa!

\*\*\*

- Będzie pani dobrze widzieć, Julio?

- Tak. Jak się nazywa ta polska projektantka, która wystąpi w drugiej części pokazu?

- Karolina Stengert.

- Stengert? Coś mi to nazwisko mówi... chyba powinnam ją znać. Ale skąd?

Halina Stępień uśmiecha się łagodnie.

- W Polsce ludzie się znają. Może z Krakowa?

- Nie. Nigdy nie mieszkałam w Krakowie. Ona ma coś wspólnego z moim mężem... tak, znalazłam kiedyś wśród zdjęć, jego zdjęć, dziewczynę opartą o pień drzewa. Z tyłu była dedykacja: Drzewa umierają stojąc. Karolina Stengert.

- Może to jakaś jego dawna flama?

Usta Julii zaciskają się w wąską linię.

- To możliwe. Ale jakie ma znaczenie dziś? Żadne.

\*\*\*

- Mesdames et monsieurs! - głos Philippe'a Lelongue'a, znanego prezentera i „wodzireja” wszelkich pokazów mody wznosił się i opadał niczym kaskada wody ze sztucznego

zbiornika ukrytego w kwiatach pomiędzy podestami. - Mam zaszczyt...

- Siadajmy na swoich miejscach - rzucił Kret biorąc Lilianę pod łokieć. - Na razie nie odzywaj się do Knopfowej. Chyba że sama cię pozna!

- Pięć tysięcy strojów haute couture, zaprojektowanych i wykonanych w pracowni „Christa”, w ciągu dwudziestu lat! I nie ma mowy o jakimkolwiek obniżeniu lotów - pisał Lelongue zachłystując się słowami. - Dowodem ta oto kolekcja dziewięćdziesiąt trzy!

Oklaski uniosły się nad placem. Pierwsze modelki tanecznym krokiem, ostrożnie schodziły ustawionymi sprytnie podestami z wysokości pierwszego piętra hotelu.

- Na dzień rzeczy najprostsze: klasyczne kostiumy z krótkimi spódnicami lub spodniami długości do kostek. Fason princesse, bez rękawów i kołnierzyka... Na wieczór długie, wąskie jedwabne suknie granatowe lub białe, zakieciki haftowane perełkami i cekinami w kwiatowe wzory! A oto jeden z najpiękniejszych projektów: krynolina ze złotej koronki na rozlicznych, drogocennych halkach i stanik z „pantery” dodatkowo przyozdobiony brylancikami...

Oklaski grzmiały pod wygwieżdżonym, prawie czarnym nieboskłonem.

Człowiek na skuterze hamuje przy krawężniku, tuż pod jaskrawo oświetloną wystawą jubilerską na rue de la Paix. Zdejmuje z głowy kask i uważnie spogląda w głąb placu. Rozjarzony światłami fronton „Ritza” jawi mu się niczym jarmarczny plac z karuzelą. Jego wąskie z natury oczy stają się podobne do wilczych szparek. Bezszelestnie przepycha się przez tłum zgromadzony na tyłach kolumny. Uważnie przepatruje rzędy białych krzesłek. Szuka ostrej, zielonej plamy. Znalazł. Mały, może dziewięcioletni gavroche wspiął się na podstawę kolumny i szeroko otwartymi oczyma

wpatruje się pełen zachwytu w rozgrywający się przed nim spektakl.

- Ty, chcesz zarobić pięćdziesiątkę? Mały czujnie nadstawia ucha.

- No, jasne!

- Prześlizniesz się pod metalową barierką, aż do czwartego rzędu. Siedzi tam kobieta w zielonej sukni. Obok gość, Niemiec. Nazywa się Schroder. Dasz mu tę kartkę. Jasne?

Mały kiwa głową, ale się nie rusza.

- A forsa?

- Masz!

Zwinięty banknot ginie w brudnej dłoni.

Achim dyskretnie czyta wiadomość, pochyła się do ucha Lilianny.

- Słuchaj i o nic nie pytaj. Muszę natychmiast stąd wyjść. Albo tu jeszcze wrócę, albo spotkamy się w hotelu.

Lilka kiwa głową. Zaczyna się przyzwyczajać do dziwnych sytuacji.

W tej samej chwili w kieszeni na piersiach Jean Paula odzywa się cichuteńki brzęczek. Wyjmuje aparacik i naciska guzik. Na ekranie ukazuje się numer telefonu, który wzywa.

- Kto? - rzuca zaniepokojony Troy.

- Baza. Jest tu gdzieś jakieś bistro z telefonem?

- Tam. Idę z tobą.

- Nie. Ktoś tu musi zostać i obserwować Knopfa. Zgłoszę się, kiedy będę mógł.

Telefon na kartę magnetyczną jest na wprost męskiego WC.

- Co jest? - Chwilę słucha zdumiony. - Tak, jadę.

Miasto o tej porze nie jest zatłoczone. Z rue de la Paix przez Boulevard Haussmann, Miromesnil, Avenue Friedland, wokół Łuku Tryumfalnego i Avenue Victor Hugo. Z piskiem

opon hamuje pod domem przy rue Paul Valery. Na ulicy, w pobliżu bramy przechadza się Anette.

- Przyjechałam, jak mi kazali.

- Dobrze, Anette. Wejdziemy razem na górę. Karoliny nie ma. I jeszcze długo nie będzie.

Wchodzą do mieszkania zapalając wszystkie światła. Olbrzymie pudło ze ślubną suknią stoi, przygotowane do zabrania, w kącie saloniku. Anette przyklęka na podłodze i ostrożnie rozwiązuje wstążkę. Biała organdy na lekko układa się na błękitnych bibułkach.

- Jeśli to jest prawda, to cholernie sprytne! - Jean Paul ostrożnie wyjmuje jeden z błękitnych płatków. Podchodzi z nim do biurka. W blasku silnej lampy, pod szkłem powiększającym żyłkowane tło zmienia się w szereg linii, wykresów, liczb.

- Bardzo sprytnie! - Anette pochyła się nad rysunkami. - Co teraz? Przecież Karolina musi zawieźć przesyłkę nienaruszoną. To jest japońska bibułka...

- Sacre nom du diable! - klnie Jean Paul pocierając nos. - Rysunki pocisków i dane RKPŁ. Wszystkie szczegóły techniczne! Anette, sprawdź, czy jest tu jakiś papierek bez linii? Jeśli tak, odłóż. Resztę, sztuka po sztuce, ułóż w ładny stosik i zapakuj do zwykłej, plastikowej torby.

- Tak, panie Gottier.

Jean Paul usiadł w fotelu. Wiedział, że ma bardzo mało czasu. I że jest jedyną istotą w całym Paryżu, która wie, co ma zrobić.

- Jest kilka bibulek bez oznaczeń - mówi Anette podnosząc głowę.

- Weź je, wsiadaj do mojego wozu i jedź do laboratorium w Mairie de Montreuil. Ja wyciągnę Pierre'a z łóżka. Za trzy godziny muszę wiedzieć, co to jest za bibułka i jak ją zdobyć.

Nie kontaktuj się z Troyem. Nie kontaktuj się z nikim. Jedź już!

Dziewczyna wybiegła stukając obcasami. Jean Paul wykręcił numer telefonu.

- Pierre? Słuchaj i wykonuj. Nie zadawaj żadnych pytań!

- Rany Boskie! - zaspany głos asystenta nie brzmiał zachęcająco. - Trzecia wojna?

- Tak. Właśnie wybuchła. Jedź na plac Vendome, odszukaj Troya i powiedz mu, żeby trzymał Karolinę z dala od domu. Niech ją zabierze na wino, do opery, niech jej da do czytania dzieła zebrane Dumasa, niech robi, co chce, byle nie wróciła do domu. Jasne?

- Tak.

Jean Paul spakował błękitne bibułki wraz z plastikową torbą z napisem „Prisunic” do płaskiej aktówki z szyfrowym zapięciem. Zadzwoił po taksówkę i zszedł na dół. Miał niewiele czasu. Taksówkarz nie był zadowolony z krótkiego kursu. Jean Paul rzucił mu banknot i wbiegł po schodach do mieszkania na rue Accacias. Nie zdejmując płaszcza podniósł słuchawkę białego telefonu. Zrobił to pierwszy raz od czterech lat. Potem mówił parę minut cichym, zmęczonym głosem.

\*\*\*

- A oto rewelacja: materiał ręcznikowy, tak zwany eponge, w szerokiej gamie kolorystycznej - płakał ze szczęścia Philippe - wodzirej. - Z niego spódnice i cardigany zdobne w hafty. Sukienki rozpinane z przodu noszone na szortach...

Dwóch elegancko ubranych mężczyzn w szarych garniturach przekroczyło policyjny kordon, uprzednio dyskretnie pokazawszy legitymacje. Ostrożnie, by nie przeszkadzać publiczności wpatrzonej w podesty, z których lekkim, tanecznym krokiem schodziły wciąż nowe modelki, przedostali się w pobliże czwartego rzędu krzeseł. Jeden z

nich pochylił się dyskretnie nad uchem Williego Knopfa szepcząc po niemiecku:

- Mecenias Knopf?
- Ja, bitte? - zdziwił się zapytany.
- Jest pan proszony do telefonu.

Willi odwrócił głowę do żony.

- Wychodzę na chwilę, kochanie. Zaraz wrócę.

Nawet się nie zdziwiła. Wiedziała, że przyjechał w jakiejś ważnej misji.

Kroki odchodzących zagłuszył grzmot braw. Pierwsza część pokazu była skończona. Wieczorowe suknie z czarnej tkaniny stretch, szalenie obcisłe i długie, znikwały w ciemnym, nie oświetlonym tunelu u wejścia do holu hotelu.

Liliana przesunęła się o jedno krzesło. Siedziała teraz obok Zofii.

- Dzień dobry, Zosiu. A raczej dobry wieczór! Poznajesz mnie?

- Liliana? Żakowska? O Boże! Niewiele się zmieniłaś! - wykrzyknęła wyraźnie poruszona. - Co ty tu...

- Zwiedzam Paryż. Jak ty. Mojego ...męża wywołano przed chwilą... chyba twojego także?

Zofia przygląda się Lilce mrugając rzęsami. Kiedy się widziały ostatnio? Dwadzieścia lat temu? Więcej?

- W siedemdziesiątym roku, w Krakowie. Tak?

- Już po wyjeździe Karoliny - odparła Lilka przyglądając się wielkiej zastawce, którą robotnicy ustawiali na scenie. Na białym - czerwonym tle wielkimi czarnymi literami odznaczało się imię i nazwisko: Karolina Stengert - Polska.

Oklaski wzmożyły się.

- To ona? - Zofia wyjęła z torebki okulary. Wyglądała w nich jak sowa.

- Tak, Zosiu. Nasza Karolina! Wybiła się. No, zrobiła karierę! Chyba dzięki temu, że nie została z Krzysztofem! On



by ją stłamsił, sprasował i podporządkował swoim głupim, mało ważnym, egoistycznym planom. Jak próbował upupić mnie, jak upupił ciebie. A w końcu Julię. Wiesz, że ona także tu jest? Spójrz za siebie, bardziej w prawo. Siedzi w rzędzie trzecim od końca. Z boku.

Zofia rozłożyła bezradnie dłonie.

- Ja jej nie znam. Marysia, moja córka, bywa u nich w Warszawie. Bardzo zresztą niechętnie. Maria mieszka w Bonn, razem ze mną. Krzyś nie akceptował jej wyjazdu. Znasz jego poglądy na Niemców... och - westchnęła nagle - chciałabym, żeby Willi już wrócił. Willi Knopf. Mój mąż.

\*\*\*

- Dwukolorowe kratki znów modne! Francuzi nazywają je „vichy” od rodzaju bawełnianej tkaniny, którą w latach sześćdziesiątych wylansowała Brigitte Bardot! To ona zamówiła sobie ślubną suknię w biało - różową kratkę... - terkotał Philippe ustępując pola modelkom.

Na widowni rozległy się oklaski. Kolekcja była pełna wdzięku i pomysłowości. Szczególnie podobały się zakieciki z tweedu w dość dużą kratkę w kolorze fuksji z białym. Również te z wyhaftowanymi na plecach pękami margerytek.

Karolina stała w kulisie jak posąg. Nikt nie potrafił jej stamtąd ruszyć. Nie odpowiadała na żadne z zadawanych pytań. Oddychała płytko i szybko. Przed oczyma defilowali ludzie, płynęły kolory, rozpraszały się światła. Christa podeszła do niej, ale przyjrząwszy się kamiennemu obliczu, odstąpiła z miłym uśmiechem. Dobrze wiedziała, co się w takiej chwili czuje. Zapamiętała swoje własne doświadczenia. Swoją strach, ból pod mostkiem i miękkość kolan.

Widowni szalenie podobały się taftowe trencze w czarno - białą kratkę do plisowanych spódniczek z czarnej wełny. Długo klaskano wywołując projektantkę, która kłaniała się

przytulając do płonącej twarzy rzucając na podium małe barwne bukietki kwiatów.

- Merci - mamrotała do mikrofonu w liliowych gladiolusach - merci beaucoup!

Jeszcze błyskały flesze, telewizja kręciła zbliżenia, pękały w powietrzu milionami iskier sztuczne ognie.

Wreszcie wszystko się skończyło. Strumyczki gości wyciekały z placu, pracownicy sprawnie składali białe krzeselka, służby policyjne rozbierały metalowe barierki. Przed świtem cała dekoracja zniknie jak zdmuchnięta wiatrem. Hotel „Ritz” znów będzie dostojnym, budzącym respekt budynkiem a nie, jak teraz, jarmarcznym fajerwerkiem, błyszczącym kwiatem jednej nocy.

Ciężarówki zaczęły wywozić z hotelu do bliskiej pracowni „Christa” wszystkie stroje. Niektóre już z karteczkami „zarezerwowane” lub „kupione”. Zmęczone, ale szczęśliwe, modelki zmywały makijaż, rozczesywały włosy zwinięte dotąd w ciasne koczki. Będą moczyć obolałe stopy przez pozostałą część nocy, aby dopiero nad ranem zasnąć na długie godziny. Ruch nie ustawał również w hotelu. Dla „Ritza” ten pozorny bałagan, za który każe sobie słono płacić, jest jednak znakomitą reklamą. Wie o tym właściciel i wie baronowa Oxenberg.

\*\*\*

Liliana wraz z Zofią stoją w narożniku. Ta ostatnia z niepokojem spogląda na zegarek.

- Nie wiem, dlaczego Willi nie wraca - Zofia ma zmęczoną, zatroskaną twarz. Nie powinna była kupować zielonej sukni. Ten kolor wyraźnie ją postarza.

- Gdzie mieszkacie?

- W „Prince” na Rivoli. Chyba wrócę tam sama. Do widzenia - podaje Lilianie chłodną dłoń. - Nie wiem, czy się jeszcze kiedyś spotkamy. Mieszkam w Bonn.

- A ja w Monachium - Liliana z uśmiechem patrzy na zdziwioną Zofię. - Też mam męża Niemca.

- Och, nie wiedziałam, przepraszam.

- Bez znaczenia - mówi Lilka. - Teraz pójde jeszcze do Karoliny. Chcę jej pogratulować sukcesu. Może ty także...

- Nie. Nie mam jej nic do powiedzenia. Bądź zdrowa, Li. I niech ci się wiedzie.

\*\*\*

Karolina siedzi na skórzanym fotelu w samym środku pustego holu. W rękę trzyma wysoką szklankę do koktajli pełną Martela. Już drugi raz Christa dołała złotego płynu, który tak dobrze działa na zmęczenie, nerwicę i skurcze stóp.

- No, to się zaleję! - mruży czując, jak olbrzymi głąz stacza się z serca. - Co tam! Najważniejsze, że się udało! Nie wygwizdali.

Liliana podchodzi od tyłu.

- Bądź pozdrowiona w Starej Irlandii!

Karolina odwraca głowę. Nie poznaje smukłej szatynki w doskonale uszytej sukni z wiśniowego weluru. A przecież te słowa są hasłem! Tak się witał Kraków po słynnej premierze „Exiles” Jamesa Joyce’a. Co mówił Robert do Dicka? „Zerwałem wszystkie więzi. Z wyjątkiem tych, które mi dają namiastkę wolności!”

- Bądź pozdrowiona - odpowiada po polsku. - My się znamy?

- Tak. Jestem Lilka Żakowska. Dużo lat upłynęło od sześćdziesiątego ósmego roku. Pamiętasz?

Karolina pamięta. Nigdy nie zapomni. Ani spotkania towarzyskiego w mieszkaniu na Długiej w roku siedemdziesiątym.

- Witaj, Li. Teraz cię poznaję. Przepraszam, wszystkiemu winien alkohol. Przyszłaś na mój pokaz?

- Tak. Jestem tu przejazdem... z mężem. Teraz mieszkam w Monachium. Od stanu wojennego. Karolino... ja...

Charlotte macha szklaneczką. Parę kropli pada na podłogę pozbawioną dywanów.

- Zostaw, to dawne dzieje. Chodź, przejdziemy do baru! Tam są wszyscy szczęśliwi. Usiądziemy, jeśli masz czas.

Liliana uśmiecha się.

- Mam. Mój mąż zniknął gdzieś w połowie pokazu. Zapewne znajdę go w hotelu. Ma tak dziwną pracę...

Karolina lekko się chwieje. Mocny koniak zrobił swoje.

- Oni wszyscy mają... takie dziwne prace, co? Mój nie - mąż wcale nie przyszedł na pokaz, choć wiedział, jak mi na tym zależy! Też ma dziwną pracę!

Lilka w ostatniej chwili chwyciła ją za łokieć.

- Upiłaś się! - roześmiała się głośno. - To świetnie!

- Słuchaj - Karolina szklanką wskazuje na potęgujący się wokół chaos - to wszystko z mojego powodu, wiesz? Cały hotel „Ritz” na moje usługi. Za dużo jak na jedną polską Żydówkę, co?

Lilka puszcza jej łokieć.

- Mogę cię tylko przeprosić za to, co powiedziałam dwadzieścia dwa lata temu. Bardzo się tego wstydziałam. I wstydę.

- Co tam! Ustrzegłaś mnie przed koszmarem małżeństwa. I tyle!

- Wiesz, że one obie też dziś tu były? Żony Krzysztofa! To nie do wiary, ale siedziałam obok Zośki Olechowskiej, a z tyłu była Julia!

Karolina z trudem trafiła w drzwi baru. Jest tam sporo osób z branży, choć otworzono go tylko dla gości hotelowych, aby jakoś załagodzić ich zły humor z powodu totalnego bałaganu na parterze i piętrze.

- Co mówisz? Obie panie Suli..kowskie? - Karolina upija łyk ze szklanki. - Powiedz, czy Julia mogła mu dać coś, czego ja nie miałam?

- Tak. Czarną bieliznę!

Obie wybuchają śmiechem. Wszystko można sobie było wyobrazić, ale nie Julię w czarnym, koronkowym body. Wejście Karoliny powitane zostało oklaskami. W eleganckiej czarno - białej sukni, w czarnych pantoflach na niebotycznych obcasach wciąż, pomimo lekkiego upojenia, wygląda świeżo i ładnie: Zaskoczona kłania się, do reszty rozchlapując koniak.

- O, kurczę, nie sądziłam, że dożyję takiej chwili!

Lilka pomaga jej umieścić się w fotelu, jednym z tych, które usunięto z holu.

- Na miłość boską, nie wstawaj już, bo się przewrócisz.

Christa podchodzi ze swoim kieliszkiem. Od strony baru kiwają dłońmi Nicole i Troy.

- Byłaś wielka, moja mała! A la votre!

- To jest Liliana. Z Krakowa. To znaczy... teraz z Niemiec - mówi patrząc z podziwem na znakomity makijaż Christy, który w ciągu tych godzin nie zmienił się ani o jotę. - Ona pierwsza uzmysłowiła mi, kim jestem. I uchroniła przed małżeństwem z potworem...

- Nie przesadzaj. I przestań mówić po polsku. Pani cię nie rozumie - wtrąca Lilka z uśmiechem. - Ona jest wykończona! - dodaje po niemiecku. - Miała ciężkie przeżycie.

- Przypominało przejście przez magiel, ale nie było aż tak przyjemne! - rzuciła Christa w tym samym języku. - Niech odpocznie. Ja ją potem zabiorę do siebie. Nikomu jej nie należy pokazywać w tym stanie...

Karolina pociąga następny łyk. Zaczyna się śmiać.

- Coś ci się przypomniało? - pyta Lilka. - Dam głowę, że nasz Krzyś.

- Wtedy, w Krakowie - Karolina chichocze z głową na oparciu - zostały mi po nim tylko odciski palców i początki ciąży! Pierwsze starłam ściereczką, drugie usunęłam.

Liliana marszczy brwi.

- Nie wiedziałam. Nie mówiłaś. Przecież on... nie może...

- Wtedy jeszcze mógł. Dopiero w Warszawie tak go załatwili. Po operacji wyrostka.

- Czy wiedział o tym? No, że jesteś w ciąży?

- Nie. I nigdy się nie dowie. To by było żydowskie dziecko, Li. Skoro matka... tak mówi Talmud.

Lilka wstaje z krzesła. Jest jej przykro. Już wie, że Karolina nigdy jej nie wybaczy. Nie trzeba przedłużać wspomnień. Weźmie taksówkę i znajdzie Achima. Tylko to jest ważne.

- Bądź pozdrowiona - mówi szeptem. - Chyba się nie spotkamy już w Starej Irlandii!

\*\*\*

- Panie Latour, panie Latour!

Troy podnosi głowę. W ustach ma popiół, a w głowie tupot białych mew. Przekrwione oczy źle reagują na światło.

- Gdzie... gdzie ja jestem?

Anette z rozpaczą spogląda na dwie puste butelki po burbonie. W mieszkaniu na rue Paul Valery panuje względny porządek. Tylko porzucona marynarka na podłodze i mokry ręcznik przy drzwiach łazienki. No, i te butelki.

- Ale się pan zachlapał!

Troy przeciąga palcami po brodzie. Czuje twardą szczecinę. Ma niesmak w ustach i kompletną pustkę w mózgu.

- Cholera, co się tu stało?

Anette z obrzydzeniem wyrzuca butelki do pojemnika na śmieci. Gdzieś, kiedyś słyszała, że „Amerykanin”, jak go nazywają w wydziale, miewa czasem kłopoty z nadużywaniem alkoholu. Ale nigdy dotąd nie widziała go

pijanego. I to w takim momencie! Zastanawiała się, jak postąpić: zatelefonować do biura, żeby go odholowali do domu, czy nie robić z tego afery. I gdzie, u diabła, podział się Jean Paul?

- Panie Latour, proszę pójść pod prysznic. I zmienić koszulę. Weźmie pan jedną z tych pana Gottiera... no, proszę. Mamy tylko kilka godzin do powrotu pani Charlotty. Dobrze, że ją pani Christa zabrała do siebie.

Troy przytomnieje. Ale straszliwy ból głowy powoduje, że trudno mu przyjąć pozycję pionową.

- Anette, całe złoto Fortu Knox za szklankę perriera i trzy tabletki Alca - Seltzer. A potem idź do kuchni i zrób mi morze kawy. Zaraz się pozbieram. Cholerny Jean Paul! Za późno cię zrozumiałem, przyjacielu!

Dziewczyna nie słyszy ostatnich słów. Jest śmiertelnie zmęczona. Do drugiej w nocy ślezczała w laboratorium razem ze specem od papieru. Ale wyjaśniło się. Błękitne płatki są japońską bibułą o symbolu DW 643, produkowane w zakładach Toncikai, dwadzieścia kilometrów na północ od Kioto. Niestety, żadna hurtownia w Paryżu nie może ich dostarczyć. Po wielokrotnych nocnych telefonach przez specjalne linie uzyskano w Tokijskim Centralnym Biurze do Spraw Międzynarodowych tamtejszego Ministerstwa Wojny obietnicę, że specjalna przesyłka przyleci wieczornym samolotem rejsowym Nippon Air do Londynu. Stamtąd urzędnik Wydziału Operacyjnego przekaze ją do Paryża. Wszystko to działo się w czasie, gdy Troy Latour wlewał w siebie hektolitry burbona z powodów całkowicie osobistych. A Jean Paul Gottier w ogóle gdzieś wyparował.

Troy wypił duszkiem obrzydliwy musujący płyn podany przez Anette przez uchylone drzwi łazienki. Stojąc pod ożywczym prysznicem próbował analizować sytuację.

Telefon zabrzączał, gdy parząc się gorącą kawą wymyślał już trzecią wersję opowieści, którą przyjdzie mu wygłosić.

- Troy? Co tam robisz? Daj mi Jean Paula! - głos Karoliny był leciutko schrypnięty.

- Gdzie się podziewałaś, do diabła! Szukaliśmy cię wczoraj razem z Nicole! - skłamał gładko.

- Zalałam się. Christa zabrała mnie do siebie. Podobno trzeba mnie było wynosić z „Ritza” nogami do przodu, i to z wielkim trudem, bo darłam się na cały plac usiłując nie fałszować Marsylianki. Ale co ty tam robisz?

- Trzeźwieję - odparł zgodnie z prawdą.

- A Jean Paul? Dlaczego wczoraj nie przyszedł na pokaz?

Latour przełknął łyk kawy. Nie wydawała mu się już tak gorzka.

- Nie mam pojęcia. Nie zastałem go po przebudzeniu. Gdzieś wyemigrował! - dorzucił ciepło.

- Cholerni pijacy! - roześmiała się Karolina. - Wrócę po obiedzie. Christa prosiła, żebym jeszcze u niej została. Przekazuje mi ostatnie wskazówki przed moim odlotem. Mam nadzieję, że twój kumpel i przyjaciel nie zapomniał, że mam samolot w poniedziałek rano?

- Też mam taką nadzieję - odparł wściekły Troy. Anette stała w drzwiach z zafrasowaną miną.

- Kto ma ponownie zapakować suknię, jak już bibułki dotrą do Paryża? Pan Gottier... czy ja?

- Ty, Anette. Musisz już dokończyć dzieła. Nasi ludzie z Działu Technicznego przygotowują je, jak trzeba. Rysunki i liczby będą, naturalnie, fałszywe. Nikt nie ma prawa w Warszawie zorientować się, że to nie są oryginały.

Znów zaterkotał telefon. Odebrała Anette.

- Mówi Schroder. Czy mogę prosić pana Gottiera?

Anette oddała Troyowi słuchawkę zakrywszy ją dłonią.

- Pan Schroder.



- Cześć. Mówi Troy. Coś nowego?  
- Możemy się spotkać? Za... powiedzmy godzinę. Tam, gdzie zawsze. Zawiadomisz Jean Paula?

- Nie.

\*\*\*

Mieszkanie przy ulicy du Renard pachniało pastą do podłogi i płukanką do firanek marki Louise. Herbata o smaku głogu parowała w złoconych filiżankach.

- Gdzie Jean Paul?

- Nie wiem.

- Knopfa wczoraj zwinęto. Dwóch smutnych z francuskiego Wydziału Ochrony. Z tego, co wiem, po całonocnym maglu udowodniono mu udział w przetrucaniu przez Francję nielegalnych tu materiałów propagandowych Międzynarodówki Faszystowskiej. No, i usługi na rzecz Wilków Mengelego. W ostatniej chwili udało się nie poruszyć sprawy przetrzutu planów obronnych NATO.

- Pierwsze dwie sprawy nie są właściwie karalne - westchnął Troy. - Jest tylko ich adwokatem. Ma prawo.

- Sam wiesz, że nikt tu nie próbował nawet go aresztować. W każdym razie nie wy. Dlaczego nie było ani ciebie, ani Jean Paula? Nie wtajemniczeni do końca urzędnicy o mały włos nie wygadali się w sprawie planów NATO!

Troy zrobił nieokreślony ruch dłonią. Nie mógł powiedzieć prawdy, którą sam znał zaledwie od paru godzin.

- Wybacz... teraz nie wyjaśnię. Jeśli chodzi o Knopfa, mogli go ekspulsować...

Kret pokiwał głową. Już wiedział, że coś przed nim ukrywają.

- Zgoda. Został... nazwijmy to eufemicznie... deportowany. Persona non grata we Francji. Właśnie... - zerknął na zegarek - startuje do Bonn.

- A żona? Mogła tu zostać. Francuzi nic nie mają przeciwko niej.

- Nie chciała. - Kret przygląda się z uśmiechem Troyowi wypijającemu już szóstą szklankę herbaty. - Masz kaca? No, więc Knopfowa leci razem z mężem.

- A ty?

Achim uśmiecha się.

- Jak wiesz, jestem tu całkiem prywatnie. Knopfa przejmą Niemcy. Ja udaję się wraz z narzeczoną w podróż przedślubną. Wykonałem, co do mnie należało. Jak w szkole. Masz jeszcze coś?

- Mam - Troy przygląda się zdjęciu wyjętemu z portfela. - Wiesz, kto to jest?

Schroder zerka przez ramię: szpakowate włosy, zadbana bródka...

- Oczywiście! To niejaki Kameleon. Na zdjęciu wcale nie widać jego niesłychanie błękitnych oczu!

- Stary łobuzie! Grałeś obie te role, co? Kret rozciągnął usta w uśmiechu.

- Nie sądziłem, że na to wpadniecie! Tak. Błękit załatwiłem przy pomocy dobrych szkieł kontaktowych. Używają ich aktorzy. Reszta to pestka!

Troy duszkiem wypił nową porcję herbaty. Nie smakowała mu. Nic na świecie nie mogło mu smakować. Sobota była dniem zawodowego tryumfu. I największej życiowej porażki.

- Nie boisz się, że cię złączą poszukiwać? Panowie Althans, Irving, Kussel, Pedro Valera, Vlaams, Edmonds i najgroźniejszy z nich, Leloup?

- Jeszcze Zundel, Eriksson i wasz rodak Cornilleau! - uśmiechnął się Kret. - Nonsens. Właściwie nic do mnie nie mają. Ale ostrzeż wasz wydział. Niech się odczepią od Kameleona!

- Francuzi? - Troy przymknął oczy.

- Nie, synu. Amerykanie! Siedzisz na żołdzie CIA, u tych z Langley pod Waszyngtonem w stanie Virginia. Wydział A - operacyjny.

Troy metodycznie dał fotografię Kameleona na sto maleńkich strzępków.

- Okay, synu! Good bye! Good luck! Wstali i uścisnęli sobie dłonie.

Godzinę później czerwony volkswagen golf ruszał spod hotelu „Avenir” przy kościele Saint Germain des Pres.

- Wiesz, że początki tej dzielnicy sięgają szóstego wieku - mówi Achim do Liliany chrupiącej świeżą bagietkę. - Był taki biskup Germain, a gdy zmarł, pochowano go w tej bazylice, nazwanej od jego imienia St. Germain. Do nazwy potem dodano określenie: „na łąkach” - des pres, aby zaznaczyć, że jest to inny kościół niż St - Germain l'Auxerrois, leżący po drugiej stronie Sekwany.

- To miło, że kiedyś była tu łąka, ale czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie pozwoliłeś mi zjeść śniadania? I dlaczego ewakuowaliśmy się z tych „łąk”, jakby się paliło?

- Bo... jakby ci tu wyjaśnić... trochę się paliło!

- Ładnie, a dokąd teraz?

- Lubisz Alpy? - wyjeżdżali przez Porte de Bercy do drogi numer sześć w kierunku Fontainebleau.

Uśmiechnęła się.

- Lubię góry. W dzieciństwie jeździłam do Zakopanego. W Tatry.

- To pojedziemy do Chamonix. U wylotu tunelu prowadzącego w kierunku Włoch. Zobaczysz naprawdę potężny lodowiec Mer de Glace! Najdłuższy lodowiec masywu! Wjedziemy sobie kolejką zębatą aż do jeziora lodowcowego. Chcesz?

- Masz aż tyle czasu? - zdziwiła się. - I pieniędzy? Achim roześmiał się wesoło.

- Zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy, mała. I zrobimy sobie długi, ciekawy urlop. - Zasłużyli na to obaj - pomyślał. - Kret i Kameleon. I na pełne konto w genewskim banku!

\*\*\*

- Dlaczego on się nie pokazał, Nicole?

Jechały szybko w stronę lotniska Roissy. Na tylnym siedzeniu podrygiwało pudło ze ślubną suknią obłożoną błękitnymi bibułkami.

- Nie mam pojęcia - przygryzła wargi. - Troy gdzieś przepadł. Nie wiem, co mam o tym myśleć, Charlotte. Dzwonił tylko wczoraj, żeby cię pozdrowić.

- Kto? Jean Paul?

Nicole pokręciła głową.

- Nie. Troy. Na moje pytanie o Gottiera dawał wymijające odpowiedzi. Zdaje się, że obie wybrałyśmy niewłaściwych mężczyzn.

- Ja zawsze dostawałam od losu niewłaściwych mężczyzn! Nicole hamowała na parkingu.

- Nie można mieć wszystkiego, chérie. Albo sława, albo szczęście. Obie sprawy razem to już rozpusta. Wejdziemy teraz na górę i ty na mnie chwilę zaczekasz. Muszę coś załatwić.

Dworce lotnicze to miejsca, które Karolina uwielbia bezgranicznie, w przeciwieństwie do dworców kolejowych, których nienawidzi. Jest w tym wszystkim odrobina snobizmu. Może dlatego, że nigdy nie widziała lotniska w Kazachstanie. Na Roissy nie ma obdartych biedaków z kupą brudnych, zasmarkanych dzieci.

Wraca Nicole.

- No, załatwione. Podejdz do stanowiska ósmego. Nie żegnam cię, moja droga. Wiem, że za jakiś czas wrócisz. Mam

nadzieję, że powita się Jean Paul z bukietem róż! - całuje ją w policzek. - Dobrego lotu, Karolino! Pamiętaj, że podbiłaś Paryż!

Karolina uśmiecha się przez łzy. I przez te same łzy widzi kulejącą Julię, popychającą przy pomocy jakiejś kobiety wózek z bagażem.

- Znów lecimy razem? - mruczy zdziwiona.

We wnętrzu Airbusa drogi obu kobiet rozdzielają się.

- Pani do pierwszej klasy - mówi ładna blondynka w mundurku linii Air France. - Pani Stengert, prawda? Proszę zająć miejsce. Pudło z bezcenną suknią wstawię do naszej pakamery. Szampana?

- Proszę - mruczy Karolina.

Chętnie się napije, na pohybel źle ulokowanym uczuciom. A swoją drogą świnia - myśli czując, jak krew uderza jej do głowy. - Żeby nie zostawić nawet karteczki!

- Pani Stengert? - kapitański mundur zawsze jest twarzowy. Mężczyzna, który się nad nią pochyla, ma ładne, kapryśne usta. - Dla pani telegram.

Karolina rozprostowuje wąski pasek papieru, bez daty i miejsca nadania. Tylko tekst, który powoduje, że cień uśmiechu rozjaśnia jej twarz: Zagraj to jeszcze raz, Sam!

Włączone silniki rozgrzewają się. Pogoda w Paryżu piękna.

A więc to nie koniec, Jean Paul?

Szampan ma boski smak. To prawdziwa La Grande Dame: Veuve Clicquot. Wszystko, co Francja ma najlepszego. Nie licząc mężczyzn, naturalnie.

\*\*\*

- Wejdz, Davidzie Lamb. Czekałem na ciebie. L'chaim.

Starzec o siwych kręconych włosach siedzi na ganku otoczonym z trzech stron błyszczącymi liśćmi drzewek pomarańczowych. Ciężkie, mięsiste owoce o chropowatej,

wyzłoconej skórce zwisają jak dekoracja w złym teatrze. Wystrzyżony angielski trawnik, na którym cichutko szemrze deszczownica skraplająca żywą zielen, pławi się w słońcu. W głębi krzewy kwitnących oleandrów i dalekie wzgórza oliwne.

- Dzień dobry, pułkowniku - wysoki mężczyzna o ciemnych, szpakowatych na skroniach włosach uśmiecha się melancholijnie. - Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu.

- Załatwiłeś wszystko? Bardzo cię maglowali?

David Lamb ukazuje białe zęby.

- Normalnie. Jeśli ktoś przywozi rejsowym samolotem taką „bombę”, to... sam pan wie.

Niebo ma kolor pocztówkowy. Ożywczy wiaterek łagodzi upał. Białe miasto rozciąga się u stóp wzgórza.

- Chciałem ci osobiście podziękować, Davidzie. Wiem, że dziś już nic nie znaczę, ale to ja przygotowałem cię do zawodu, zanim wiek i zdrowie nie wysadziło mnie z siodła. To wielki dzień dla kraju, chłopcze. Oczywiście, jesteś spalony.

- Jako agent francuskiego wywiadu tak. Wiem o tym.

- Nie wrócisz już do Paryża. Ja się tam nazywałeś?

- Jean Paul Gottier.

Starzec uśmiecha się. Jego spalona słońcem twarz podobna jest do przyrumienionej bułeczki. Białe, gęste brwi sterczą pojedynczymi włoskami na wszystkie strony. Wyglądają trochę nieporządnie i nieco frywolnie.

- Ładnie. Sprzątnąłeś Wilkom Mengelego plan techniczny „Mocnego uderzenia” NATO. I „pustynnym braciom” też. Jedni i drudzy będą wściekli. Europa także.

- Niecała! - pokręcił głową David. Jego serce było przepełnione smutkiem. - Głównie Francuzi, którzy nie należą do NATO. I Amerykanie! Mój kumpel Troy Latour pracował nad tym jak szalony.

- O ile dobrze pamiętam, nie ukrywał, że jest współpracownikiem CIA? Został wydelegowany za porozumieniem obu rządów. - Ciebie nikt nie podejrzewał, że jesteś w służbie MOSSAD - u?

David zmrużył oczy. Nie był tego całkiem pewien.

- Tego nigdy do końca nie wiadomo. Amerykanie są świetni. I pewien Niemiec o pseudonimie Kret. Przeniknął do Wilków Mengelego jako Kameleon. Długo trwało, zanim na to wpadłem.

- Nie będzie ci żal Paryża?

David zacisnął wargi. Jeśli czegoś mu żal, to tapczanu w służbowym mieszkaniu na Paul Valery. I Karoliny. Rozczochranej, zaspanej, mrużącej nad ranem Karoliny. Była drugą w jego życiu kobietą, którą kochał. Pierwsza już nie żyje. Zginęła od pocisku arabskiego Scuda. Dziesięć lat temu. Nazywała się Noemi Lachert. Później Lamb. I była jego żoną przez tysiąc czterysta sześćdziesiąt szczęśliwych dni.

- Żal - powiedział szczerze. - Nie zostanę w Izraelu. Chcę wrócić do normalnej służby dyplomatycznej. Po to pan, pułkowniku, kształcił mnie przez sześć lat.

Starzec nie zmienił wyrazu twarzy.

- Jesteś również dyplomowanym szpiegiem, Davidzie. Teraz spalonym. Jak sobie wyobrażasz dalszą pracę?

- Obmyśliłem sobie kiedyś własną przyszłość, pułkowniku. Jestem dobry w tym, co robię. Przeniosą mnie do Waszyngtonu. Interesuje się mną Wydział do Spraw Analizy Informacji Wywiadowczych. To takie przetwarzanie surowego materiału na informacje zrozumiałe dla władzy. Nie mówiąc, że biuro Wiesenthala też mnie przyjmie z otwartymi ramionami.

- Widzę, że już postanowiłeś, Davidzie. A co teraz? Urlop?

Oczy mężczyzny błyszczą łagodnym światłem. Tu, w cieniu pomarańczowych drzew wyglądają młodziej.

- Teraz muszę odzyskać pewną dziewczynę, pułkowniku. Ściągnąć ją tu, na jakiś czas. Niech zobaczy grób swego ojca na cmentarzu pod Tel Avivem.

- A potem?

- Potem, pułkowniku, próbować jakoś żyć. I pilnować, by ambasady Izraela nie wybuchwały od kilkusetkilogramowych ładunków trotylu TNT jak ta w Argentynie. Bo oni nie przestaną, pułkowniku. Wilki Mengelego i ich poplecznicy. To nie są bezrozumni terroryści, jak ich chcemy przedstawiać. Pracują w monachijskich bankach, paryskich biurach, londyńskich pubach. Mają garnitury od Harrodsa i karty kredytowe. Jak wszyscy porządni obywatele płacą podatki i głosują. Cicho i dyskretnie lub głośno i z werblami stale poszerzają swój elektorat. Są groźni. Dla własnych wnuków w Zjednoczonej Europie, pułkowniku!

- Na razie, dzięki tobie, Davidzie, Władca Piasków nie dostanie planów superpocisków. A kanclerz Niemiec wystąpi, jak miemam, o zwrot dwudziestu miliardów marek w złocie. Hitler je zadekował, ale Kohl zechce odzyskać. Koło się zamknęło. Po pięćdziesięciu latach. I coś ci jeszcze powiem. W ubiegły czwartek opublikowany został raport Departamentu Sprawiedliwości USA. Josef Mengele, naczelny lekarz obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dwa razy wymknął się z rąk Amerykanów. W czterdziestym piątym roku Mengele był w dwóch obozach jenieckich w Niemczech. Za pierwszym razem podał się za zwykłego żołnierza. W drugim przypadku zarejestrowano go pod prawdziwym nazwiskiem, a potem zwolniono. Wypuszczenie zbrodniarza było wynikiem „bałaganu” panującego tuż po zakończeniu działań wojennych.

- Tak przypuszczaliśmy, pułkowniku.



- O czym tak myślisz, Davidzie?
- O filmie „Casablanca”, pułkowniku. I o pewnej dziewczynie, która kochała Humphreya Bogarta. Mengele to przeszłość. Zaś pewna prośba do pianisty: „Zagraj to jeszcze raz, Sam!” - teraźniejszość.
- Pamiętam. Ale on ją stracił, Davidzie.
- Ja swoją odzyskam. Tym się różnię od Bogarta, pułkowniku!